

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

ŚLĄSK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

Nr 9 (250) • ROK XXI • WRZESIEŃ 2016



250.
numer

Miesięcznik „Śląsk” wyróżniony w prestiżowym konkursie „Marka-Śląskie”



Foto: BP Tomasz Żak

3 września 2016 roku, podczas gali Regionalnej Izby Przemysłowo-Handlowej w Gliwicach, która odbyła się w Centrum Edukacji i Biznesu „Nowe Gliwice”, ogłoszono laureatów VII edycji konkursu „Marka-Śląskie”. Przyznano honorowe tytuły w 13 kategoriach oraz wyróżnienia 8 nominowanym podmiotom. W gronie laureatów znalazł się miesięcznik społeczno-kulturalny „Śląsk”, który otrzymał wyróżnienie w kategorii Media. W imieniu redakcji nagrodę z rąk członka Zarządu Województwa Śląskiego Kazimierza Karolczaka oraz Wiktora Pawlika, prezesa Izby Przemysłowo-

Handlowej w Gliwicach odebrała redaktor naczelna Wiesława Konopelska (na zdjęciu). Redakcję „Śląska”, podczas gali, reprezentowali także red. Maria Sztuka – sekretarz redakcji i kierownik Działu Kultury i Tadeusz Sierny prezes Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego – wydawcy naszego pisma.

– Konkurs był bardzo wyrównany. Wszyscy nominowani to naprawdę wysoka półka. To duma i zaszczyt, że takie przedsiębiorstwa i tacy ludzie są w województwie śląskim – powiedział Kazimierz Karolczak w trakcie uroczystości.

Organizatorami konkursu jest Regionalna Izba Przemysłowo-Handlowa w Gliwicach przy współdziałaniu Śląskiego Urzędu Marszałkowskiego. Celem konkursu, który jest istotnym elementem strategii rozwoju regionu śląskiego, jest zwrócenie uwagi nie tylko na biznesowe i gospodarcze atuty województwa śląskiego, ale także nagradzanie interesujących inicjatyw w wielu dziedzinach życia społecznego, gospodarczego, naukowego i kulturalnego.

Podczas otwarcia uroczystości do zaproszonych gości i laureatów zwrócili się metropolita katowicki arcybiskup Wiktor Skworec, sekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości Michał Wójcik i Jarosław Wiczorek – wojewoda śląski.



Nasz partner



Rybnik. Miasto z ikrą.

Nr 9 (250), Rok XXI, WRZESIEŃ 2016 r.

www.slaskgtl.pl

WYDAWCA:
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH
TADEUSZ SIERNY
prezes
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
tel. 32 258 07 56
e-mail: zarzad@slaskwn.com.pl

WSPÓLWYDAWCA:
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
40-021 Katowice, plac Rady Europy 1
tel. centr. 32 20 83 700
informacja: info@bs.katowice.pl
sekretariat: bsl@bs.katowice.pl

Redaguje zespół:
WIESŁAWA KONOPELSKA
Redaktor naczelna

Redakcja Opolska:
JANUSZ WÓJCİK

KATARZYNA KUROCZKA
Dział krytyki literackiej
portal www.slaskgtl.pl

MARIA KORUSIEWICZ
Dział poezji i prozy

MARIA SZTUKA
Sekretarz redakcji
Dział kultury

BOGDAN WIDERA
Dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA
Dział graficzny

IRENA FALKIN-SIBIGA
Korekta

ADRES REDAKCJI:
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
e-mail: redakcjasklask@onet.pl

DTP: STP „KorGraf”
40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12
tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań
tel. 61 633 71 65

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek
i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku
oraz skracanie korespondencji.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk” 40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120. Wpłaty należy dokonywać na konto:

GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
BGŻ BNP Paribas o/Katowice
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490

Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH S.A.
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
jest dostępne w wersji elektronicznej
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ

W NUMERZE:

4. NAGRODA „MARKA – ŚLĄSKIE”
5. *Wiesława Konopelska* „Śląsk” PO RAZ 250!
6. *Katarzyna Kuroczka* ŚLĄZACY SĄ PO PROSTU LUDŹMI TAKIMI, JAK WSZYSCY
12. *Tadeusz Sierny* MIEJSKA POLITYKA KULTURALNA. RAPORT Z LAT 2012–2015.
17. *Beata Tomanek* DZIECI POTULIC
22. *Elżbieta Pisarczyk* JUBILEUSZ 1050-LECIA CHRZTU POLSKI Z PAPIEŻEM FRANCISZKIEM. *Rozmowa z przeorem Jasnej Góry o. Marianem Waligórą*
26. *Henryk Marzec* O KATOWICACH... ZASTÓJ... DO TYŁU
28. *Jakub Loginow* CZESKO-MORAWSKO-ŚLĄSKI SPÓR O NAZWĘ PAŃSTWA
31. *Grzegorz Sztol* SUDETY KOCHAM BARDZIEJ
34. *Iwona Kłopotcka-Marciasz* NIE DAMY WYTCYNAĆ WIDZOM.
Rozmowa z Norbertem Rakowskim, dyrektorem Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu.
36. *Małgorzata Nowak* BIBLIJNE STROFY HARRY'EGO DUDY
39. *Henryk Szczepański* WALTER Z ULICY WARSZAWSKIEJ
52. *Jacek Mikołajczyk* OPERETKA SOCJALISTYCZNA W GLIWICACH (cz. 2)
56. *Alan Misiewicz* SYN CHÓRZYSTY OBSERWUJE POWOJNIE
61. *Wiesława Różańska* MUZYCZNY RYBNIK
64. *Marek Mierzwia* TEATR SWÓJ MAMY OGROMNY CZYLI LETNI OGRÓD TEATRALNY ANNO DOMINI 2016

FELIETONY

11. NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYSZA
Marek S. Szczepański REGIONALNE AUTONOMIE – CZAS REFLEKSJI
25. KAMIEŃ DROGOCENNY
Jacek Kurek MUZEUM W WYOBRAŹNI
60. MIĘDZY NUTAMI
Magdalena Dziadek NOWA PŁYTA KWARTETU ŚLĄSKIEGO
69. ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSzczyzna
Jan Miodek OD BLECHY DO WARZY
84. Z ZAPISKÓW EMERYTA
Jarosław Starzyk WILIAMSki TEŻ ODPADŁY
84. MODERNIZACJA ROKU 2015 DLA KAMIENICY PRZY U. ŚW. JANA 10 W KATOWICACH

PLASTYKA

48. *Agnieszka Kania* W GALERII SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ W OPOLU
49. ABSOLWENCI INSTYTUTU SZTUKI UNIwersYTETU OPOLSKIEGO
50. W GLIWICKIEJ WILLI CARO
51. *Ryszard Bednarczyk* WYSTAWA JAK PODZWONNE DLA GLIWICKIEJ OPERETKI

KSIĄŻKI

72. *Ewa Bartos* FUROR POËTICUS
73. *Paweł Lekszycki* NAPRAWDĘ WAŻNE ZDJĘCIA
74. *Ryszard Bednarczyk* O GENIUSZU MIEJSCA W ŚLĄSKIEJ LITERATURZE KSIĄŻKI
75. *Bogdan Widera* KRÓTKO O KSIĄŻKACH

POEZJA I PROZA

3. WIERSZ NA OTWARCIE
Marian Kisiel I TWÓJ GŁOS TAKŻE
32. *Marian Kisiel* WIERSZE
44. *Witold Turant* MIASTO Z PRZYPADKU

EKOLOGIA

70. *Jolanta Karmańska* KLIMAT ZMIENIA LASY

STAŁE RUBRYKI

66. Z ŻYCIA BIBLIOTEK
Bogna Dobrakowska, Izabela Kochańczyk NIETUZINKOWE TRIADY
67. ZNAKI I TWARZE MIASTA KATOWICE
NA 151. URODZINY MIASTA: OCIEPKA, NAGRODY, KONCERTY
68. OPOLE. MUZEUM PIOSENKI POLSKIEJ W OPOLU
76. NOTATNIKI KULTURALNE
83. ŚLĄSKI MIESIĄC

NA OKŁADCE:

Wojtek Łuka *Drzewo obfitości*, technika mieszana, 2016

Pismo wspierane
finansowo przez:

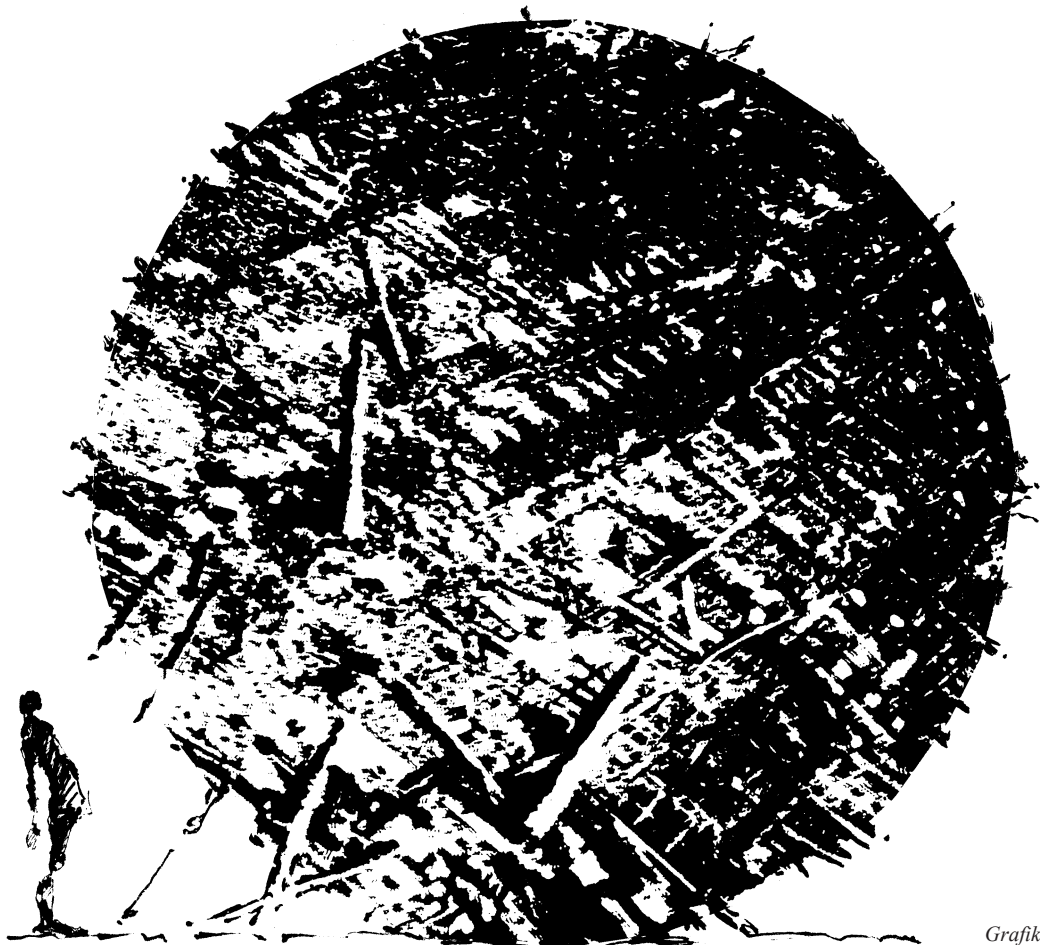
Projekt objęty
mecenatem
MIASTA KATOWICE



Wojewódzki Fundusz
Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej
w Katowicach



Śląskie.
Pozytywna energia



I TWÓJ GŁOS TAKŻE

tyle wierszy
gdzie są jeśli są

słowa się mnożą
jedno rodzi drugie

jakby chciały powiedzieć
czego słuchać nie chcemy

dlatego powiedzieć muszą
więcej i więcej

i twój głos także
niewolniku ciszy

i twój głos także
nagle się uciszy

w gwarze rozgwarów
w tym spiętrzeniu słów

w wierszach obrazach
które zapomniałeś

Marian Kisiel urodził się w 1961 roku w Jędrzejowie. Debiutował w 1980 roku. Opublikował jedenaście tomików poetyckich oraz wybór wierszy w układzie Andrzeja Szuby – *Nieuchronnie zbliżam się do was* (2015). Jest autorem szesnastu książek krytycznych. Jego utwory były tłumaczone m.in. na języki czeski, hiszpański, serbski i węgierski.

Nagroda „Marka – Śląskie”

Laury i wyróżnienia



Zdjęcia: Tomasz Zak/BP

Organizowany wspólnie z Regionalną Izbą Przemysłowo-Handlową w Gliwicach konkurs „Marka-Śląskie” ma na celu promowanie najlepszych przedsiębiorstw, instytucji, organizacji, samorządów czy przedsięwzięć, które swój sukces osiągnęły nie tylko dzięki dobrej koniunkturze i ciężkiej pracy, ale także w oparciu o wyrafinowany marketing i planowane budowanie marki. Nagroda „Marka – Śląskie” jest podziękowaniem za znaczący wkład w rozwój województwa śląskiego i ma charakter honorowy. W skład kapituły, której przewodniczy Marszałek Województwa Śląskiego, wchodzi osobiście świata nauki, biznesu, kultury i mediów regionu. Nagrody i wyróżnienia laureatom wręczali członek Zarządu Województwa Śląskiego Kazimierz Karolczak i prezes RIPH Wiktor Pawlik.

Kapituła Konkursu przyznała nagrody i wyróżnienia w Konkursie „Marka-Śląskie”. Otrzymali je:

W kategorii Gospodarka:

Katowicka Specjalna Stefa Ekonomiczna SA – nagroda
Przedsiębiorstwo Usług Naukowo-Technicznych „Pro Novum” sp. z o.o., Katowice – wyróżnienie.

W kategorii Nauka:

Uniwersytet Śląski w Katowicach – nagroda

W kategorii Kultura:

Teatr Rozrywki w Chorzowie – nagroda
Centrum Kultury „Karolinka”, Radzionków – wyróżnienie

W kategorii Dziedzictwo Kulturowe Regionu:

Muzeum „Górnośląski Park Etnograficzny w Chorzowie” – nagroda
Dom Pamięci Żydów Górnośląskich, oddział Muzeum w Gliwicach – wyróżnienie

W kategorii Sport:

Górnicy Klub Sportowy „Czarni” Bytom – nagroda
Tyski Sport SA – wyróżnienie

W kategorii Turystyka i Rekreacja:

Śląski Ogród Zoologiczny – nagroda
Miasto Ustroń – wyróżnienie

W kategorii Produkt:

Arcelor Mittal Poland SA – dla szyny o dł. 120 m, Dąbrowa Górnicza – nagroda

W kategorii Usługa:

Biuro Karier Studenckich Politechniki Śląskiej w Gliwicach – nagroda

W kategorii Zdrowie:

prof. dr hab. n. med. Stanisław Woś – nagroda

W kategorii Organizacje Pozarządowe:

Stowarzyszenie Pomocy Dzieciom i Młodzieży Dom Aniołów Stróżów, Katowice – nagroda
Śląska Izba Turystyki, Katowice – wyróżnienie

W kategorii Społeczna Odpowiedzialność Biznesu:

KŁOS Sp. z o.o. Sp. Komandytowa, Katowice – nagroda
TAURON Polska Energia SA, Katowice – wyróżnienie

W kategorii Media:

Dziennik Zachodni, Sosnowiec – nagroda
Miesięcznik Społeczno-Kulturalny „Śląsk”, Katowice – wyróżnienie

Nagroda honorowa Osobowość Roku:

Tadeusz Donocik, Prezes Regionalnej Izby Gospodarczej w Katowicach – nagroda

W tym roku po raz pierwszy głosami czytelników „Dziennika Zachodniego” wybrano Ambasadora Marki Śląskie. Spośród wszystkich firm, instytucji i osób zgłoszonych do tytułu Marka Śląskie najwięcej głosów otrzymało przedsiębiorstwo „Pro Novum”.

Marszałek Kazimierz Karolczak wraz z radną Sejmiku Urszulą Koszutską wręczyli **Odnaki Honorowe za Zasługi dla Województwa Śląskiego**. Otrzymali je:

złote:

Grupa Powen-Wafapomp SA – Oddział Zabrze
Przedsiębiorstwo Górniczo-Budowlane i Produkcyjno-Handlowe „POCH” Sp. z o.o. w Zabrzu
„TOYOTA JA-NO-WAN” Sp. z o.o. w Zabrzu

srebrne:

Bożena Kus
Marian Czempas
Jolanta Szykolewska

Podczas gali wojewoda śląski Jarosław Wiczorek wręczył odznaczenia państwowe. Wręczono także medal i odznaki środowisk gospodarczych oraz tytuły honorowego członka RIPH.



„Śląsk” po raz 250.!

Chciałoby się powiedzieć: jak ten czas szybko leci! Jesienią 1995 roku, kiedy przygotowaliśmy pierwszy numer „Śląska”, nie sądziliśmy, że weźmiemy udział w biegu długodystansowym. Numer pierwszy, drugi, trzeci... potem odliczaliśmy już dziesiątkami, a w końcu setkami. I tak oto dobrnęliśmy do 250. numeru. Niejednokrotnie przekonywaliśmy się, że uprawiana przez nas dyscyplina to bieg z przeszkodami. Ale nikt nam przecież nie obiecał, że będzie łatwo. Po wieloletniej obecności na rynku prasowym, nad „Śląskiem” zaczęły zbierać się finansowe czarne chmury. Jednak, jak się okazuje, optymizm i cierpliwość są jedynym lekarstwem – pismo, które wydajemy, ma coraz liczniejsze grono czytelników i miłośników, słowem prawdziwych przyjaciół. To dzięki nim udaje się nam przetrwać trudne chwile. Dlatego na okładkę 250. numeru wybraлиśmy pracę naszego grafika Wojtka Łuki zatytułowaną „Drzewo obfitości”, które symbolizuje wszelkie dobro, jakie od Was otrzymujemy i jakie sami chcemy przekazywać.

Redaktorom pisma dodają skrzydeł do pracy tak miłe gesty, jak odebrane przeze mnie 3 września tego roku wyróżnienie w konkursie „Marka-Śląskie”, które jest symbolicznym przewyciężeniem naszych problemów. Bardzo za nie dziękujemy! Dołączyliśmy je do posiadanych już laurów: Nagrody Stowarzyszenia Architektów Polskich, Złotej Odznaki „Zasłużony dla Województwa Śląskiego”, Nagrody św. Jacka i Medalu im. Zygmunta Glogera.

Od kilkunastu miesięcy „Śląsk” przeobraża się, zmienia szatę graficzną, poszerza krąg autorów i powiększa grono odbiorców. Począwszy od tego wydania, oficjalnie w stopce pisma została zapisana „Redakcja Opolska” pod pieczęć Janusza Ireneusza Wójcika – opolanina, którego nazwisko widnieje w „Śląsku” od chwili powstania pisma. Chcemy w zdecydowanie większym stopniu przybliżyć czytelnikom tematykę społeczno-kulturalną, związaną z naszym sąsiadem zza miedzy – województwem opolskim.

Otwarliśmy łamy „Śląska” dla młodego pokolenia publicystów i recenzentów. Czekamy na dobre pióra, interesujące propozycje i – zapraszamy do współpracy!

Wydanie 250. numerów „Śląska” to znakomita okazja do złożenia ogromnych podziękowań tym, którzy od lat są naszymi partnerami: Urzędowi Marszałkowskiemu Województwa Śląskiego, Miastu Katowice, Wojewódzkiemu Funduszo-owi Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach i Miastu Rybnik. Dziękujemy Bibliotece Śląskiej – współwydawcy „Śląska” i Wydawcy – Górnos Śląskiemu Towarzystwu Literackiemu. Dziękujemy środowisku artystycznemu, naukowemu i samorządowemu Śląska – zależy nam na Waszych opiniach i wspólnym podejmowaniu ważkich dla regionu problemów.

Zawsze, z ogromną wdzięcznością myślimy o zaprzyjaźnionych mediach – Polskim Radiu Katowice i Telewizji Polskiej Oddział w Katowicach, redakcji Dziennika Zachodniego i innych mediów – dzięki Wam istniejemy w eterze, na antenie i łamach gazet.

Dziękujemy wszystkim wiernym współpracownikom – autorom reportaży, artykułów publicystycznych, recenzji i felietonów, fotoreporterom i grafikom, redaktorom Notatnika Kulturalnego i Śląskiego Miesiąca. Mamy w serdecznej pamięci ekipę techniczną STP Korgraf, która od 250 miesięcy, razem z redakcją, pokonuje trudy wydania kolejnego numeru.

Oddzielne podziękowania pozwolę sobie skierować do redakcyjnych koleżanek i kolegów, z którymi od maja 2015 roku, mam ogromną przyjemność i satysfakcję przygotowywać kolejne wydania „Śląska”. Wierzę, że przed nami następne (co najmniej) 250!



„Ślązacy są po prostu ludźmi takimi, jak wszyscy”

Wybór cytatów dokonała i wstępem opatrzyła

KATARZYNA KUROCZKA

Oddajemy w ręce naszych Czytelników jubileuszowy 250. numer „Śląska”. Przez blisko 21 lat nasz miesięcznik był forum, na którym każdy mógł wypowiedzieć się o kondycji regionu, o swoim postrzeganiu jego historii i współczesności, mógł nakreślić własną – czasami idylliczną, czasami kasandryczną – wizję przyszłości Śląska. Z niezliczonych rozmów, jakie udało się nam przeprowadzić, powstał bardzo zróżnicowany obraz regionalnej kultury, tradycji, gwary, przemysłu, nauki, religijności... Jedni podkreślali niewątpliwe wartości, jakie kryje w sobie śląska ziemia, inni nie szczędzili słów krytyki dla wad Ślązaków. Zawsze pozwalaliśmy dojść do głosu przedstawicielom obu stanowisk, aby w ten sposób pokazać, że na Śląsku mieszkają zwyczajni ludzie, tacy, jak wszyscy, a sam region jest zarówno budzącym podziw „szmaragdem”, jak i szorstkim i brudnym, może nieco nieeleganckim, ale jakże potrzebnym, węglem. Chyba najlepiej ubrał to w słowa Stanisław Bieniasz, od którego chcielibyśmy zacząć tę naszą wędrówkę po subiektywnie dobranych cytatach z kart naszego pisma. Niech ten pierwszy fragment będzie najlepszym podsumowaniem dążeń, które przyświecały każdemu z 250 numerów, jakie przygotowaliśmy dla naszych Czytelników.



**Stanisław Bieniasz
(nr 4/1999):**

„(...) staram się na śląskie sprawy patrzeć z góry, z dystansu, żeby dostrzegać rzeczy najistotniejsze. I patrzeć w taki sposób, aby nie być postrzeganym jako polski, niemiecki lub górnośląski nacjonalista. Dążę do tego, aby w tym, co piszę o Śląsku i Ślązakach, nie było żadnego mitologizowania, tworzenia wizerunku ludzi najlepszych na świecie i bez przerwy niewinnie bi-tych. Dla mnie ważne jest co innego: ukazać, że Ślązacy są po prostu ludźmi takimi, jak wszyscy. Obrywającymi po gnatach, ale potrafiącymi też oddać. Ludźmi, którzy sami bywają niesprawiedliwi i dają się wykorzystywać do niezbyt czystych spraw. Tego w literaturze polskiej dotychczas brakowało, bo Ślązacy byli w niej albo robotami, albo zdrajcami narodu polskiego, albo bojownikami tego narodu. A bywa-

li jednymi, drugimi, trzecimi i czwartymi. Bardzo chciałbym, aby wreszcie doszło do tego, żeby książka, której bohaterami są Ślązacy, nie była postrzegana jako książka śląska (...). Rzecz w tym, by pisać o ludziach, jako o ludziach – a nie o ludziach, jako Niemcach, Ślązakach, Rosjanach, Amerykanach... Literatura i każda sztuka, poświęcona jakiejś grupie narodowej, jest w gruncie rzeczy zubożona, bo sztuka powinna być o człowieku – jako człowieku”.

**Antoni Wit
(nr 2/1995):**

„Przeprowadziłem się z Krakowa do Katowic. W ciągu lat tu spędzonych lepiej poznałem ludzi, z którymi pracuję na co dzień. Twierdzą, że to nie tylko świetna orkiestra. Również ze względu na pewne wartości ludzkie jest to znakomity zespół: tutaj stosunek do pracy, także do muzyki, instytucji, kojarzy mi się z posłannictwem, co zgodnie z tradycją wiąże się z poważniejszym podejściem do pracy niż to ma miejsce w innych regionach kraju. Tu łączy się artyzm z tradycją”.

**Jerzy Duda-Grac
(nr 2/1995):**

„To, że «uciekam» ze Śląska, ma podłoże nie tylko artystyczne i estetyczne. Wiem, że będę mieszkał tu do końca. Tu zbudowałem dom, tu jest moja rodzina i moje groby. Niemniej mam potrzebę «uciekania». Czy tylko ja? Wystarczy przywołać nazwisko Kazimierza Kutza, który stąd wyemigrował. Poza tym na Śląsku zawsze było sporo ludzi, którzy «wpadli tu na chwilę», by się odbić i po uzyskaniu jakiejś pozycji zawodowej czy społecznej, natychmiast wyjechać. Ale są przecież ci, którzy zostali: Kilar i Górecki, Jasiński i Stempel, Netz i Kijonka, Tosza i Serafin, Baumann i Bernard Krawczyk, Jura i Nowotarski, nawet Bochenek i Kokot. Mój przypadek jest podobny. Nie maluję Śląska, a jednak wiem, że tutaj jest moje miejsce na ziemi”.

**Kazimierz Kutz
o powstaniach śląskich
(nr 5/1996):**

„(...) ten wysiłek zbrojny był w jakimś sensie bezowocny i niepotrzebny. W tym przejawia się jego tragiczne piękno. Ci ludzie nigdy nie doczekali się takiej Polski, o jakiej marzyli. Owszem, żyli w niej, lecz pełnego szczęścia nigdy nie zaznali. Wyjazdy powstańców na stare lata do Niemiec są tego znamienym świadectwem. Wiem, że wielu przekleło swą młodość. Ja tych ludzi rozumiem, bo ta ludowa w istocie miłość do abstraktu, który przybrał imię Polska, być może nigdy nie mogła się

ziścić. Powstańcy Śląsk to było takie zasmarkane dziecko, którego matka właściwie nigdy nie przytuliła...”

**Stanisław Hadyna
o Zespole Pieśni i Tańca „Śląsk”
(nr 7/1996):**

„O takim zespole marzyłem od dziecka. Jeszcze przy pasterskim ognisku, przy którym – jako prawdziwi twórcy ludowi – śpiewaliśmy na głosy. Wtedy marzyłem jakby to było pięknie, gdyby można te parę głosów pomnożyć w 100, oświetlić 100 ogniskami i pokazać to pewnego dnia całemu światu. Z czasem ta dziecięca wizja nabrała realnych kształtów”.

**Barbara Blida
(nr 8/1996):**

„Potrafię patrzeć nań również bardzo krytycznie. Na opieszałość, zachowawczość, brak inicjatywy charakterystyczny dla Ślązaków. Przy całym szacunku dla przeszłości, pozostawmy ją serdecznemu wspomnieniu. Współczesny Śląsk i ten w przyszłości nie będzie znaczone wyłącznie górniczym, hutniczym trudem. To się kończy. Potrzeba zmiany mentalności wśród młodych Ślązaków. Jakże często na Śląsku występuje swoiste leniwość, konformizm. Skończyłeś szkołę podstawową, idź do roboty: do kopalni, huty. Jak dziadek, ojciec. Po co się masz uczyć, to kosztuje, a tu już będziesz przynosił pieniądze. Tej tradycji nie da się utrzymać. Świat potrzebuje wykształconych fachowców, techników, mechaników. Tutaj na Śląsku mieliśmy wspaniałych ludzi tworzących przemysł, menedżerów – chociaż wtedy ich tak nie nazywano (...). Oni powinni być wzorami do naśladowania”.

**Jan Józef Szczepański
o Katowicach
(nr 9/1996):**

„Mieszkałiśmy (...) niedaleko Parku Kościuszki. Wtedy wydawało się, że to jest daleko od śródmieścia. Teraz to właściwie centrum. Ówczesne Katowice były znacznie mniejszym miastem. Zawsze były zadymione, zasnuwane pyłami i sadzą. Mimo tego dla mnie, dla moich kolegów, to miasto miało swoją urodę, swój klimat”.

**Henryk Buszko
(nr 9/1996):**

„Katowice nie mają pięknego centrum, nie mają przejrzystego układu komunikacyjnego, nie mają takich miejsc, do których przychodzi się z radością. (...) w Krakowie każda ulica, każdy plac, nie mówiąc już o plantach, to miejsca, gdzie ludzie chętnie przebywają (...). Takim miejscem w Katowicach, załóżmy zaledwie, jest plac przy pomniku Powstańców Śląskich. Ludzie



przychodzą tam, by porozmawiać, by się radować, by wreszcie podziwiać pomnik, który jest jednym z najpiękniejszych spośród powstałych w ostatnich dziesięcioleciach”.

**Tadeusz Bradecki
(nr 1/1997):**

„(...) dzisiejszy Śląsk różni się bardzo od tego choćby z lat 60. Owszem, jest inny swymi regionalnymi odrębnościami, lecz nie one wyznaczają rytm życia. Homogenizacja kultury jest zjawiskiem nieuniknionym, nie omija więc również Śląska. Ten region mierzyć więc wypada także ogólnopolską sztancą”.

**Franciszek Pieczka o gwarze
(nr 3/1997):**

„Ta nasza śląska gwara jest wbrew pozorom bardzo trudna. Niektórzy

to sobie lekceważą, gwarę jest łatwo parodiować, ale mówić po śląsku jest zdecydowanie trudniej”.

**Franciszek Pieczka o pograniczu
(nr 3/1997):**

„Wydaje mi się, że na różnych pograniczach, na krzyżowaniu się pewnych kultur wyrastają ciekawi ludzie. Nie chcę tu mówić o sobie, ale to zetknięcie różnych żywiołów tworzy coś nowego i ciekawego”.

**Henryk Bereska o gwarze
(nr 9/1997):**

„Kiedy przyjeżdżam do Katowic i już na dworcu słyszę, miłą memu uchu, śląską gwarę, przypominam sobie Szewczyka, który bolał, że się nie utrzyma i źródłosłowy wielu archaicznych polskich i niemieckich słów pójdą w zapomnienie. Stało się inaczej, po okresie

tepienia i wyśmiewania śląskiej mowy, gwara w tym regionie jest żywym językiem i odezwanie się po śląsku nawet w tzw. dobrym towarzystwie jest dobrze przyjmowane”.

**Henryk Bereska
o życiu na emigracji
(nr 9/1997):**

„W Berlinie nie było Ślązaków, którzy emigrowali na Zachód, dlatego swoją śląskość kontynuuję wprost od korzeni. Gdyby nie moje przyjazdy, powroty tutaj, trudno byłoby mi wytrzymać półwiecze ponurego eneradowskiego życia”.

**Andrzej Szczypiorski
(nr 10/1997):**

„Pierwszy raz zjawiłem się w Katowicach w czerwcu 1945 roku. Cała moja wiedza na temat Śląska



ogranicza się do Katowic, innych rejonów nie znam dobrze. Przyjechałem tu zupełnie przypadkowo, jako młody chłopak, po obozie koncentracyjnym, zaraz po zakończeniu wojny. Miasto wyglądało jak obóz wojskowy. Pełno tu było Rosjan. Widziało się straszliwe bezhołowie. W owym czasie (...) w Katowicach, o czym mało ludzie wiedzą, bardzo dużo było Żydów (...), których coś ciągnęło na Śląsk, bo on był inny w wymiarze stosunków narodowościowych. Widowym było, że to jest taki tygiel narodów”.

Bolesław Lubosz
o roli Śląska
(nr 1/1998):

„Widzę Śląsk jako wielką aortę, której zadaniem jest wyeliminowanie wszelkich małości i szowinistycznych ciągów”.

Bolesław Lubosz o małej ojczyźnie
(nr 1/1998):

„Swego czasu wybitny czeski mąż stanu, myśliciel i intrygujący pisarz, prezydent Waclaw Havel ustalił, że słowo niemieckie Heimat, określające człowiecze małe ojczyzny, oznacza w języku starogermańskim wszechświat (...). Równanie między małą ojczyzną a wszechświatem bardzo mi odpowiada. Wychodzę bowiem z założenia, że każdy człowiek jest niepowtarzalnym kosmosem (...). Dla wielu pisarzy ich rodzinne strony są wszystkim, są najważniejszą częścią ojczystego kraju, a nawet wszech rzeczy sprawdzianem. Spoglądają bowiem na kraj, na Europę, na świat wreszcie poprzez pryzmat tego otoczenia, tej ziemi, które go ukształtowały. Nie ma wszak prowincji, są tylko prowincjusze. Nie ma też uprzywilejowanych okręgów, czy miast, posiadających wyjątkowe predyspozycje intelektualne, są tylko uprzywilejowani hochsztaplerzy równani z bylejakością”.

Wojciech Kilar
o tym, dlaczego pozostał na Śląsku
(nr 4/1998):

„Dziwili się, ciągle pytali: jak ty możesz mieszkać w Katowicach... a według mnie tu jest świetnie! Tu się żyje «po Bożemu», tu się porządnie pracuje. Gdybym mieszkał w Krakowie albo Warszawie, prawdopodobnie przesiadywałbym całymi dniami w kawiarniach i opowiadał, jakie mam wspaniałe projekty, siedząc wśród kilkunastu innych opowiadających o swoich wspaniałych dziełach, które reszta na ogół nie powstają (...). A mieszkając tutaj, nie mogę wyskoczyć na kawę do „Europejskiego”, żeby pogadać z przyjaciółmi. I bardzo dobrze. Mogę siedzieć w domu i pracować. Nie uważam oczywiście, że tam, gdzie się prowadzi życie towarzyskie, nigdy nie powstają dobre dzieła. Niektórym twórcom są potrzebne modne kawiarnie, właśnie to ich inspiruje. Ale mnie odpowiada atmosfera duchowa, która jest na Śląsku. Tutaj jest zdrowe powietrze”.

Wojciech Kilar
o wpływie Śląska na jego muzykę
(nr 4/1998):

„(...) kiedy mam powiedzieć, jak Śląsk wpłynął na moją muzykę, to cisną mi się na usta najbardziej patetyczne słowa. Żyjąc wśród ludzi potwornie ciężko i z takim poświęceniem pracujących, chwilami czuję się wręcz upokorzony, że sam robię coś tak niepotrzebnego. I dlatego muszę pisać tak, aby ludzie słuchając moich utworów, stawali się choć trochę lepsi (...). (...) tak to czuję i myślę, że właśnie Śląsk tej odpowiedzialności artystycznej mnie nauczył. A gdy słucham utworów moich śląskich kolegów, Góreckiego czy Knapika, to stwierdzam, że z nimi jest podobnie. Kompo-

zytorzy śląscy są poważni, solidni, niespecjalnie przebojowi, niezbyt sprytni, tacy, ktoś powie, «ciężcy Ślązacy». A mnie to się wydaje piękne”.

Prof. Florian Śmieja
o tym, co by powiedział Szewczyk,
gdyby go spotkał na ulicy
(nr 7/1998):

„Myślę, że powiedziałby (...), że jest sposobność, bo wiatr wieje nam w żagle. Że możemy naprawić nareszcie wielki grzech Polski przedwojennej, która nie wykształciła humanistów śląskich. Że Śląsk ma nareszcie szansę i z tej okazji należy skorzystać. Że Ślązacy mogą być znowu jak u siebie. I że ze Śląska powinni być dumni. Jak ja sam, niedawno w Warszawie, kiedy tłumaczyłem jednej pani profesor, że w latach siedemdziesiątych XIII stulecia żył na Śląsku mądry człowiek, Vitello, który napisał traktat o optyce. Szukaliśmy w różnych polskich encyklopediach – bez śladu. A był to mądry człowiek, naukowiec o europejskiej sławie. Europejczyk. Powinniśmy być z tego dumni”.

Olgierd Łukaszewicz (nr 5/1999):

„(...) Śląsk to wspomnienia. Teatr Śląski, w którym dane mi było zobaczyć, jeszcze w latach szkolnych, całą śmietankę ówczesnych aktorów tej sceny, którzy potem zasiliли w całym kraju, np. Gustawa Holoubka (...). Mój Śląsk, to także moje liceum w Ligocie i osoby, które rozwijały moje zainteresowania recytacją i teatrem (...). To także Pałac Młodzieży z panią Józefiną Rebeś. I koledzy z dzieciństwa i młodości, «nasze» miejsca, ich domy, familoki. Niemniej stracił ten Śląsk, z perspektywy lat, w moich oczach urok lasu nieprzebytego, raczej ja mi się dzisiaj jak las wypalony”.

Prof. Helena Synowicz
o gwarze (nr 4/2000):

„Dużo jest takich słów, które w języku ogólnym nie mają jednowyrazowego odpowiednika, np. *zećmić się* ‘nie zdążyć czegoś zrobić przed zapadnięciem zmroku’, *zachciwny* ‘taki, który ma na coś ochotę’. Kondensowanie znaczeń współbrzmii z cechami osobowości mówiących nią ludzi: każdy wie, że Ślązak woli mniej powiedzieć, więcej zrobić, jest oszczędny w słowach”.

Magdalena Piekorz (nr 9/2000):

„To oddalenie Śląska od głównych centrów jest szansą, przynajmniej ja to tak postrzegam. Nie ulegamy modom. Staramy się zadawać ważne pytania w sprawach istotnych nie tylko dla nas. Dążymy do jak najlepszego udokumentowania poruszanej tematyki. Czuję się, że filmy, które powstają tutaj, bądź zrealizowane zostały przez tutejszych twórców, wynikają z ich własnych zainteresowań i doświadczeń, z osobistego zaangażowania w wybrany temat. To jest pasja, a nie tylko zawód”.

**Prof. Tadeusz Sławek
(nr 10/2000):**

„(...) Śląsk, chociaż rozwijał się dynamicznie dzięki przemysłowi od XVIII wieku, był również ośrodkiem myśli humanistycznej. Tu także rozwijała się kultura, co jest tym ważniejsze, że kiedy pozostała część kraju z różnych przyczyn była w przeszłości odcięta od wpływów zachodnioeuropejskich, Śląsk pozostawał regionem stanowiącym kulturowy i cywilizacyjny łącznik między Wschodem i Zachodem”.

**Prof. Stefan Szymutko
(nr 11/2005):**

„Wielokulturowość Śląska jest czymś oczywistym, co dobrze widać w języku, w gwarze śląskiej. Więcej pytań pojawia się, gdy odwołujemy się do dwóch nurtów tradycji: tej szlachecko-intelektualnej, której symbolem mógłby być Eichen-dorff, i tej plebejskiej, która mnie jest bliśka, bo się z niej wywodzę. Kiedy myślę o tym regionie, to zawsze mam w pamięci te straszne słowa Goethego o ciemności, zacofaniu, o trwaniu «z dala od ludzi wykształconych». Historia Śląska zaprzeczyła tym słowom. Jednocześnie dostrzegam manipulację w usiłowaniu budowania dzisiejszej tożsamości śląskiej wyłącznie w oparciu o przeszłość. Jesteśmy ilustracją tezy Nietzschego o «szkodliwości historii». Nagromadziliśmy wokół siebie niepotrzebne archiwum, które obarcza i jest nie do zgłębienia. Oczywiście historia jest ważna, ale także ta wcześniej pomijana, a pisana poprzez jej «nieme podmioty» (...). Jeśli więc myślimy o historii, to nastawiamy się też na jej «nieme podmioty», na plebejską tradycję”.

**Krystian Zimmermann
o Akademii Muzycznej
w Katowicach (nr 5/2005):**

„Jak wyjeżdżałem w latach 70. wydawało mi się, że człowiek wychodził z takiego zaścianka, jakiegoś brudnego małego miasteczka. Lata następne przyniosły zrozumienie i coraz większy szacunek do tego, co się tutaj robi. Oglądałem później te wielkie uczelnie w Paryżu, Londynie, wielkie uniwersytety w Stanach Zjednoczonych. Stwierdziłem, że nasza uczelnia nie ma się czego wstydzić, że jest to znakomicie «robiony zakład». Poziom jest rzeczywiście fantastyczny”.

Lech Majewski (nr 10/2014):

„Jestem patriotą lokalnym, w wielu filmach wykorzystywałem potencjał Śląska: Siwczyk, Sikora, Skrzek, Okupska, Jędrusik... Na festiwalu w Kazimierzu podszedł do mnie prof. Bralczyk i powiedział, że *Angelus* jest jego kultowym filmem, bo odkrywa w śląskiej gwarze staropolskie rdzenie. To dlatego, że ci ludzie są naprawdę stąd...”

**Abp Damian Zimoń
(nr 12/2014):**

„Kapłani to byli niemal jedyni przedstawiciele nielicznej polskiej inteligencji na tych ziemiach, oni więc przewodzili narodowi. Na tej glebie urosły «dobre drzewa», mówiąc słowami Jana Pawła II: Szramek, Hlond, Czempiel, Gawlina, Bieniek, Bednorz, Kurpas, Domin, Stroba, Jeż, Pluta, Blachnicki i wielu innych, to księża, którzy nie tylko musieli walczyć z laicyzacją, bronili oni także polskości i byli glebą, na której zrodziła się myśl powstańcza. Zahartowani w walce o niepodległość Ślązacy komunizmowi także się oparli. A dzisiaj? To prawda, że dokonują się głębokie przemiany, nie tylko u nas, ale w całej Polsce, Europie, na świecie także (...). Uważam, że jesteśmy dobrze przygotowani do stawienia czoła wyzwaniom”.

**Prof. Julian Gembalski
(nr 2/2015):**

„Śląsk jest szczególnym regionem, w którym spotykały się najważniejsze prądy europejskiego budownictwa organowego. Jest konglomeratem kultur, które się przenikały, swoistym «szmaragdem». Ukazujemy to także w naszych ekspozycjach, w których odnajdziemy dorobek trzech obszarów, tym samym trzech narodów: Polski, Czech i Niemiec. Nurt niemiecki był najsilniejszy, bo wiadomo, że Śląsk przez siedemset lat do Polski nie należał, a budownictwo organowe na tych terenach, zarówno w czasach Habsburgów, jak i po wojnach śląskich, było na najwyższym poziomie (...). Dziś przypominamy, że to dziedzictwo było porównywalne z dziedzictwem Saksonii, Turynii, a także Francji i Północnej Europy, gdzie były wielkie ośrodki budowy organów. Śląsk był jednym z takich centrów (...)”.

**Prof. Krzysztof Kłosiński
(nr 7/2015):**

„(...) przez rok uczestniczyłem w programach Telewizji Katowice pod tytułem *Śląskie czyta*. Rozmawialiśmy o literaturze, którą piszą ludzie ze Śląska lub mieszkający na Śląsku, albo tacy, co ze Śląska wyjechali, ale tu mają swoje korzenie. I przez ten rok przekonałem się, jaką jesteśmy potęgą, bo gdzie tylko jakieś nagrody literackie dają, to dostają je ludzie stąd”.

Henryk Waniek (nr 8/2015):

„O niewielu rzeczach mogę powiedzieć, że je znam dobrze, ale jedną z nich jest Śląsk, również jako krajobraz. W każdym razie to, co o nim już wiem, potwierdza tylko, że każda Yoknapatawaha może być wszechświatem. Tak, moim krajobrazem jest Śląsk, w całej jego rozciągłości geograficznej i historycznej – od niegdyś utraconych księstw w Zatorze i Oświęcimiu, po stosunkowo młody Śląsk w Górnych Łużycach. Mogę go więc nazwać moim krajobrazem-

-uniwersum (...). Przez cały czas próbuję go poznawać jeszcze dokładniej, ale końca nie widać. Jest to bowiem zadanie na dłuższą metę; na całe życie”.

Krzysztof Czyżewski (nr 10/2015):

„Śląsk sięga głębiej w moje osobiste życie, gdyż moi dziadkowie znaleźli się po wojnie w Chorzowie. Wszystkie rodzinne święta spędzaliśmy właśnie tam. W Chorzowie spotkałem też moją pierwszą Obcą (...). To była lekcja pogranicza, którą odebrałem na całe życie. Lekcja obejmowania sąsiedztwa jako całości, której każdy jest najważniejszą częścią. Jak u Mikołaja z Kuzy – pogranicze jest kulą i w jakimkolwiek jej miejscu znajdzie się człowiek, zawsze będzie w centrum. Dlatego dla mnie gestem człowieka pogranicza jest obejmowanie, a gest odpychania zaciera jego imię”.

Tadeusz Kijonka (nr 11/2015):

„Wraz z odejściem Wilhelma Szewczyka skończyła się pewna epoka. On przez lata organizował życie literackie Śląska, miał w sobie ów nerw społecznikowski i swoją działalnością wyrażał misję pisarza, który nie tylko tworzy, ale jest także działaczem kulturalnym, wypowiada się jako publicysta, uczestniczy w życiu publicznym z tego tytułu, iż ma autorytet, który pisarz zawsze w Polsce miał. Fenomen Szewczyka później jednak już się nie powtórzył”.

Wojciech Kuczok (nr 1/2016):

„Śląsk jednak bardzo intensywnie nerwicuje. Jednym z objawów tej neurozy jest kompleks prowincjusza, który podejrzewa, że jest również parweniuszem. Przewalczenie tego urojenia jest fundamentalną czynnością, którą powinien wykonać każdy Ślązak. A wykonać ją najlepiej jest przez wyprowadzkę i potem ewentualny świadomy powrót”.

Zakończmy ten subiektywny wybór niewątpliwym miodem na nasze redakcyjne serce.

Prof. Jan Miodek (nr 3/2015):

„(...) żywot książki nie jest zagrożony. W wywiadzie rzece Umberto Eco nie ma wątpliwości: one nie znikną. Czy przetrwają gazety, tego nie wiem, ale nie wyobrażam sobie na przykład Katowic bez waszego, naszego «Śląska», tak jak nie wyobrażam sobie Wrocławia bez «Odry». W moim życiorysie te dwa Śląski cudownie się dopełniają, urodziłem się i wychowałem na Górnym, od ponad pięćdziesięciu lat jestem na Dolnym, a w środku mam jeszcze swoją ukochaną Opolszczyznę. Podobnie w sferze kulturowej komponują się «Śląsk» i «Odra» – dwa najpoważniejsze i najlepsze miesięczniki społeczno-literacko-kulturalne w Polsce”.



Notatnik spóźnionego przybysza

MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Regionalne autonomie – czas refleksji

Krótkie stulecie

Wiek XX bywa określany jako najkrótszy w historii. Przyjmuje się, że początkiem był koniec I wojny światowej, a końcem upadek świata dwubiegunowego, który określał czas zimnej wojny. Tymczasem przed wybuchem I wojny (1914) świat był definiowany przez kolonialną ekspansję Europy. W najnowszej historii z kolei szczególnie ważną datą okazał się 3 stycznia 1992 roku. Wtedy właśnie w audytorium jednego z moskiewskich budynków rządowych odbyło się spotkanie rosyjskich i amerykańskich polityków i uczonych. Dwa tygodnie przedtem przestał istnieć Związek Radziecki, a Federacja Rosyjska stała się niezależnym państwem. Zdarzenie to jest konwencjonalnym początkiem współczesności, chociaż Polacy są bardziej skłonni przyjąć za taką granicę rok 1989, czyli wejście Rzeczypospolitej na drogę demokracji i wolnego rynku.

Geopolityka: znikające punkty

Wiek XX był szczególnie również w kontekście zniknięcia z mapy świata państw, których znaczenie na arenie

międzynarodowej takimi losowi przeszło. W zamian powstało wiele autonomicznych i suwerennych organizmów polityczno-administracyjnych. Najbardziej wyraźnym przykładem jest Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich (ZSRR), który istniał na mapach świata w latach 1922-1991. Do roku 1990 stanowił federację 15 republik związkowych. Po wystąpieniu w 1990 roku trzech republik nadbałtyckich, aż do grudnia 1991 roku zrzeszał 12 republik. Dzisiaj Rosyjska Federacja to największy obszarowo kraj globu. Były republiki związkowe uzyskały niepodległość, chociaż większość z nich należy do Wspólnoty Niepodległych Państw, czyli związku gospodarczego, politycznego i wojskowego z Rosją. W kilku z nich wciąż trwają walki narodowo-wyzwoleńcze.

Na gruzach i ruinach

Znaczącym przykładem jest również historia Jugosławii (1918-1992) państwa, które ukonstytuowało się w wyniku wojny i rozpadło w zbliżonych okolicznościach. W rezultacie powstały niepodległe państwa Półwyspu Bałkańskiego, a najmłodsze z nich – Republika Kosowo – ogłosiła niepodległość 17 lutego 2008 roku. Formalnie Kosowo jest państwem nie w pełni uznanym, ponieważ nie wszystkie kraje należące do ONZ, Unii Europejskiej i NATO uznały ten kraj za niepodległy. Związek Radziecki i Jugosławia to najbardziej spektakularne przykłady powstania na gruzach starych organizmów politycznych państw nowych.

Katalończycy, Baskowie i inni

Takich przykładów w świecie jest o wiele więcej, a wielość konfliktów lokalnych i regionalnych fakt ten tylko potwierdza. Ruchy wyzwolenie czy autonomiczne były i, w dającej się przewidzieć przyszłości, nie znikną. Przykładem jest chociażby kanadyjska prowincja Quebec, która posiadając formalną autonomię dąży – dotychczas bez powodzenia – do pełnej suwerenności w granicach państwa kanadyjskiego. To zbuntowana prowincja w której istnieje nowoczesny nacjonalizm. Łączy on w sobie elementy tradycjonalistyczne, jak i sekularyzm wzorem Republiki Francji. Dzisiaj ruchy separatystyczne straciły nieco na sile ze względu na dużą pomoc ekonomiczną jaką otrzymuje Quebec od rządu w Ottawie. Do uzyskania autonomii dążą także hiszpańska Katalonia i Baskowie (Kraj Basków). Kata-

lonia w roku 1978 odzyskała autonomię kulturalną i polityczną, ale separatysty wciąż dążą do niepodległości. W październiku 2015 roku w wyborach do parlamentu Katalonii zwyciężyły ugrupowania separatystyczne, a w listopadzie parlament uchwalił deklarację niepodległości. Tymczasem trybunał konstytucyjny Hiszpanii w grudniu 2015 roku jednogłośnie orzekł, że katalońska deklaracja niepodległości jest nielegalna i nieważna. Baskowie to najstarsza grupa etniczna na Półwyspie Iberyjskim. Posługują się odrębnym językiem (język baskijski) i od lat starają się odzyskać niepodległość. Społeczność Basków liczy – bagatela – około 10 milionów obywateli. Należy też pamiętać o ostatnich wydarzeniach w Szkocji, gdzie 18 września 2014 roku odbyło się niepodległościowe referendum, i w którym zwyciężyli przeciwnicy secesji (55,3%). Dzisiaj w obliczu Brexitu wyjście Szkocji ze Wspólnoty Brytyjskiej staje się coraz bardziej realne.

Śląskie i hiszpańskie zestawienia

Idea autonomii nie omija także Polski i jest wpisana w polityczną aktywność Ruchu Autonomii Śląska (RAŚ). Działalność Ruchu jest często porównywana z Katalonią i Krajem Basków, chociaż *comarca* Hiszpanii dążą do niepodległości, a celem Ruchu Autonomii Śląska jest stworzenia silnego i autonomicznego regionu. Wprawdzie działalność Górnoślązaków jest nieporównywalnie słabsza od Katalończyków czy Basków, ale wydaje się bardziej skomplikowana. Towarzyszy jej między innymi dyskusja nad rejestracją Stowarzyszenia Osób Narodowości Śląskiej (SONS) i Związku Ludności Narodowości Śląskiej (ZLNŚ) oraz walka o uznanie śląskiej mowy za język regionalny, a Ślązaków za mniejszość etniczną. Te wszystkie problemy wynikają przede wszystkim ze skomplikowanej historii regionu, jak również ze współczesnych zawłości sceny politycznej i społecznej zarówno samego regionu górnośląskiego, jak i Rzeczypospolitej. Dzisiejsza idea przeobrażeń Górnego Śląska w autonomiczny region Polski sięga początku polskiej transformacji ustrojowej 1989 roku. Polska wkroczyła wówczas na drogę demokracji i wolnego rynku, kończąc z monopolem politycznym partii komunistycznej.

*Felieton powstał
we współpracy
z dr hab. Anną Śliz,
profesorem
Uniwersytetu Opolskiego*



Miejska polityka kulturalna Katowic

Raport z lat 2010 – 2015



Miasto Katowice jest jedną z trzech najbogatszych gmin w województwie śląskim, wraz z Częstochową (1,1 mld zł) i Gliwicami (1,1 mld zł), miasta te mogą poszczycić się rocznym budżetem przewyższającym miliard złotych (1,7 mld zł w Katowicach). Dla porównania Zarząd województwa śląskiego i Sejmik samorządowy dysponują rocznym budżetem – dla całego województwa śląskiego – w kwocie ok. 1,4 mld złotych. Odrodzone przed 26 laty samorzady miast i gmin, powiatów i województw utrzymują w Polsce z własnych budżetów cały niemalże system instytucji kultury, pokrywając ponad 86% sumy kosztów ich utrzymania, pozostałe 14% to wkład Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Polityka kulturalna Katowic jest więc koniecznym wyborem uświadamianych lub nie – wartości, wg których definiowane, adresowane i finanso-

wane są owe cele lokalnej polityki kulturalnej. W tym rozumieniu nie ingeruje ona bezpośrednio w proces twórczy, w akt ekspresji artystycznej, lecz tworzy warunki sprzyjające lub – niestety, nie sprzyjające – rozwojowi owej twórczości i ochronie wartości kulturowych, komunikacji kulturowej, edukacji mającej na celu rozwój kompetencji kulturowych mieszkańców miasta.

Polityka kulturalna, jest działalnością wysoce spersonalizowaną, ale i anonimową dla społeczeństwa (wielu administratorów i urzędników tak chciałoby ją prezentować – i tak jest pokazana w Raporcie, poza jednym wyjątkiem o czym niżej). Kompetencje kulturowe (lub ich brak), uwikłania środowiskowe i personalne bezpośrednich jej realizatorów: radnych, urzędników, animatorów, propagatorów mają zasadniczy wpływ na jej efekty społeczne.

Miasto Katowice w 2016 r. jest organizatorem dla 12 instytucji kultury (pięć Miejskich Domów Kultury, Zespół Spiewaków Miasta Katowice „Camerata Silesia”, Śląski Teatr Lalki i Aktora „Ateneum”, Galeria Sztuki Współczesnej BWA, Instytucja Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia”, Muzeum Historii Katowic, Instytucja Kultury Katowice Miasto Ogrodów im. Krystyny Bochenek, Miejska Biblioteka Publiczna) zatrudniających blisko 500 osób. Na podstawie zawartych porozumień z Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Śląskim Urzędem Marszałkowskim jest także współorganizatorem dla Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach oraz Śląskiego Centrum Wolności i Solidarności. Owe instytucje są rzeczywistym (ale nie jedynym) instrumentem realizacji polityki kulturalnej miasta. Dlatego z zainteresowaniem spotkała się przygotowana przez Fundację Res Publica im. Henryka Krzeczковского z Warszawy edycja 100 stronicowego raportu zatytułowanego: *Katowice polityka kulturalna*.

Miasto Katowice może poszczycić się w okresie lat 2010–2015 (ten czas jest przedmiotem raportowych analiz) wieloma sukcesami (festiwale, koncerty, imprezy masowe). Toteż taki dokument, będący w założeniu obiektywną informacją o celach, kierunkach, sposobach realizacji zadań i efektach polityki kulturalnej miasta jest lekturą oczekiwaną.

Wydawca Raportu, Fundacja Res Publica z Warszawy powstała 1987 roku. Kierują nią Marcin Król – przewodniczący Rady Fundacji oraz Wojciech Przybylski – prezes zarządu. Jest realizatorem trzech programów: DNA Miasta, Partnerstwo Wolnego Słowa, New Europe 100.

Raport o polityce kulturalnej Katowic przygotowano w ramach programu DNA Miasta na podstawie – jak piszą autorzy dokumentu we *Wprowadzeniu* „badań socjologicznych i analiz finansowych przeprowadzonych w oparciu o metodologię DNA Miasta w okresie od października do grudnia 2015.” Au-

torzy zwracają uwagę, że proces badawczy został zainicjowany na „zaproszenie” Wydziału Kultury Urzędu Miasta Katowice, który „zamówił” diagnozę polityki kulturalnej. Podobnie, jak zdarzyło się to już przy opracowywaniu *Strategii rozwoju kultury w województwie śląskim na lata 2006–2020*, opracowanej na zlecenie Wydziału Kultury Śląskiego Urzędu Marszałkowskiego dziwić musi całkowite pominięcie w „zaproszeniu” lub „zleceniu” wykonania Raportu – macierzystych jednostek naukowo-badawczych, funkcjonujących w katowickich uczelniach artystycznych (Akademia Sztuk Pięknych, Akademia Muzyczna), w Uniwersytecie Śląskim i Uniwersytecie Ekonomicznym. Czym kierowało się kierownictwo Wydziału Kultury Urzędu Miasta, ignorując istnienie własnego, kompetentnego środowiska akademickiego, pozostaje tajemnicą.

Autorami opracowania są młodzi polscy naukowcy, reprezentujący różne dziedziny nauk i ośrodki badań: Jędrzej Burszta (odpowiedzialny za koordynację badań i redakcję raportu), Marcin Czardybon, Artur Celiński (szef zespołu), Michał Sęk, Zofia Penza oraz Jakub Gradziuk, Anna Kiedrzyńska-Tui, Krzysztof Grochala, Martyna Obarska, dr Marta Żakowska, Adam Gawron. Niestety, w bazie danych Ośrodka Przetwarzania Informacji Państwowego Instytutu Badawczego w portalu: Nauka Polska, w bazie danych: *Ludzie nauki* – brak jest jakichkolwiek adnotacji o opublikowanym już dorobku naukowym autorów raportu. Zespół programu badawczego DNA Miasta od 2009 r. badał ponad 100 polityk kulturalnych w polskich miastach, w sześciu z nich – w tym dla Katowic – przygotował specjalne raporty. Badaniami nad kulturą w miastach i politykami kulturalnymi miast zajmowali się w przeszłości znakomici polscy badacze, jak m.in.: prof. Aleksander Wallis, prof. Antonina Kłoskowska, Bohdan Jałowicki, Dorota Ilczuk, Monika Smoleń, w Katowicach m.in. prof. Kazimiera Wódz, dr hab. Tomasz Nawrocki, prof. Ewa Kosowska, dostępne są także przekłady na język polski – opublikowane w serii *Kultura się liczy*, realizowanej przez Narodowe Centrum Kultury – znakomitych prac m.in.: Davida Throsby’ego, Ruth Towse i wielu innych. Ten typ refleksji naukowej towarzyszy nam od dawna.

Na tekst Raportu składa się sześć rozdziałów merytorycznych. Autorzy podkreślają, że badania swe realizowali w okresie niespotykanej w Polsce tak szybkiej i efektywnej transformacji swojego wizerunku z miasta przemysłowego w „miasto ogrodów„ (...) dzięki któremu w najbliższych latach mogą stać się jedną z najciekawszych europejskich metropolii i dalej: *polityka kulturalna Katowic może wyznaczyć dobry standard w tej dziedzinie w Polsce, tę optymistyczną wizję popierają twierdzeniem, iż miasto posiada bogatą i różno-*

rodną ofertę kulturalną skierowaną do różnych grup odbiorców i prezentującą kulturę ciekawą związaną z lokalną tożsamością, przygotowaną na wysokim poziomie i mogącą konkurować nie tylko w kraju, ale i w Europie. Podkreślają też pozytywną rolę w procesie integracji środowisk, jaką spełniły przygotowania i procedura realizacji zamierzeń związanych z aspiracjami Katowic do tytułu Europejskiej Stolicy Kultury. Ale do owych, niewątpliwie zasłużonych, pochwał (choć może nieco przesadnych), wlna zostaje przystawiona „łyżka dziegciu”. W tekście Raportu pojawiają się bowiem także akcenty negatywne, sprowadzone do następujących zwerbalizowanych zarzutów (postulatów?):

a/ Katowice potrzebują pilnej korekty aktualnej strategii rozwoju kultury;

b/ trudno mówić o spójnej i rozpoznawalnej przez środowisko wizji rozwoju kultury w Katowicach; braku spójnej wizji rozwoju kultury komunikowanej środowisku;

c/ nie ma dostatecznej przestrzeni dla dyskusji o stanie przyszłości katowickiej kultury;

d/ Instytucja Kultury Katowice – Miasto Ogrodów chwalona wielokrotnie w tekście Raportu, posadzana jest o „wypalenie się” stojącej za tą instytucją idei.

Z tych uogólnień rodzą się Rekomendacje sprowadzone do trzech zasadniczych tez:

1/wykorzystania procesu koniecznej aktualizacji Strategii Rozwoju Kultury Katowice 2020+ jako działania mającego na celu nie tylko określenie dalszych kierunków rozwoju kultury, ale również jako okazja do wyjaśnienia istniejących nieporozumień i wątpliwości, co do najważniejszych działań prowadzonych w ramach katowickiej polityki kulturalnej;

2/ poddania publicznej ocenie i dyskusji polityki kulturalnej miasta, jej tworzenie powinno odbywać się w sposób partycypacyjny; skonstruowanie nowej wizji katowickiej polityki kulturalnej;

3/drugim zasadniczym kluczowym obszarem polityki kulturalnej (obok programu związanego z tytułem Miasta Kreatywnego w dziedzinie muzyki UNESCO) być powinno systemowe wspieranie działań prowadzonych poza centralnymi dzielnicami miasta, ukierunkowane na wzmocnienie uczestnictwa w kulturze, jej upowszechniania i zwiększenie dostępu – do kultury.

Metodami prowadzącymi do realizacji i sukcesu tych rekomendacji powinny być m.in. – zdaniem autorów Raportu: ogłoszenie konkursu na koncepcję dalszego rozwoju wizji kultury w mieście (kluczowym ma być regulamin owego konkursu?), cykl debat o współczesnej kulturze miejskiej, mających na uwadze troskę o realizację istniejących i przyszłych potrzeb kulturalnych mieszkańców.

Poza proponowanym wyżej postulatem modyfikacji Strategii Rozwoju Kul-

tury Katowic 2020+ (jak słusznie to zauważają autorzy Raportu – dokumentu prawie nieznanego w środowisku twórców, animatorów i odbiorców, i dodajmy niedostępnego na stronach internetowych Urzędu Miasta, 54% respondentów deklarowało brak znajomości tego dokumentu), wyznaczeniem nowych celów polityki kulturalnej, kreującej nową „legendę miasta”, apeluje się o poprawę jakości komunikacji pomiędzy władzami miasta a środowiskami kultury i instytucjami kultury, ten dział zawiera postulat *przemyslenia reorganizacji sieci instytucji kultury w Katowicach, powołania drugiej obok Katowice Miasto Ogrodów – Instytucji Kultury im. K. Bochenek, nowej instytucji zajmującej się programem działań związanych ze zdobyciem tytułu Miasta Kreatywnego UNESCO*, tworzenia zachęt do nawiązywania współpracy i organizacji wspólnych wydarzeń poza centrum miasta, przeciwdziałaniu niskiej aktywności organizacji pozarządowych w kształtowaniu polityki kulturalnej miasta, decentralizację zarządzania kulturą w Katowicach, prawie połowa wniosków (od 11 do 20) dotyczy polityki finansowej w sferze kultury. Nie sposób nie zgodzić się ze spostrzeżeniem definiowanym przez przedstawicieli NGO, a sprowadzającym się do stwierdzenia iż krytycznie oceniają *skupienie się polityki kulturalnej miasta na prawie wyłącznie funkcji promocyjnej, kosztem m.in. systemowego wspierania działań lokalnych, edukacji i aktywizacji mieszkańców dalszego rozwoju kultury uczestniczącej.*

Trudno także nie zgodzić się z konkluzją stwierdzającą, iż *Myślenie strategiczne opiera się na wyborze priorytetów i wiąże się z selektywnym wsparciem różnych przejawów aktywności kulturalnej. Istotne jest, aby selekcja była jasno zdefiniowana i precyzyjnie uzasadniona.*

Autorzy dokumentu poświęcają obszerny fragment analizie tekstu, wspomnianej wyżej Strategii, pozostawmy ją jednak na boku, skupiając się wyłącznie na konkluzji, którą można streścić jednym zdaniem: trzeba we współpracy ze środowiskami twórczymi napisać nową, funkcjonalną i rzetelną Strategię Rozwoju Kultury dla Katowic.

Niezwykle frapująco zapowiada się fragment Raportu zatytułowany *Tożsamość miasta, Katowice a region*. I od razu dodajmy, tytuł zapowiada znacznie więcej, niż zawarta pod nim treść. Start Katowic w konkursie o tytuł ESK uznawany jest przez autorów Raportu jako przełomowy dla polityki kulturalnej miasta, a podstawowa konkluzja Raportu brzmi: *Zmiana wizerunku miasta, którego symbolem był przemysł ciężki: kopalniane szyby i fabryczne kominy; wzmocnienie go ideą „Miasta Ogrodów” (nigdy jednak nie zrealizowaną w pełni) to na poziomie symbolicznym istotny sukces polityki kulturalnej w ostatnich latach*. Twierdzenie to osłabia opinię o miernej identyfikacji miesz-



kańców dzielnic Katowic z miastem Katowice, oraz traktowaniem przez *nowych Ślązaków* (30-latkowie+) dziedzictwa przemysłowego miasta i jego historii nie jako integralnej części ich osobistej narracji historycznej, ale jako źródło nowego języka w rejestrowaniu „doświadczenia śląskości”. Badacze podkreślają także brak współpracy pomiędzy samorządami sąsiadującymi ze sobą miast.

Autorzy wiele miejsca poświęcają analizie działalności Instytucji Kultury – Katowice Miasto Ogrodów, zaledwie odnotowując rezultaty wieloletniej efektywnej działalności Zespołu Śpiewaków Miasta Katowice „Camerata Silesia”, mrówczej pracy Instytucji Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia”, Muzeum Historii Katowic, czy chociażby Miejskiej Biblioteki Publicznej, nie wspominając o pięciu domach kultury i teatrze „Ateneum”. Czytelnik Raportu nie dowie się niczego o programie działań tych instytucji, czy chociażby statystyce i ilości zorganizowanych imprez, liczbie odwiedzających je, uczestników spotkań itp.



Koncert promenadowe w Parku Kościuszki przyciągają nie tylko melomanów ale także chcących spróbować swoich sił w nauce np. yiddish tango

Szczególne zainteresowanie IK KMO wynika z faktu dysponowania przez tę instytucję wielomilionowym budżetem: w sumie 24,8% środków przeznaczonych dla wszystkich instytucji kultury w okresie 2011–2015 zostało zaabsorbowanych przez IK Katowice Miasto Ogrodów. Ambiwalencja w ocenie skutków działalności tej instytucji (i jej dyrektora – to szczególne wyróżnienie, o innych personach w sferze kultury Raport kompletnie milczy) – od najdalej idącej aprobaty, aż po krytykę personalną, nie czyni konkluzji Raportu bardziej wiarygodnymi. Ten pełen sprzeczności fragment Raportu, pozostawia wiele kwestii świadomie niedopowiedzianych lub nazbyt jednostronnie zaprezentowanych. Ta słabość dokumentu jest efektem zastosowanej metody. Raport – tak naprawdę – nie relacjonuje koncepcji polityki kulturalnej miasta Katowic. Traktuje miasto, raczej jako podmiot impresaryjno-finansowy. Nie wnikając w merytoryczne założenia i treść realizowanej polityki kulturalnej miasta, śli-

zga się po powierzchni tego, jakże ważnego zagadnienia, budując uogólnione konkluzje na granicy banału, oczywistych, powszechnie znanych postulatów lub wniosków. Autorzy nie mają narzędzi, pozwalających im włączyć się w zrozumienie i opis gwałtownie zachodzących procesów zmian systemu i hierarchii wartości, wzorów zachowań, preferencji artystycznych. Nie mogą więc odpowiedzieć na pytanie, czy te zjawiska są np. skutkiem polityki kulturalnej miasta, czy też ona jest właśnie efektem tych zjawisk społecznych, demonstrujących się np. organizacją wielkich imprez z zakresu kultury masowej, marginalizacją funkcji środowisk twórczych, postulowaną lub rzeczywistość zachodzącą zmianą funkcji niektórych dzielnic (Nikiszowiec i in.) lub ulic miasta (Mariacka), rodzenia się niszowych i kontestacyjnych ugrupowań artystycznych, pozarządowych organizacji lokujących swą działalność w sferze kultury, nawet nie lokalnych, ale mikrosocjalnych periodyków, rozgłośni,

starannie pomijają zagadnienia współpracy – lub jej braku – z funkcjonującymi w mieście ośrodkami akademickimi i... religijnymi, nie wspominając o tradycyjnie wmontowanej w politykę kulturalną Katowic sferze sportu i rozrywki, wreszcie zupełnie zapominając o swoistej, realizowanej w Katowicach, w ramach polityki kulturalnej – polityce historycznej, której widoczny efekt możemy obserwować na skwerze placu Grunwaldzkiego. Z Raportu nie wynika w ogóle, by miasto prowadziło jakąkolwiek politykę wobec przemysłów kultury: wydawnictw, agencji artystycznych, medialnych, prywatnych galerii, księgarń (tych ostatnich prawie już nie ma w Katowicach – więc pewnie dlatego pominięto tę kwestię). A wystarczyłoby dokonać analizy chociażby kilkunastu artykułów, których autorzy wszystkie te kwestie analizowali lub przynajmniej sygnalizowali w publicystyce miesięcznika „Śląsk”. Toteż analiza funkcjonowania Instytucji Kultury Katowice – Miasto Ogrodów może być w tym kontekście



Jazzart Festival Koncert Aukso In Motion, NOSPR 2016.

dokonana jedynie w perspektywie finansowej oraz personalnej, a jej fundamentalna funkcja w procesie ubiegania się Katowic o tytuł ESK i ocena samego pomysłu realizowania polityki kulturalnej miasta w takiej formie – ujęta bardzo ogólnikowo. Dla innych, merytorycznych aspektów działalności – nie tylko zresztą tej instytucji – zabrakło narzędzi poznawczych.

Należy przyznać autorom Raportu, że wykonali przydatną dla badaczy polityki kulturalnej miasta pracę dokumentacyjną, demonstrując finansowe zaplecze polityki kulturalnej Katowic. Każdego roku miasto przeznaczało około 121 mln zł na kulturę i ochronę dziedzictwa narodowego. Oczywiście, nawet te kwoty, zresztą w znacznej części przeznaczone na wydatki na tzw. infrastrukturę (wydatki majątkowe) – nie zaspokoją w dostatecznym stopniu potrzeb, czemu dali wyraz w przeprowadzonych z nimi wywiadach pracownicy instytucji kultury. Głęboka analiza dystrybucji tych środków mogłaby demonstrować i ujawnić realne priorytety realizowanej, miejskiej polityki kulturalnej. Inspirujące są wyliczenia sum środków dostępnych w corocznych konkursach dla NGO w latach 2011–2015, stanowiące od 0,5% do 1,5% budżetu na kulturę (a np. w Białymstoku to 7,4%, Poznaniu 9,6%), oraz liczba ubiegających się o owe środki z budżetu miasta organizacji pozarządowych, których w roku 2014 było 245 (dofinansowanie uzyskały 142 organizacje; kwota do podziału 1 007 000,00 zł); a w 2015 zabiegały o dofinansowanie już tylko... 132 organizacje, a dofinansowanie uzyskało „aż” ... 96 podmiotów z puli 966 930,00 zł. Autorzy Raportu,

w taktowny sposób, skomentowali ten „imponujący” wysiłek budowania podstaw społeczeństwa obywatelskiego w Katowicach.

Warto kontynuować wysiłki dla zbudowania kolejnego Raportu o polityce kulturalnej miasta Katowice, jednakże konieczne trzeba uniknąć słabości dokumentu, którym dziś dysponują władze samorządowe. Perspektywa antropologiczna, socjologiczna, kulturoznawcza,

powinna dominować nad statystyczną, finansową, a narzędzia badawcze nie powinny ograniczać się wyłącznie do analizy zastanych dokumentów i wybranych wywiadów z wyselekcjonowanymi przedstawicielami tzw. środowisk kultury, ale poszerzona winna być o analizę stanowisk i postaw suwerena, czyli mieszkańców Katowic. ■

TEKST SPONSOROWANY



„Rola Polski w Europie Środkowo Wschodniej”

– to tytuł Debaty RODM, która odbędzie się

26 września br. o godzinie 14.15

w sali Klubu Marchońt

w Katowicach przy ul. Warszawskiej 37.

W dyskusji wezmą udział między innymi:

**Petruška Šustrová – b. Wiceminister Spraw Wewnętrznych
i Jan Ruml – b. Minister Spraw Wewnętrznych Republiki Czeskiej
oraz dr Jerzy Targalski – politolog.**

*Projekt współfinansowany przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych
Rzeczypospolitej Polskiej.*

*Publikacja wyraża jedynie poglądy autora i nie może być utożsamiana
z oficjalnym stanowiskiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP.*



Zdjęcie: z arch. Barbary Kruczkowskiej

Maria i Wiktor Parkowie z dziećmi Basią i Jurkiem, Czeladź, 1943 r.

Dzieci Potulic

tekst i zdjęcia
BEATA TOMANEK

Mały domek. Jak z rysunków dzieci: piętrowy, z dwuspadowym dachem, dużymi drzwiami i oknami po każdej ze stron. W oknach uśmiechnięte buźki: z prawej dziewczynka, z lewej jej starszy braciszek. W sąsiedztwie zielone drzewa, z komina obłoczki dymu unoszą się w błękit. W domu mama gotuje obiad. Pachnie koperkiem. Sierpniowy upał, chłopiec odgania pszczołę od bawiącej się grzecznie na kocyku siostrzyczki. Czułe spojrzenie mamy. Ulobiona różowa sukienka z białymi falbankami. Miły spokój, zapach lata... Taki obraz zachował się w kruchej pamięci małego dziecka.

Tragiczna noc

przyszła 11 sierpnia 1943 roku. Pod spokojny dom między drzewami podjechał wóz. Wskoczyli z niego Niemiec żołnierz, sforsowali drzwi,

wtargnęli do domu i brutalnie wyrwali domowników ze snu. Rozespiane dzieci wyrzucone z łóżek zaczęły od razu płakać, a nieprzytomna ze strachu mama próbowała zebrać myśli i jak najszybciej pozbierać najpotrzebniejsze rzeczy, ubrania dla siebie i dzieci. Nie czuła szturchnięć i razów. Nie słyszała wyzwisk i obelg. Myślała o dzieciach. Próbowała osłonić je przed złymi spojrzzeniami i lufami karabinów. Już po kilku minutach popychana i kopana przez esesmanów rodzina znalazła się na chodniku przed domem. Tu zobaczyła sąsiadów podobnie wyrwanych ze snu. Siłą pakowanych do wozów, które ustawiono wzdłuż ulicy. Nocną ciszę przerywały jęki, płacz, wzajemne nawoływania się bliskich, wrzaski żołnierzy i strzały. Upchani w ciężarówce między innymi, sparaliżowani strachem zdążyli jeszcze spojrzeć na swój dom oddalający się z każdą sekundą. Wkrótce pochłonęła go noc.

Mama, Maria Parka oraz jej dzieci: 9-letni Jurek i 3-letnia Basia znaleźli się wśród 76 rodzin wytypowanych przez gestapo. Wybrano je po kilku miesiącach pracy nad ujawnieniem antyhitlerowskiego podziemia działającego na terenie Zagłębia. Wielomiesięczne rozpoznanie, doniesienia konfidentów zaowocowały listą ludzi związanych z ruchem oporu. Z myślą o jego likwidacji zorganizowano akcję Oderberg. Objęła swoim zasięgiem Zagłębie oraz rejon Chrzanowa i Jaworzna. Rozpoczęto ją 10 sierpnia 1943 roku. Z domów zabierano całe rodziny. Nocą 11 sierpnia zatrzymano w Czeladzi ponad 200 osób. Wśród nich rodzinę Wiktora Parki. On, wówczas trzydziestoletni mężczyzna, znany w mieście społecznik. Pomagał innym. Po pracy prowadził zbiórki harcerskie dla młodzieży. Również w czasie wojny. Był zatrudniony w kopalni Saturn. Pracował jako elektromonter w wieży wyciągowej. Kiedy rozpoczynała się akcja Oderberg



Barbara Parka-Kruczkowska nad bezcennymi albumami pełnymi dramatycznych wspomnień z czasów wojny. Czeladź, 2016

miął szychtę na dole. Tam podszedł do niego jeden z harcerzy i powiedział:

– Wiktor, nie możesz dzisiaj wyjechać, bo na górze jest gestapo, czekają na ciebie. Wszystkie wyjścia obstawione. Rodziny już zabrali. Musisz uciekać.

Takie wiadomości są jak pocisk przesywający ciało. Bólu nie czuje się od razu. Na początku zwycięża instynkt samozachowawczy. Wyzwolona śmiertelnym zagrożeniem adrenalina popycha do działania. Wiktor znał kopalniane korytarze na pamięć. Szybem wentylacyjnym po drabinie wyszedł w bezpiecznym miejscu. Widział z daleka wozy i esesmanów. Nasypem wzdłuż torów kolejowych ruszył w kierunku Sosnowca. Szedł, a z czasem biegł drogą, którą transportowano wydobywany codziennie węgiel. Strach i adrenalina znieczuliły go. Jednak przyszła w końcu taka chwila, że przez emocjonalny paraliż przedarła się myśl: „Może już nigdy nie zobaczę mojej ukochanej rodziny, żony i dzieci?”. Wtedy dopiero poczuł wypełniającą go i obezwładniającą rozpacz. Był zdruzgotany. Zaczął sobie wyobrażać, co mogło wydarzyć się w domu. Dzieci przecież spały. Wyrwane ze snu musiały być przerażone. A jak ukochana Marysia poradziła sobie z takim barbarzyństwem? Przecież ona taka delikatna. A jego nie było w takiej chwili z nimi. Co ma robić? Gdzie są teraz jego najbliżsi?.

Milion myśli

równocześnie, chaotycznie, natychmiast wypełniło jego głowę. „Może po-

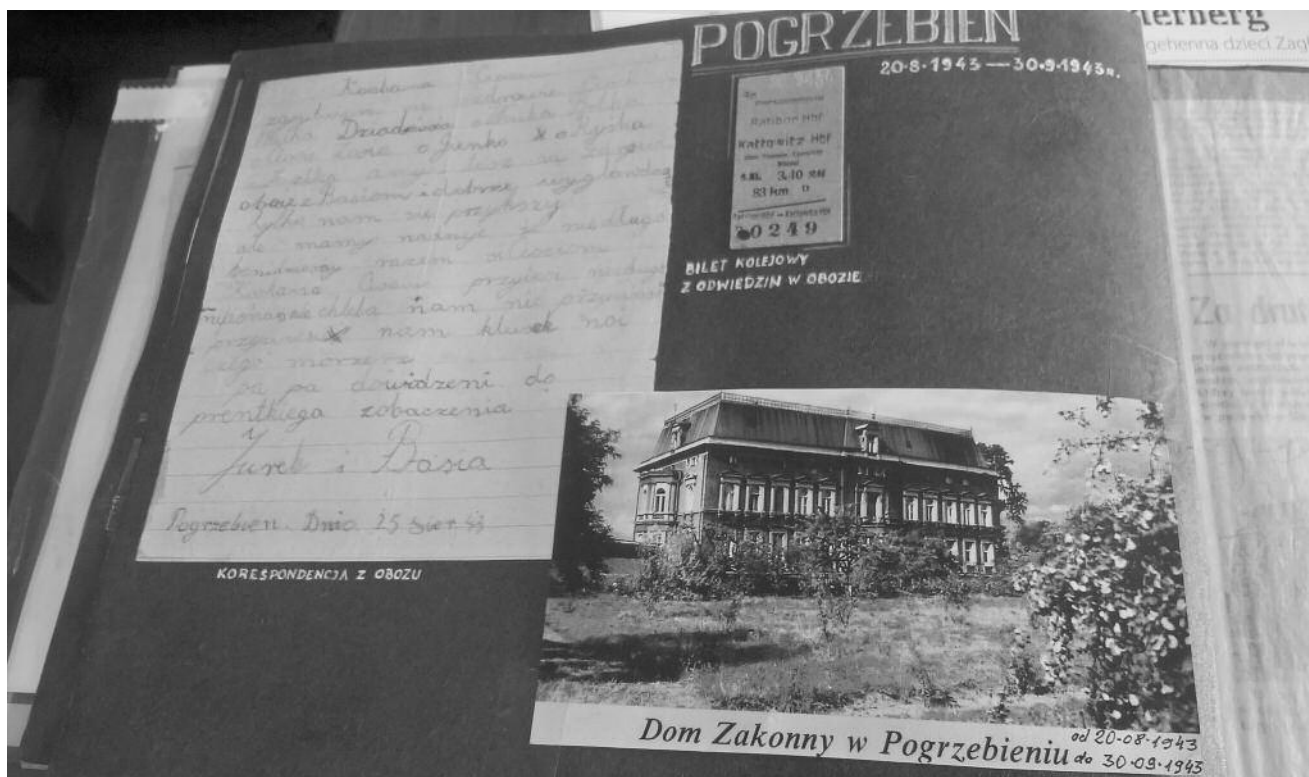
winien wrócić do domu? Może zdarzył się cud i gdzieś się zdążyli schować? A może to nieprawda? Może szukali tylko jego? Uciekać, ale gdzie? Kto go przyjmie?”. W udręce zaczął znowu biec. Przed siebie, bez celu. Jedną myśl była jednak coraz bardziej natrączywa. Doganiała go. Była gorzka jak trucizna. Myśl, że stracił bliskich, czyli wszystko to, co było dla niego ważne. Docierało do niego, że nie ma już domu i nie ma dokąd wracać. Zatrzymał się, żeby zadać sobie zasadnicze pytanie: „Co dalej robić?”. Każdy człowiek, nawet w najtragiczniejszej sytuacji, nawet wtedy, kiedy czarne myśli zamieniają dzień w noc, czeka na chwilę, kiedy przychodzi nadzieja. Ona odpowiedziała Wiktorowi, że warto zaważać jeszcze o własne życie. „Nie znamy przecież przyszłości – pomyślał – „może będę mógł jeszcze pomóc swojej rodzinie?”. Była głęboka noc, kiedy zobaczył domek kolejarza. Zapukał. Otworzył człowiek mniej więcej w jego wieku. Wiktor opowiedział, co się stało, że jest poszukiwany przez gestapo. Poprosił o pomoc, o możliwość ukrycia się. Rozmowy trwały długo. Kolejarz bał się o swoją rodzinę. Również miał dwójkę dzieci. Jednak sumienie nie pozwoliło mu odmówić. Ustalili, że na strychu, pod dachem, za szafą będzie miał legowisko, pod warunkiem, że się nie ujawni, nie będzie się kontaktował z rodziną i wychodził tylko nocą, na chwilę. Tak Wiktor przeżył dwa lata. Z kryjówki wyszedł dopiero po wyzwoleniu, w styczniu 1945 roku. Rodzina nie знаła jego losów, bliscy sądzili, że zginął.

Scenariusz na życie

– Mówi się, że każdy pisze własną historię. Ja jednak wiem, że ważne jest przeznaczenie. Są ludzie, którzy dostają od Losu „scenariusz na życie”. Mój ojciec taki miał i dzięki temu mógł później uratować nas – Barbara Kruczkowska ma przyjemny, spokojny głos. Uśmiecha się. Co jakiś czas, skupiona, zastanawia się, jak najprecyzyjniej przekazać swoje przemyślenia, jakich wyrażen użyć, by być jak najbliższej prawdy, tego, co zostało w jej pamięci. Bez używania wielkich słów. Często jest wręcz lapidarna.

– Wyobrażam sobie zdarzenia nocy 11 sierpnia 1943 roku. Nic nie zostało w mojej pamięci. Byłam za mała. Miałam przecież tylko 3 latka. Ale mój brat zapamiętał więcej. Przeżył ten strach, rozłąkę i tęsknotę świadomie. Wojenny koszmar mieszkał w jego głowie długo. Złożył album, w którym opisuje nasze losy. Proszę spojrzeć – rozkłada na biurku duży, ciężki, oprawiony w drewniane, masywne okładki album. Na drewnie wryte są obozowe druty kolczaste z wieżą strażniczą. Na pierwszej stronie zdjęcie całej rodziny; uśmiechnięte, szczęśliwe twarze.

– To zdjęcie zostało wykonane w sierpniu na dwa tygodnie przed aresztowaniem. Dokładnie tak wtedy wyglądaliśmy. Kiedy myślę o dzieciństwie, widzę w wyobraźni tę różową sukienkę – Kruczkowska uśmiecha się do swoich wspomnień. – Nigdy już nie wróciliśmy do naszego szczęśliwego domu w Czeladzi naprzeciwko Parku Jordana.



Jedna z kart albumu ze zdjęciem przedstawiającym dom zakonny w Pogrzebieniu i obozową korespondencję. Widok z 1943 r.

Dzisiaj już go nie ma. Został wyburzony po wojnie. Ten album jest wszystkim, co po nim zostało, po moim dzieciństwie, to jest też jedyne zdjęcie rodzinne, jakie mam i zdjęcie domu. Całą resztę znam z opowieści brata.

Jerzy Parka miał 9 lat, kiedy aresztowało rodzinę gestapo. Przez następne lata opiekował się siostrą. Byli silnymi dziećmi. Przeżyli.

– Mój brat Jurek przebył naszą drogę jeszcze raz, żeby mi pokazać i opowiedzieć, co się wtedy wydarzyło. Dzisiaj wiem, że nocą 11 sierpnia 1943 roku Niemcy przewieźli nas do pobliskiej szkoły – pani Basia stara się być dokładna – to była szkoła nr 1 na drodze do Będzina. Spędzili nas wszystkich do sali gimnastycznej. Mężczyzn powyżej 16 roku życia od razu odłączono od rodzin i przewieziono do Auschwitz. Mamy z dziećmi odtransportowano na Gestapo do Mysłowic. Tam przesłuchiowano dorosłych. Po kilku dniach odebrano dzieci matkom, dosłownie wrywano z rąk, nawet niemowlęta. Jeszcze tego samego dnia kobiety przewieziono do obozu koncentracyjnego. Nasza mama trafiła do Auschwitz. Dzieci były w różnym wieku. Na szczęście rodzeństw nie rozdzielano. Oczywiście ze względów praktycznych, starsze dzieci zajmowały się młodszymi. Nazajutrz przewieziono nas do Polenlagru w Pogrzebieniu.

Pogrzebien to przyjemna wioska w powiecie raciborskim. Od 1313 roku wieś należała do klasztoru Dominikanek jako wiano Eufemii Ofki. W 1800 roku dobra nabył Jan Nepomucen Larisch, ojciec Luizy, która wyszła za mąż

za Josepha von Eichendorffa, w 1882 roku dobra nabył Artur Baildon dla swojego syna. Główną atrakcją Pogrzebienia jest neorenesansowy pałac. W 1930 roku posiadłość przejął zakon Salezjanów, a w latach II wojny światowej w pałacu na krótko utworzono obóz przejściowy dla reemigrantów niemieckich z Besarabii oraz Bukowiny a następnie utworzono dla ludności polskiej Polenlager 82, który stał się obozem dla dzieci, tzw. Kinderlager. Obecnie w pałacu jest klasztor siostr Salezjanek, które nabyły go w 1946 roku.

Pani Barbara przewraca karty albumu jakby czegoś szukała. W końcu wypada plik papierów. To kserokopie dokumentów.

– To są karty przewozowe. Proszę sobie wyobrazić, że historia sama upomniała się o pamięć. Tak to interpretuję, myślę nawet, że to te dzieci, które zginęły, sprawiły że znów po ponad 70 latach mówi się o Pogrzebieniu i o nas. Proszę sobie wyobrazić, że siostry zakonne postanowiły niedawno sprzedać przybudówkę należącą do pałacu i porządkując strychy znalazły właśnie te pliki papierów. To są listy przewozowe dzieci. Dowód naszej tułaczki. Byliśmy tam. Proszę spojrzeć!

Pani Barbara rozkłada dokumenty i czyta:

– Jerzy Parka urodzony 29 kwietnia 1934 roku w Czeladzi i Barbara Parka urodzona 9 stycznia 1940 roku w Czeladzi. To są kopie. Oryginały znajdują się w Muzeum w Wodzisławiu. Proszę spojrzeć, jest data 15 sierpnia 1943 roku. Mama była już wtedy w Oświęcimiu. Jest też wzmianka, że

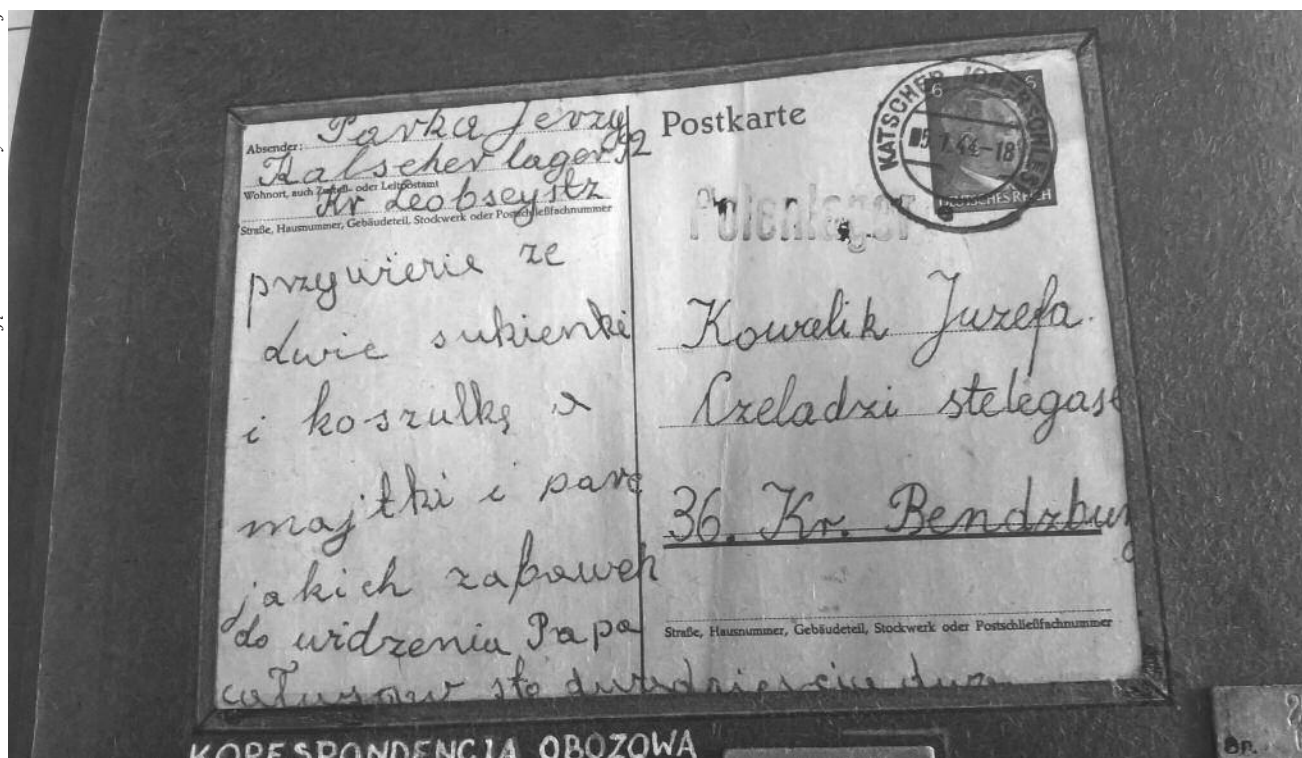
w wyniku akcji Oderberg przywieziono z Czeladzi i okolic 82 dzieci, razem zatrzymanych dzieci: 214.

Pani Barbara sięga ponownie po album w drewnianych okładkach. Przewraca kilka stron i kontynuuje opowieść:

– O tak wygląda ten pałac. Są zdjęcia. Brat robił. Byliśmy tam kilka razy. A obok brat naszkicował trasę naszej tułaczki, z obozu do obozu. Rozdzielano naszą grupę kilka razy, ale spotkaliśmy się znowu w Boguminie i Beneszowie w Czechach, potem przerzucano nas do lagrów w Kietrzu, Gorzycach, Liskach, Jastrzębiu, Rybniku, ostatecznie trafiliśmy do Potulic koło Bydgoszczy. Staliśmy się więźniami nr 6007a oraz 6007b. W Potulicach znajdował się obóz pracy dla przesiedlonych rodzin.

Obóz został założony 1 lutego 1941 r. jako obóz zbiorczy dla polskich rodzin wysiedlanych z Pomorza, a następnie kierowanych na teren Generalnego Gubernatorstwa. Początkowo mieścił się w budynkach miejscowego folwarku. W okresie od jesieni 1941 rozpoczęto rozbudowę, która trwała aż do końca 1944 r. Przebywało w nim około 25 tys. osób. Więźniowie początkowo kierowani byli do prac w gospodarstwach rolnych i w dużych zakładach przemysłowych na terenie okręgu Gdańsk – Prusy Zachodnie. Po rozbudowie obozu na jego terenie powstawały także filie przedsiębiorstw przemysłowych. W ramach obozu wydzielono wkrótce obóz dla dzieci ze wschodu – Ostjugendbewahrlager.

– Pamiętam, że ten obóz był otoczony drutami, żeby nikt nie miał z nami kontaktu, a także żebyśmy też z nikim



Kartka obozowa napisana przez 9-letniego Jurka Parkę do bliskich z Będzina

nie mogli rozmawiać. Starsze dzieci wychodziły rano do pracy w polu, młodsze, takie jak ja, sprzątały obóz. Głód był straszny. Pamiętam też okropne zimno. Dzieci umierały jak muchy. Po prostu nie budziły się rano. Jurek opiekował się mną jak mógł najlepiej. Teraz wiem, że byliśmy wyselekcjonowani do Niemiec. Trafilibyśmy do rodzin niemieckich, gdyby wojna nie zmieniła swojego przebiegu. Kiedy trafiliśmy do Potulic było wiadomo, że akcja została zawieszona, więc nie byliśmy już nikomu potrzebni. Mogliśmy umrzeć. Więc starsze dzieci ciężko pracowały w polu oraz zajmowały się dziećmi niesamodzielnymi, jak ja. Myły je, ubierały, karmiły. Za każde uchybienie były karane: bite, podtapiane w basenie przeciwpożarowym, zamknięte w lochu. Jurek musiał przeżyć prawdziwy koszmar, ale nie opowiadał za dużo. Raczej tłumił wszystko w sobie, jedynie ten album jest zapisem jego przeżyć. Miał taką potrzebę, żeby dokumentować świadectwo naszej kaźni, żeby ludzie się dowiedzieli. Zнали historię martyrologii dzieci w czasie wojny. Z tego względu nie ma w tym albumie wspomnień, są tylko dokumenty.

Pani Basia przewraca stronę za stroną albumu.

– Zachowało się kilka listów Jurka do naszej cioci. Pisał jak potrafił, nie zdążył się przecież wiele nauczyć w szkole. Roztkliwiają mnie te listy, bardzo. Proszę, zaczyna list od słów: „Kochana Ciociu, zapytujęm się ozdrowie Cioci, Wujka, Dziadziusia, Wujka Bolka, o Cioci Zosi, o Gienka, o Ryśka i Juzka amy tesz są zdrowi w obozie z Basiom i dobrze wyglondamy.... mamy nadzieje że niedługo bendziemy razem s Cio-

ciom...”. Jurek był bardzo dzielny. Opowiadał mi kiedyś, jak pracował w polu i razem z innymi wrywali marchewki. Schował jedną pod koszulkę, żeby mi przynieść do obozu, ale został przyłapany. Kilka dni siedział sam w karcerze, w ciemnościach. Przecież to był mały chłopak. Takie okrutne to były czasy. Wujek odwiedził nas dwa razy, ale co to były za odwiedziny! Widzieliśmy się z daleka przez kraty. W albumie są nawet bilety na pociąg, którym do nas jechał. Ryzykował, bo jego żona, nasza ciocia była w ciąży tuż przed rozwiązaniem. Bała się, że zostanie sama w tej trudnej sytuacji. Kiedy dzisiaj myślę o tamtych czasach, widzę wyraźnie – to był cud, że przeżyliśmy. Wujek powiedział nam wtedy, że nasza Mamusia zginęła w Oświęcimiu, w styczniu 1944 roku, a ojciec w tę noc, kiedy nas zabrali. Zostaliśmy sami. Wiedzieliśmy o tym. W Potulicach byliśmy do wyzwolenia. Przeżyliśmy. Wiele zawdzięczamy dobrym ludziom. Mówię o nich

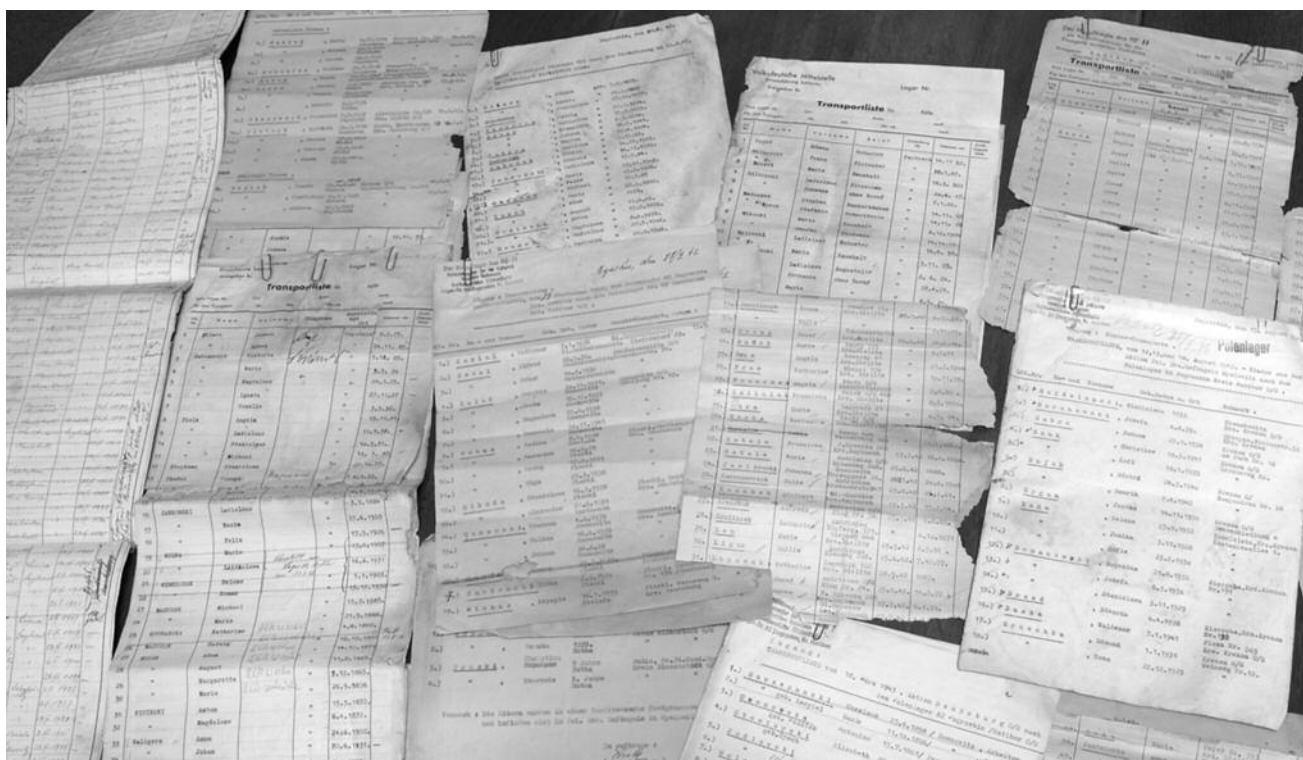
Zwyczajni bohaterowie

Pani Barbara coraz częściej popada w zadumę. Zatrzymuje się, jak gdyby wchodziła w przeszłość i z trudem stamtąd wracała.

– Z tym wyzwoleniem naszym też wiąże się dramatyczna historia – podejmuje przerwany wątek. – To, że front się zbliżał było słychać od jakiegoś czasu. Niemcy uciekali, ale też zacierali ślady jak mogli. Nasze dwa baraki, które stały w wydzielonej przestrzeni ogrodzone drutem kolczastym obstawiły beczkami ze smołą i naftą oraz inny-

mi jakimis łatwopalnymi pakunkami. Wszystko tak przygotowali, żeby podpalić nasze baraki przez swoim wyjściem. Gdyby dzieci spłonęły w tych barakach, nie byłoby śladu, że w ogóle tu były. I zdarzył się cud, to naprawdę ingerencja Opatrzności Bożej, bo żołnierze radzieccy weszli do naszego obozu nocą i Niemcy nie zdążyli nas podpalić! Naszym przeznaczeniem było przeżyć, ale po wyzwoleniu mogliśmy przecież trafić w różne strony, byliśmy przecież tacy mali. Cóż mogło się z nami stać? Zostaliśmy wtedy w wyzwolonym obozie aż ktoś zdecyduje co z nami zrobić. Jak tylko została wyzwolona Czeladź, ujawnił się mój ojciec. Wyszedł z kryjówek i poszedł do swojej siostry. Od razu z wujkiem, który wiedział, gdzie jesteście, zaczęli organizować wyjazd po nas do Potulic. To nie było łatwe. Jeszcze trwała wojna, drogi były niebezpieczne. Pociągi nie kursowały systematycznie, często szyny były powyrywane, trzeba było się przesiadać. Iść pieszo. Trzeba było też uzyskać niezbędne dokumenty, czyli wyzwolenia na taką podróż, od wojewody katowickiego Jerzego Ziętka oraz komendantury radzieckiej. W dniu 10 lutego 1945 roku ruszyli w drogę: mój ojciec Wiktor Parka, wujek Teofil Kowalik oraz Władysław Bazior i Jan Polak. To była niebezpieczna wyprawa. Poruszali się bezpośrednio za frontem. Dotarli do Potulic po 5 dniach. Droga powrotna trwała krócej. Zabrali ze sobą 54 dzieci. Do Czeladzi dotarli 19 lutego 1945 roku.

To było wielkie wydarzenie, opisano je w „Dzienniku Zachodnim” z dnia 27 lutego 1945 roku:



Fot. Muzeum w Wodzisławiu Śląskim

Listy transportowe więźniów z obozu w Mysłowicach sporządzone w 1943 r., zostały odnalezione w 2015 roku. Ukryte były w szczelinie poddasza budynku należącego do zabudowy pałacowej w Pogrzebieniu.

„Wzruszający moment przeżyła w ubiegłą niedzielę Czeladź, która pierwsza miała szczęście powitać grupę 54 dzieci wyrwanych z piekła obozu hitlerowskiego pod Bydgoszczą (...) W międzyczasie przed lokalem PPS (gdzie chwilowo przebywały dzieci) zebrało się tysiące ludzi, którzy w pewnym momencie odkryli głowy przed grupą małych mężczyznów śpiewając rote.”

– Po kilku dniach ci dzielni panowie wrócili do Potulic, żeby przywieźć następne dzieci, które tam zostały, a pochodziły z naszego regionu. Proszę sobie wyobrazić, że mój ojciec próbował się skontaktować z bliskimi tych dzieci, jeździł, umawiał się, zawoził je na miejsce. Na peronach czekali rodzice lub opiekunowie i odbierali je płacząc ze szczęścia. Do Czeladzi w drugiej grupie przyjechało prawie 100 dzieci. Wszystkie były wychudzone, chore, słabe, część osierocona. W dworku, w którym miał zamieszkać dyrektor kopalni zorganizowano sierociniec dla tych, które nie miały domu. To tak, jak my, więc ten pierwszy okres po zakończeniu wojny spędziliśmy z bratem tam. Kochana była pani dyrektor sierocińca, Zofia Przystojecka, okazywała nam tyle serca i czułości. Bardzo tego potrzebowaliśmy. Bardzo też o nas dbano, pomimo biedy w kraju po wojnie, wożono nas do sanatoriów i leczono. W 1946 roku nasz tata dostał mieszkanie i mogliśmy wreszcie zamieszkać razem. Rozpoczęło się dla nas normalne, spokojne życie. Ojciec ponownie się ożenił. Na świecie pojawił się nasz mały braciszek. Mój brat Jerzy zaczął realizować swoją wielką pasję i marzenie by zostać pilotem, co mu się udało. Jeździł po całej Polsce,

ale w ostatnich latach los rzucił go do Bydgoszczy. Tam umarł, szkoda, bo był jeszcze za młody na śmierć.

Są takie daty w historii,

które przestają być ważne. Umierają wraz ze świadkami wydarzeń. Daty również mogą być martwe. Nie wiemy, ile jest takich dat, bo one dzisiaj już nie znaczą, zapomniał o nich świat. Pani Barbara jest trochę rozszalona. Dzisiaj ma 76 lat. Działa w Związku Kombatan-tów, pisze artykuły do lokalnej prasy o wydarzeniach sprzed ponad 70 lat. Organizuje spotkania dzieci Potulic. Dzisiaj są to już starsze panie i starsi panowie.

– Nie można mieć pretensji do czasu, że biegnie tak szybko, zmienia nas i świat dokoła. Są jednak takie daty, które powinny zatrzymywać nasze zabieganie i chociaż na chwilę skłonić do pomyślenia o tym, co ważne, co się liczy w życiu, o życiu i śmierci, o bohaterstwie... Wykrusza się moje pokolenie. Kto będzie pamiętał o dzieciach Potulic, kto w ich imieniu powie, że najważniejszy jest pokój, spokojne życie w „małym domku” z rodziną, dziećmi, z widokiem na ogród z kwiatami i jabłonią. Nie ma nic ważniejszego. Wtedy w akcji Odeberg, nocą 11 sierpnia 1943 roku zatrzymano 76 rodzin, ponad 200 osób. Po wyzwoleniu wróciły tylko trzy matki, wszyscy ojcowie zginęli. Połowa dzieci przeżyła tylko dlatego, że przeznaczona została do zniemczenia.

Pani Basia sięga po album, gładzi jego drewnianą okładkę z wrytymi drotami kolczastymi i obozową wieżą strażniczą.

– Ten album przeżyje ludzką pamięć – uśmiecha się i dodaje – w lutym kolejne spotkanie, niech policzę...

Stwierdza, że to już 53.

– Pamiętam pierwsze spotkanie „Dzieci Potulic”, zorganizowaliśmy je po 20 latach od powrotu do Czeladzi. Zjechali się na nie młodzi ludzie, byliśmy 20-latkami. Najmłodsza była Krysia miała 23 lata. Została wywieziona do obozu jako niemowlę. Od tego czasu spotykamy się co roku w okolicach 19 lutego. Właściwie jesteśmy rodziną. Okrutne wydarzenia połączyły nas silną więzią. Pamiętamy też o tych, którym nie udało się przeżyć. W 1969 roku uczestniczyliśmy w otwarciu cmentarza pomordowanych więźniów w Potulicach, jest tam też cmentarz dziecięcy. Spoczywa na nim ponad 1000 dzieci. A ilu dzieci nie odnaleziono? Wychowały się u obcych ludzi, nie pamiętając swoich prawdziwych rodziców. To jest największa tragedia – rozdzielić kochających się ludzi, na zawsze.

Data 11 sierpnia 1943 ożyła w ludzkiej pamięci w tym roku, kiedy w pałacu, a dzisiaj klasztorze Salezjanek w Pogrzebieniu znaleziono zapomniane, leżące na strychu, zakurzone dokumenty z czasów II wojny światowej. Były to listy przewozowe dzieci z czeladzkiej rodzin, wiozonych w faszystowskich obozach. To wydarzenie przywróciło pamięć o zbrodni, która nigdy nie powinna się zdarzyć. Ocalałe z kaźni dzieci to dzisiaj 80-latkowie. Niewielka grupka, ale ich głos wzmocniony historycznym odkryciem jest dla nas, młodszych pokoleń, wychowanych bez wojen – przesłaniem. Naszą powinnością jest przyjąć to przesłanie i przekazać kolejnemu pokoleniu.



O. Marian Waligóra

W czasie tej podróży odwiedziłem także sanktuarium w Częstochowie.

Gdy byłem przed ikoną Madonny, obdarzyła mnie spojrzeniem Matka, która w sposób szczególnie jest Matką ludu polskiego, tego szlachetnego narodu, który wiele wycierpiał, a dzięki mocy wiary i Jej matczynej dłoni zawsze się podnosił.

*Papież Franciszek do Polaków,
Audiencja generalna, 3 sierpnia 2016*

Jubileusz 1050-lecia Chrztu Polski z papieżem Franciszkiem

– Jasna Góra w tym roku z okazji Świątowych Dni Młodzieży gościła wyjątkowych pielgrzymów, a wśród nich tego najważniejszego – Papieża Franciszka. Czy Ojciec Święty wiedział, jakie znaczenie miało w przeszłości dla Jana Pawła II i ma obecnie dla Polaków sanktuarium na Jasnej Górze?

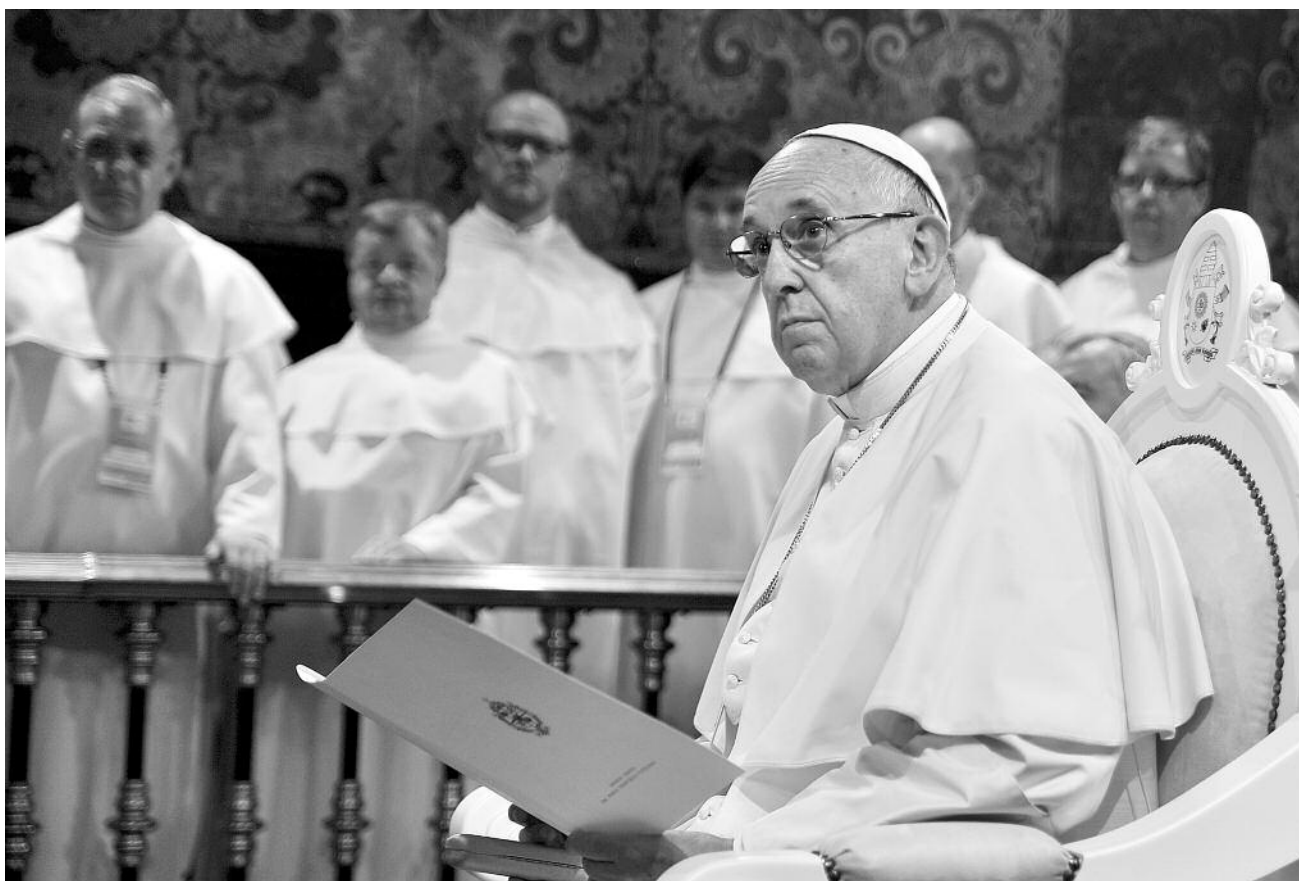
– Trudno na to pytanie jednoznacznie odpowiedzieć. Na pewno wcześniej tutaj nie był, ale wydaje mi się, że doskonale zdawał sobie sprawę do jakiego sanktuarium przyjeżdża. Wiedział też, że przed 50. laty wybierał się do Polski Paweł VI na obchody Millennium Chrztu. Papież Franciszek doskonale wiedział, też, że Jan Paweł II wielokrotnie pielgrzymował do sanktuarium jasnogórskiego. Podkreślali to także panowie z ochrony watykańskiej – zaznaczyli, że Papież bardzo pragnie prywatnie pomodlić się przed Cudownym Obrazem, w miejscu, gdzie wielokrotnie modlił się Jan Paweł II. Pragnieniem Ojca Świętego było odwiedzić Jasną Górę w ramach Świątowych Dni Młodzieży. Później zrodziła się decyzja, aby razem z Polakami właśnie tutaj, na Jasnej Górze dziękować za 1050-lecie Chrztu naszej ojczyzny. To pokazuje, że zdawał sobie sprawę ze znaczenia Jasnej Góry dla narodu polskiego. A z nagrania wideo orędzia papieskiego do Polaków, wygłoszonego przed pielgrzymką wiadomo, że na Jasnej Górze chciał doświadczyć misterium naszej wiary i jednocześnie umocnić nas w tej wierze.

– „Upadłem w Częstochowie, bo zapatrzyłem się w Matkę Bożą” – skomentował swój upadek podczas mszy św. Jakie wrażenia – zdaniem Ojca – wyniósł Papież z pielgrzymki na Jasną Górę?

– Wielu dziennikarzy podkreśliło ten upadek Papieża przy ołtarzu. Bardzo wymowny był komentarz samego Ojca Świętego do tego wydarzenia. Powiedział, że tak zapatrzył się w Matkę Bożą, iż nie zauważył stopnia ołtarza. To też pokazuje jego postawę, cześć do Maryi – naszej Matki. Patrząc z bliska, muszę powiedzieć, że wzruszające było to spotkanie Papieża ze spojrzeniem Matki. W tym Jej spojrzeniu jest coś, co przyciąga... Także po mszy św. Ojciec Święty wracając przez kaplicę, jeszcze raz spojrzął w oblicze Matki. Wcześniej, podczas odsłonięcia Cudownego Obrazu i gdy złożył Złotą Różę, długo modlił się w ciszy. Była to modlitwa patrzenia czy zapatrzenia się w Matkę Bożą. Dla nas było to niezwykle ujmujące. Ta modlitwa Ojca Świętego. Można powiedzieć, że Papież „skorzystał” ze spojrzenia Matki, tego daru Jej obecności tu na Jasnej Górze.

– Papież otrzymał w darze kopię Cudownego Obrazu.

– Tak. Ten dar, był dla niego, w pewnym sensie, zaskoczeniem. Długo wpa-



Papież Franciszek w kaplicy Cudownego Obrazu

trywał się w ikonę, dotknął i jeszcze ucałował. Stałem blisko i widziałem wzruszenie Ojca Świętego.

– Takie wydarzenie, jak pielgrzymka papieska to nie tylko duchowe przeżycie, ale również ogromne wydarzenie logistyczne. I chociaż Jasna Góra gościła nie raz Papieża, to jednak tym razem przygotowania były wyjątkowe.

– Przygotowania techniczne prowadzone były na szeroką skalę. To dotyczyło nie tylko nas, ojców i braci paulinów. Dotykały władz miasta Częstochowy, ale też władz wojewódzkich, państwowych. Angażowało służby bezpieczeństwa, policję, wojsko, straż pożarną, itp. Trzeba wszystkim podziękować za to wielkie zaangażowanie! Gdy tylko dowiedzieliśmy się o wizycie Papieża, że nie będzie to tylko prywatna modlitwa Ojca Świętego, ale i spotkanie z Polską, a czasu było niewiele, bo tylko około cztery miesiące, od razu rozpoczęliśmy przygotowania. Trzeba było m.in. wybudować dodatkowe, kilkupoziomowe podium dla gości i dla mediów. A gości było dużo, bo i prezydent RP, cały Rząd, Parlament, Episkopat Polski, przedstawiciele dyplomacji, jak również goście z zagranicy. I chociaż mówi się, że Jasna Góra może w każdej chwili przyjąć tak dostojnego gościa, bo gotowy jest ołtarz polowy, duże błonia, to jednak ranga tej uroczystości

wymagała zaangażowania i wykonania dodatkowych prac. Bogu dzięki, że to się wszystko tak udało. Wiem i widziałem to, że wszyscy chcieli, aby uroczystość wypadła jak najpiękniej i jak najgodniej.

– A od strony duchowej, jak wyglądały przygotowania?

– Listopad 2015 r. to była data oficjalnego rozpoczęcia świętowania Jubileuszu Chrztu Polski w obecności Episkopatu. Wtedy to biskupi otrzymali dla swoich diecezji jubileuszowe świece. Również na Jasnej Górze zapłonęła taka świeca. Zapalenie tej świecy symbolizuje przyjęcie przez Polskę chrztu. A jeśli chodzi bezpośrednio o papieską pielgrzymkę na SDM i na Jasną Górę – to od początku otoczyliśmy ją modlitwą. W intencji Papieża i pielgrzymki w Kaplicy Cudownego Obrazu codziennie o godz. 18.30 odprawiano mszę św., a obok tego bezpośrednim przygotowaniem i ostatnim „akordem duchowym” przygotowującym do wizyty papieskiej i zarazem duchowym darem dla Ojca Świętego Franciszka była 9-dniowa nowenna czuwać po Apelu Jasnogórskim, które prowadziły siostry zakonne miasta Częstochowy. Modlitwy te, z licznym udziałem mieszkańców naszego miasta i pielgrzymów, kończyły się zawsze mszą św., odprawianą o godz. 24.00 przez ojców paulinów.

W te przygotowania i świętowanie Jubileuszu 1050-lecia Chrztu Polski wpisało się także zawierzenie na Jasnej Górze wypowiedziane 3 maja br. z udziałem naszego Episkopatu. Również pielgrzymi przybywający w tym roku do Matki Bożej ofiarowali swój trud i modlitwy za Papieża, by swą obecnością umocnił nas w wierze, i aby ta pielgrzymka była głębokim przeżyciem duchowym.

– Papież Franciszek podarował Pani Jasnogórskiej Złotą Różę. Jakie znaczenie ma ona dla sanktuarium?

– To dar papieski, który jest symbolem wyjątkowego oddania czci Matce Bożej. Pierwszą Złotą Różę ofiarował w 1979 r., podczas swojej I pielgrzymki do Polski, św. Jan Paweł II. Drugą, w 2006 r., przywiózł Benedykt XVI – tu dodam, że jest to srebrna róża, w której centrum znajduje się krzyż, otoczony pędami róży i dopiero jej zwieńczeniem są piękne kwiaty. Na krzyżu znajduje się Matka Boża z Dzieciątkiem. Tak naprawdę to dar dwóch papieży – Benedykta XVI i Pawła VI. To pokazuje, jak daleko posunięte były przygotowania Pawła VI do pielgrzymki na Millennium Chrztu Polski. W 40. rocznicę tamtej niezrealizowanej wizyty, z powodu ówczesnych komunistycznych władz Polski, Złotą Różę Matce Bożej ofiarował jego następca Benedykt XVI. A 50 lat później przy-



Złota Róża – dar papieża Franciszka.

jechał papież Franciszek – dziękował za chrzest Polski i również podarował piękną Złotą Różę. Wszystkie te szczególne papieskie dary, te róże, umieszczone są obok Cudownego Obrazu.

– Co wydarzyło się 26 sierpnia w naszych parafiach i na Jasnej Górze?

– W uroczystość Matki Bożej Częstochowskiej parafie polskie, zgodnie z decyzją Konferencji Episkopatu, ponowiły Akt oddania się Matce Bożej – jako kolejny krok w świętowaniu jubileuszu Chrztu Polski. Było to wypowiedzenie naszego zawierzenia Królowej Polski w naszych małych wspólnotach parafialnych, które 3 maja tego roku złożyli biskupi i naród na Jasnej Górze. Wydarzenie to było kolejnym etapem świętowania Jubileuszu 1050. rocznicy chrztu Polski.

A 26 sierpnia tego roku minęła 60. rocznica Jasnogórskich Ślubów Narodu,

które zostały wypowiedziane w roku 1956. Ponowiliśmy je wraz z prymasem Polski – abp. Wojciechem Polakiem. Niosą one w sobie ducha ślubowania Jana Kazimierza z 1 kwietnia 1656 r., i tytu innych ślubowań, ale w naszych czasach są przede wszystkim trwaniem na maryjnej drodze zawierzenia, której uczył nas Prymas Tysiąclecia i Święty Jan Paweł II.

– Ciągłe mają miejsce i inne wydarzenia wpisujące się w obchody Jubileuszu Chrztu Polski.

– Każdego dnia odmawiamy specjalną modlitwę jubileuszową, dziękując Matce Bożej za dar chrztu. Rok Jubileuszowy trwa nadal, ale Jasna Góra przygotowuje się już do Jubileuszu 300. rocznicy koronacji Cudownego Obrazu – pierwszej papieskiej koronacji dokonanej poza Rzymem. To świętowanie rozpoczniemy uroczystie 8 września

br. Rok Jubileuszowy z tej okazji otworzy uroczysta Eucharystia z udziałem przewodniczącego Episkopatu abp. Stanisława Gądeckiego. Z tej okazji podejmujemy różne inicjatywy duszpasterskie, a szczególnie chcemy ofiarować Maryi wyjątkowy dar – Żywą Koronę, by w ten sposób ozdobić oblicze Matki Bożej nie drogimi kamieniami, ale duchowymi darami naszych modlitw i dobrych postanowień.

– Jasna Góra zawsze była ważnym ośrodkiem życia społeczno-politycznego na przestrzeni dziejów.

– Znaczenie duchowe kształtowało się przez pielgrzymowanie nie tylko prostego ludu, ale i naszych przywódców. Trzeba mieć świadomość tego, że Jasna Góra od początku miała ogromne znaczenie duchowe ale i społeczne. Musimy sobie uświadomić, że był zwyczaj pielgrzymowania na Jasną Górę królów Polski, w ważnych momentach dla naszego narodu. Wszyscy królowie, oprócz jednego – Stanisława Augusta Poniatowskiego, po koronacji i odwiedzeniu grobu św. Stanisława na Skałce, przybywali tutaj, by pokłonić się Matce Najświętszej. Zwyczaj ten potem podjęli nasi prezydenci. Oczywiście okres komunizmu był wyjątkiem.

Również Wojciech Jaruzelski, w 1990 r. po pożarze, kiedy spłonęło jedno skrzydło klasztoru, jako wówczas urzędujący prezydent odwiedził Jasną Górę. Był w Kaplicy Matki Bożej, modlił się, i w ten sposób wpisał się w to pielgrzymowanie przywódców narodu. Także prezydent Andrzej Duda zaraz po wyborze odwiedził Jasną Górę. Na pytanie dziennikarzy co się stało, że w tym momencie przyjechał, odpowiedział, że to naturalna jego postawa, bo w ważnych momentach swojego życia zawsze przybywał do Matki Bożej – zatem i teraz nie mógł tutaj nie przyjechać.

Były także takie wydarzenia jak ślub i wesele króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego z austriacką księżniczką Eleonorą, co też pokazuje, jak ważną rolę pełniła już wtedy Jasna Góra, jak mocno była obecna i ważna w świadomości Polaków.

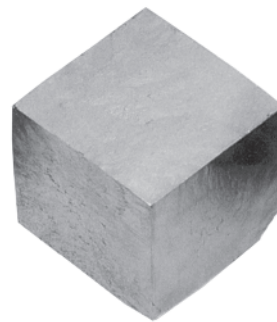
Oczywiście odwiedzali Jasną Górę papieże: aż sześć razy przybył tu Jan Paweł II, był Benedykt XVI, a w tym roku Franciszek. Odwiedzali Jasną Górę także ludzie kultury, jak Wojciech Kilar czy Jerzy Duda-Grac, czy wybitni sportowcy jak Anita Włodarczyk. Tych osób jest bardzo dużo. Jednakże pielgrzymi to tak naprawdę zwykli ludzie, przybywający ze swoimi sprawami, problemami, dziękczynieniami. I to pokazuje moc wiary i oddziaływanie tego sanktuarium w naszej ojczyźnie i świecie.

– Dziękuję za rozmowę. ■

Wakacyjne szlaki w Polsce zapełniają się wciąż nowymi atrakcjami. Jak grzyby po deszczu wyrosły w ostatnich latach trudne do policzenia parki miniaturowe, parki dinozaurów, „miasteczka na Dzikim Zachodzie”, „domki na dachach”, rozea, safari, egzotyczne ogrody, ale też rekonstruowane osady średniowieczne, obowiązkowe w zamkach – a nawet w ruinach – sale i narzędzia tortur itd., itp. „Atrakcją” stają się rekonstrukcje rzeźby (np. wołyńskiej) i wyroków (np. na czarownicach), bo bitew to już norma (o ślubach historycznych postaci nie wspominamy...). Wszystko to służyć ma „dobrej zabawie”, a wiele z tego także – jak zapewniają kolorowe prospekty – edukacji. I to ostatnie słowo jest tu kluczowe. Trudno nie odnieść wrażenia, że osiągnęliśmy w czarowaniu zbitką „edukacja przez zabawę” jakiś niebezpieczny punkt graniczny. Dziś kilka multimedialnie przygotowanych pomieszczeń uchodzi za muzeum, a „obiektem” kluczowym nie jest już oryginalny eksponat, ale dotykowy ekran. Dzięki komputerom, hologramom i wszelakim technicznym możliwościom, praktycznie każda atrakcja turystyczna jest w zasięgu możliwości samorządów i prywatnych pomysłodawców (wszystko kwestia finansów). Nie ma właściwie już żadnych chyba ani materialnych, ani niematerialnych przedmiotów i nieprzedmiotów, które nie mogłyby mieć w Polsce swojego „muzeum”, a więc... jest Żywe Muzeum Piernika w Toruniu i jest Rogalowe Muzeum (czyli muzeum rogalów świętomarcińskiego) w Poznaniu, mamy Muzeum Chleba w Radzionkowie i Szkolne Muzeum Gwizdka w Gwizdałach (!), Muzeum nietypowych rowerów w Gołębiewku. Puław i w tej samej miejscowości Muzeum Pijaństwa, gdzie zobaczyć można butelkę w kształcie plemnika, ale jest także Muzeum Uwag, Przestróg i Apeli w Złotym Stoku. W Muzeum Ognia w Żorach można nawet ugasić wirtualny pożar. Jest muzeum serialu *Czarne Chmury* w Rytwianach, a Lubomierz i Dobrzykowie spierają się o to, które ma więcej prawa do Muzeum Kargula i Pawłaka (spór zważywszy na losy i charakter bohaterów filmu – w samej rzeczy uzasadniony). Niektórzy pamiętają jeszcze krótko istniejące w Katowicach Muzeum Hansa Klosa... Wiele z takich i podobnych ekspozycji ma i może niemałą wartość, ale to nie multimedia i nazwy o tym decydują, ale eksponaty i sposób ich prezentacji, roztropność i erudycja autorów scenariuszy wystaw, myśl zawarta w narracji.

Dzieci przychodzą do Interaktywnego Muzeum Państwa Krzyżackiego i w zasadzie przed komputerem (a może raczej wśród komputerów) uczeń nie ma w czymś, co niczym nie różni się od gier komputerowych – czy mamy zatem do czynienia z muzeum? Animacje bitew, makiety, przechadzający się po wirtualnych łąkach rycerze – wszyst-

Muzeum w wyobraźni



JACEK KUREK KAMIEŃ DROGOCENNY

ko w 3D (nazywa się to rzeczywistość rozszerzona, pół wieku temu zdaje się do jej uzyskiwania używano LSD).

Tymczasem wartość spotkania z zabytkiem, źródłem historycznym jest wartością niezastąpioną i w dodatku wcale nie wyklucza zastosowania w jego prezentacji najnowocześniejszych technologii. Jednak wiele obecnie przygotowanych „ekspozycji” przypomina albo gry komputerowe, albo bazuje na prezentacji rekonstrukcji i filmów. To, co ma być środkiem do celu i pomocą w jego osiągnięciu staje się celem samym w sobie. Autorzy prześcigają się w multimedialnych propozycjach, tyle że zamiast oryginalnych eksponatów i dokumentów prezentowane są kopie lub modele, niezadko też przebrani aktorzy, którzy z ekranów umieszczonych w poszczególnych salach oprowadzają po wystawie lub po prostu „imitują” bohaterów sprzed lat. Refleksję historyczną zastępuje się spektakularnym, ale i powierzchownym, czarowaniem wizualnym, w którym efekt wywoływany jest nie w tej sferze, w której najbardziej byłby pożądanym.

To oczywiste, że wystawa powinna być atrakcyjna i – na wszelki wypadek raz jeszcze powtórzę – wzbogacona elementami multimedialnymi, ale stosownie wyważonymi i wkomponowanymi w narrację. Nie mogą one sprawiać, że ekspozycja stanowi swobodną wariację na temat dawnych wieków, a takimi są sztuczne rzeczywistości wytwarzane przez komputerowe programy w celu przyciągnięcia do atrakcji turystycznych jak największej liczby zaciekawionych. Dobrze, jeżeli multimedialna atrakcja historyczna czy rekonstrukcja przyciągają. Problem zaczyna się wówczas, gdy stanowią one jedyną ofertę, a do tego nie zostały we właściwy sposób przygotowane zarówno od strony merytorycznej, jak i dydaktycznej. Wówczas zamiast „edukacji przez zabawę” mamy do czynienia wyłącznie z zabawą, nieraz szkodliwą dla procesu edukacji. Fakty historyczne stają się etapami multimedialnej gry, a ludzkie cierpienie, śmierć, narodowe zwycięstwa i tragedie – grą, inscenizacją.

Muzeum to nie tylko przestrzeń organizowania wystaw i realizowania zadań edukacyjnych, to przede wszystkim miejsce gromadzenia zbiorów, ich opracowywania i ratowania oraz szeroko rozumianej działalności naukowej, a więc wszystkiego tego, co zapewni wartościowe (nie tylko animowane) prezentacje oraz pomnoży naukowy dorobek i kulturowe dziedzictwo. Może nie wszystko zatem, co dotyczy zgromadzonych (nawet bardzo cennych kolekcji) albo też co dotyczy historii, musi mieć „muzealny” sztyl. Jeżeli już próbujemy odczarować muzeum jako miejsce nudnego przechodzenia obok eksponatów, których „nie wolno dotykać”, to spróbujmy to zrobić tak, by jednocześnie nie zakwestionować jego sensu i nie trywializować historii. A wszystkie te atrakcyjne przestrzenie – mieniające się „muzeami” – mogą jednak nazywać się inaczej. Często bowiem podczas ich organizacji nie brakuje pasjonatów, ale brakuje muzealnika, odpowiedzialnego za stronę merytoryczną i eksponaty. Zdarza się, że brakuje scenariusza wystawy, a obiekty – nieraz cenne i rzadkie – nie są nawet podpisane lub (o zgrozo!) niszczone prezentowane w niewłaściwych warunkach. Nie ma recenzentów scenariuszy i specjalistów od realizacji ekspozycji...

Muzeum bez zwiedzających jest martwe, ale, próbując ściągnąć jak najliczniejszą publiczność, nie możemy przestać dbać i o jakość, i o samą jego misję, gotowi na coraz większą swobodę. Toczyłem niedawno ożywioną dyskusję z organizatorem masowych imprez o charakterze rekonstrukcyjnym. Kluczowym zarzutem, jaki postawił przedkładanym przeze mnie argumentom, było to, że nigdy nie byłbym w stanie wymyślić czegoś, co zgromadzi większą liczbę ludzi. Argumenty natury merytorycznej, dotyczące samej materii działań, nie odgrywały tu istotniejszej roli. Czy rzeczywiście nieważne w jaki sposób i jaka historia przedstawiana jest podczas masowych imprez wykorzystujących historyczny kostium, a ważne tylko, by były sukcesami komercyjnymi, medialnymi i promocyjnymi?



Wojewódzka Hala Widowiskowo-Sportowa „Spodek”, lata 70. XX w.

W Katowicach... zastój... do tyłu

HENRYK MARZEC

W brazylijskim Rio de Janeiro, w sierpniowe dni rywalizowali najlepsi sportowcy świata. Dzięki bogatemu przekazowi telewizyjnemu mogliśmy oglądać zmagania sportowców w XXXI Letnich Igrzyskach Olimpijskich. Celem były najbardziej cenione medale w karierze każdej zawodniczki i zawodnika. W tym gronie uczestniczyli przedstawiciele polskiego sportu. Do Rio wyjechało 240 reprezentantów Polski. Ekipa liczna. Moim zdaniem zbyt liczna. Co najmniej połowa naszych reprezentantów wyjechała tylko po to, by tam być, by być olimpijczykiem. Na wywalczenie medalu olimpijskiego, a nawet wejścia do finałów w swoich konkurencjach, nie mieli żadnych szans. W trakcie olimpijskiej rywalizacji uzyskiwali przeciętne rezultaty. Nie potrafili nawet poprawić swoich najlepszych wyników (rekordów życiowych). Kosztowna była to eskapada dla wielu naszych sportowców.

W efekcie nasi reprezentanci wrócili z Rio ze skromniutkim dorobkiem – 11 medali (2 złote, 2 srebrne, 7 brązowych). Na uwagę zasługuje, że 8 medali, w tym 2 złote, zdobyły panie, które w tej imprezie były zdecydowanie górą. A przed wyjazdem optymiści liczyli na 18-20 olimpijskich krążków. Marzenia były, ale rzeczywistość okazała się całkiem inna. Nie będę oceniał występów naszych reprezentantów. Nie o to bowiem chodzi mi w tym artykule.

W polskiej ekipie olimpijskiej było 14 przedstawicieli śląskich klubów. Z samych Katowic, z AZS AWF było ośmioro. Można powiedzieć, że jak na jeden klub to liczba zadowalająca. Rzecz jednak w tym, że niemal wszyscy przedstawiciele AZS AWF luźno związani są z Katowicami. Pochodzą z miejscowości spoza Śląska, a AWF przyjął ich do swojego klubu.

I z Katowicami nie wiązą swojej przyszłości. Byli w Rio, ale niewiele o ich starcie mówili nasi komentatorzy. Byli w zasadzie tłem całej rywalizacji. Między innymi Artur Brzozowski był 47 w chodzie na 20 km, Adrian Błocki był 14 w chodzie na 50 km. Agnieszka Dygacz nie ukończyła chodu na 20 km. Byli pływacy z Konradem Czemiakiem na czele, którzy też niewiele zdziałali. Najlepiej zaprezentowali się Justyna Święty i Michał Pietrzak, którzy biegnąc w sztafecie 4x400 m wywalczyli w finale 7 miejsca. Mizerny dorobek, jeżeli o jakimś dorobku można mówić.

A przecież w minionych latach tak nie było. Sportowcy z Katowic stanowili liczącą się część ekip na najważniejszych sportowych imprezach światowych, w tym również na igrzyskach olimpijskich. Można przypomnieć zapasników w stylu klasycznym m.in. Stanisła-

wa Krzesińskiego, Romana Bierłę i Jana Dołgowicza na czele z GKS. Byli wyśmienici szermierze m. in. Sylwia Julito, Ryszard Zub, Jerzy Janikowski, Wojciech Rydz. Można tak wymieniać jeszcze długo. Było to efektem szerokiej działalności szkoleniowej w katowickich klubach i to w wielu dyscyplinach. Były też boiska w centrum miasta, które stopniowo likwidowano. Chodzi mi o boiska Górnika i Kolejarka obok Torkatu, który też przestał istnieć, a także boisko przy ul. Gliwickiej. No cóż, były to atrakcyjne tereny budowlane, których potrzebowało miasto.

Po zmianach społeczno-gospodarczych w naszym kraju główni sponsorzy sportu (kopalnie, huty, przemysł maszynowy) zaczęli ograniczać pomoc klubom. Mało kto był jednak zainteresowany, aby wypracować nowe zasady sponsorowania klubom sportowym. I był to pierwszy etap upadku sportu w Katowicach, stolicy województwa śląskiego. Rozwiązano sekcje szermierczą i zapasów w stylu klasycznym w GKS. A były to przecież wiodące sekcje w Polsce, które regularnie dostarczały zawodników do reprezentacji kraju. Całkowicie upadł klub Baildon z doskonałymi szermierzami i dobrymi koszykarzami oraz hokeistami na lodzie. W końcu i zasłużona hala Baildonu została rozebrana. Dla pocieszenia wybudowano nową halę w Szopienicach. Ładny obiekt, ale jak dotąd, mało wykorzystany. I wcale nie przyciągnął młodzieży z tej dzielnicy Katowic do sportu, jak to zakładały władze miejskie. W hali tej, od czasu do czasu, odbywają się jakieś imprezy mało znaczące, przy pustych trybunach. Skoro jesteśmy przy Szopienicach to przypomnijmy, że działała tu silna sekcja podnoszenia ciężarów. W tej sekcji wyrósł Czesław Białas – pierwszy polski mistrz Europy. W sekcji tej trenowali m.in. olimpijczycy Marek Seweryn i Leszek Skorupa – medaliści olimpijscy i MŚ i ME. To nie wszystko. Na Muchowcu był całkiem przyzwoity stadion Startu. Trenowali tam lekkoatleci. Na tym stadionie rozpoczął sportową karierę nasz wyśmienity sprinter Marian Foik. Tu trenowały olimpijki m.in. Jolanta Janota-Gurbiel i Joanna Smolarek. Boisko zdemastrowano. W Kolejarku Katowice była silna sekcja siatkówki. Drużyna grała w ekstraklasie. Pozostały tylko wspomnienia. Przez parę lat o prawo do przeżycia walczyli bokserzy klubu Kleofas 06. Też poszli w rozsypek.

Dużo obiecywano sobie po katowickiej AWF. Przed laty wydawało się, że wypełni ona lukę w katowickim sporcie. Była dobra drużyna w żeńskiej piłce ręcznej, grająca z powodzeniem w pierwszej lidze. Był pierwszoligowy zespół w hokeju na trawie. Były obiecujące drużyny w żeńskiej koszykówce i siatkówce. No i była duża grupa szermierzy, którzy regularnie stawali na podium mistrzostw Polski i reprezentowali barwy narodowe w ważnych imprezach międzynarodowych. Mistrzynią Europy w szpadzie była Magdalena Jeziorowska. Zmieniła się jednak polityka władz uczelni. Rozwiązano wspomniane zespoły. „Na-stawiono się” na sporty indywidualne. Ściągnięto na AWF skoczków narciarskich, biathlonistów, pływaków i jeszcze



Zdjęcia: z arch. redakcji

Pałac Młodzieży, lata 70. XX w.

trochę lekkoatletów. Były to sztuczne transfery. Uczelnia zapewniała im prace magisterskie za to, że reprezentują AZS AWF. Chodziło o punkty w sportowym rankingu wszystkich akademickich klubów. No i katowicki AZS AWF był w ścisłej czołówce.

W efekcie na sportowej mapie Polski wojewódzkie miasto Katowice przestało się liczyć. Przez wiele lat, mam na myśli lata dwudzieste, władze miasta traktowały sport wyjątkowo po macoszemu. Nie zwracano uwagi, że katowicki sport upada. Od czasu do czasu katowicki Ratusz coś tam dał, na organizację jakiś imprez organizowanych przez okręgowe związki piłki ręcznej, zapasów i szermierki. W końcu brak zainteresowania kulturą fizyczną i sportem władz miasta musiało się odbić negatywnie. I odbiło się. Nastąpił zastój w sportowym życiu miasta Katowice. I trwa on dotąd.

Władze miasta chcąc wyjść „z twarzą” ze sportowego zastój włączyły się do współorganizacji imprez sportowych. Był przecież Spodek. No i wykorzystano ten obiekt na interesujące imprezy. Weszli do Spodka siatkarze ze wspaniałym efektem. Były też koszykarki i piłkarze ręczni. Wspaniałe imprezy. W żadnym jednak wypadku nie wpłynęły na popularyzację tych gier zespołowych w mieście Katowice. Potem do Katowic zawitali kolarze. Tour de Pologne był

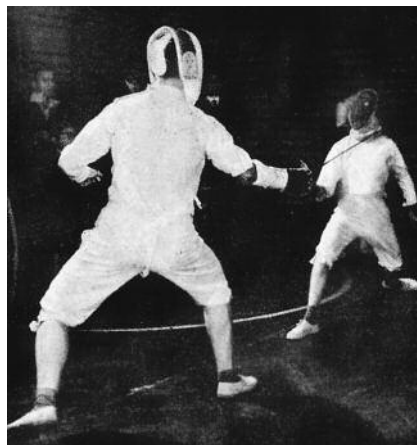
ciekawą promocją miasta. Dla sportu, dla kolarstwa w mieście, nie przyniósł nic pozytywnego. Nadal nie ma w mieście stowarzyszenia czy klubu kolarskiego. A przecież była silna sekcja w klubie Gwardia. Pozostały po niej tylko wspomnienia. Do Spodka zawital ten. Nie najlepszy był to pomysł. Obsada słaba, bo i nagrody niezbyt wysokie. A przecież turnieje tenisowe odbywały się w Katowicach. Były m.in. Międzynarodowe Mistrzostwa Polski na kortach Baildonu. Na tych kortach uczyła gry w tenisa nasza wyśmienita tenisistka Jadwiga Jędrzejowska. Korty były. Teraz nic się na nich nie dzieje. Nie może, ponieważ nastąpiła dewastacja kortów. Za pieniądze przeznaczone na organizację turniejów w Spodku można było przywrócić korty dawnego Baildonu do gry. Przy kortach mogła powstać szkoła tenisowa, która w perspektywie mogła się przekształcić w stowarzyszenie tenisowe.

Śmiało mogą powiedzieć, że władze naszego miasta nie czują sportu. Nie widzą potrzeby inwestowania w tą dziedzinę życia społecznego. Nie mają żadnego programu rozwoju kultury fizycznej i sportu w mieście. Oj, przepraszam. Miasto wspiera futbolistów GKS, którzy „plątają” się w pierwszej lidze, bez większych szans na awans. Takie wspieranie futbolistów jest marnowaniem środków.

Jedyną placówką w mieście, w której pracują z młodzieżą jest Pałac Młodzieży. Jest to kontynuacja dobrych tradycji. Mało kto docenia ten wysiłek. Sekcje sportowe, a jest ich kilka, borykają się bez przerwy z różnymi problemami. Nie wiem, kto dotuje sportową działalność w Pałacu Młodzieży. Wiem jednak, że jest to zdecydowanie za mało. A szkoda. Bo Pałac Młodzieży był zawsze „dostarczycielem” sportowych talentów.

I na koniec. Katowice są w tej chwili jedynym miastem wojewódzkim w Polsce, które nie posiada żadnej drużyny w rozgrywkach na szczeblu centralnym (w tzw. ekstraklasach).

Notuje się nadal zastój w sportowych poczynaniach w mieście. A zastój to „postęp” do tyłu.



Trening dekcji szermierczej w Pałacu Młodzieży, lata 70. XX w.



Tabliczki przy wjeździe do Czeskiego Cieszyna, Kraj Morawsko-Śląski

Czesko-morawsko-śląski spór o nazwę państwa

JAKUB ŁOGINOW

Czechia – tak od niedawna brzmi oficjalna międzynarodowa nazwa Republiki Czeskiej w języku angielskim. A dokładniej – jej uproszczony wariant, gdyż nadal pozostaje w mocy dotychczasowa wersja, czyli „Czech Republic”. Stosowną zmianę, która miała stanowić ułatwienie dla Czechów i obcokrajowców i stworzyć bardziej familiarny obraz Czech, zatwierdził kilka miesięcy temu Lubomir Zaorálek, minister spraw zagranicznych w koalicyjnym rządzie Bohuslava Sobotki. I wywołał tym samym burzę. Czechom nie spodobało się, że decyzja o „zmianie nazwy kraju” została podjęta arbitralnie przez jedną osobę, bez żadnej debaty pu-

blicznej ani nawet konsultacji z premierem czy prezydentem. Nową nazwę krytykują przede wszystkim mieszkańcy Moraw i czeskiego Śląska, którzy uważają słowo „Czechia” za przejaw czeskiego (w sensie – praskiego) szowinizmu, który ignoruje odwieczny podział Republiki na trzy odrębne krainy historyczne: Czechy właściwe (Bohemia), Morawy i Śląsk.

Czechia, a może Czechlands?

Skąd w ogóle ta zmiana? Tak naprawdę była ona potrzebna, bo Czesi jako jeden z niewielu narodów na świecie

używają także w mniej formalnych sytuacjach dość dziwacznej w odbiorze, pełnej nazwy swego kraju. To mniej więcej tak, jakbyśmy o naszej ojczyźnie mówili nie inaczej, niż „Rzeczpospolita Polska” lub „Republic of Poland”. Podczas wizyty prezydenta innego państwa – jak najbardziej, ale w zwykłej, prywatnej rozmowie czy podczas meczu piłkarskiego? „Skąd jesteś? Z Rzeczpospolitej Polskiej” albo „piłkarska reprezentacja Rzeczpospolitej Polskiej zagra jutro z Włochami”. Brzmi sztucznie, prawda? No właśnie, a Czesi właśnie tak mieli – i czuli się z tym dziwnie.

Przyczyna tego „celebrowania” pełnej nazwy państwa wynika ze wspomniane-

go podziału na trzy części składowe, o czym dokładniej za chwilę. Co prawda historyczne Czechy (Bohemia) wyraźnie zdominowały kraj, zarówno historycznie, kulturowo jak i geograficznie, ale nie mają na niego monopolu. Z kolei śląska, a zwłaszcza morawska tożsamość regionalna jest silnie zarysowana – i Czesi-Bohemiacy (z Pragi, Pilzna, Karlovych Varów) tę odrębność szanują. Przejawia się to między innymi w sferze językowej. Warto zaznaczyć, że w języku czeskim istnieje rozróżnienie między słowem Česko, którego używa się na oznaczenie całego państwa (inaczej – „Česká republika”), a słowem Čechy, które oznaczają tylko jedną z krain geograficznych (Czechy właściwe, Bohemię). Innymi słowy, Česko składa się z Čech, Moraw i części Śląska, przy czym bardziej neutralnym słowem na oznaczenie całego kraju jest właśnie Česká republika (po angielsku – Czech Republic).

O ile jednak w języku czeskim to rozróżnienie między określeniami Česko i Čechy jest jasne, to w językach obcych sprawa się komplikuje. I jeden, i drugi wyraz (czyli Czechy w znaczeniu szerszym i węższym) mają w języku polskim ten sam odpowiednik – Czechy. Podobnie jest z innymi językami poza słowackim – angielskie słowo Czechia jest niejednoznaczne, używając go nie wiemy, czy chodzi o Czechy jako krainę historyczną, czy o całą republikę.

Pamiętają Państwo Czechosłowację i stereotypowe traktowanie wszystkiego, co czechosłowackie, tak jakby to było czeskie? Dziś nikt już nie mówi o „Czeskich Tatracach”, czy „czeskim piwie Złoty Bażant” ale jeszcze kilka lat po rozpadzie Czechosłowacji takie pomyłki były na porządku dziennym. Co zresztą wywoływało uzasadnione rozdrażnienie u Słowaków, którzy we wspólnym państwie czuli się niedowartościowani. Dziś podobnie czują się morawiacy, gdy ktoś z zagranicy nazwie Brno „czeskim miastem” (w rzeczywistości to stolica Moraw) lub wypowie się na temat „czeskiego wina” ze wschodu republiki (w rzeczywistości chodzi o morawskie wino). „W takich przypadkach zazdroszczę Słowakom, którzy nie mają tych wszystkich problemów z tożsamością. Tam cały kraj to po prostu Slovensko, po angielsku Slovakia. Ale nawet słowacki wyraz Slovensko można użyć w komunikacji międzynarodowej, bo w odróżnieniu od Česka nie ma w nim diakrytyki i każdy obcokrajowiec bez trudu go wypowie” – skomentował ten galimatias znajomy Czech z Ostrawy, która nota bene leży na granicy dwóch krain geograficznych – na jednym brzegu rzeki Ostravicy jest Śląsk, a drugi brzeg jest już morawski.

Anglojęzyczna „Czechia” okazała się też niefortunna z innego powodu – obcokrajowcy zaczęli ją notorycznie mylić z podobnie brzmiącym słowem Chechnia, czyli Czeczenia, co wywoła-

ło lawinę ironicznych komentarzy wśród samych Czechów i Słowaków. Jeśli więc nie „Czechia”, to co? „Czechlands”, czyli „czeskie krainy” – zgodnie proponują Ślązacy i Morawiacy, dziwiąc się, że minister na tak oczywiste rozwiązanie nie wpadł ani też nie zapytał swoich rodaków o zdanie.

Podział administracyjny w poprzek granic historycznych

Ciekawe, mimo tak wyraźnego poczucia odrębności, podział kraju na „*Cechy, Moravu a Slezsko*” nie ma swojego odzwierciedlenia w oficjalnym podziale terytorialnym republiki. Po reformie administracyjnej z 2000 roku Republika Czeska dzieli się na 14 krajów samorządowych (jednym z nich jest Praga jako miasto wydzielone), których granice idą w poprzek podziałów historycznych. I tak, Morawy są rozdzielone między kilka krajów, przy czym „czysto morawskie” są tylko dwa: Kraj Południowomorawski ze stolicą w Brnie oraz Kraj Zliński (stolica – Zlín). Czesko-morawski charakter mają kraje: Pardubicki, Wysoczyna i w mniejszej mierze Południowoczeski (morawskie są tylko jego południowo-wschodnie powiaty). Ołomuniec, miasto które przez całe wieki rywalizowało z Brnem o miano stolicy Moraw i ostatecznie tę walkę przegrało, jest natomiast siedzibą władz Kraju Ołomunieckiego, który jest przeważnie morawski, ale jego północne powiaty należą już do historycznego Śląska.

Czeski Śląsk jest przez podział administracyjny najbardziej „pokrzywdzony”, bo jako jedyny nie ma żadnego „czysto śląskiego” kraju (podobnie zresztą jak w Polsce, gdzie historyczny Śląsk jest

rozdzielony między kilka województw, a część Województwa Śląskiego to historyczna Małopolska lub Podbeskidzie). Większa część czeskiego Śląska należy do Kraju Śląsko-Morawskiego ze stolicą w Ostrawie, która sama w sobie jest uznawana (obok Opawy) za śląską stolicę, ale w rzeczywistości leży na granicy Śląska i Moraw.

Klasycznym obok Ostrawy przykładem tej śląsko-morawskiej integracji jest Frydek-Místek. Dziś jedno miasto, w przeszłości dwa osobne, które stopniowo zlały się w jeden organizm miejski, podobnie jak w Polsce Bielsko-Biała. Frydek leży na Śląsku, Místek na Morawach, a pomiędzy nimi, podobnie jak w przypadku Ostrawy, płynie rzeka Ostrawica, która na przeważającym swym toku wyznacza morawsko-śląską granicę. Choćby i z tego powodu łączenie Moraw ze Śląskiem ma swoje uzasadnienie – oba regiony są ze sobą ściśle zrośnięte np. poprzez wspólne miasta, które leżą na pograniczu obu krain. Wspólne dla Śląska i Moraw jest też położenie geograficzne – na wschodzie kraju, z dala od stolicy, blisko granicy ze Słowacją, której wpływy są w obu regionach wyraźnie widoczne (choćby w języku i kulturze).

W przeszłości podział administracyjny bardziej odpowiadał podziałowi historycznemu. Za Pierwszej Republiki, czyli przed wojną, Czechosłowacja dzieliła się na cztery duże kraje samorządowe: Kraj Czeski, Kraj Śląsko-Morawski, Słowację i Ruś Podkarpacką. Już wtedy jednak zdecydowano się połączyć ze sobą Morawy z Czeskim Śląskiem. Przyczyną była z jednej strony nieproporcjonalnie mała powierzchnia czeskiego Śląska w porównaniu z pozostałymi częściami składowymi, a także chęć zneutralizowania licznej



Rzeka Ostrawica, przez którą biegnie granica śląsko-morawska. Po lewej stronie morawska część miasta, z widoczną na zdjęciu wieżą ratusza. Po morawskiej stronie jest centrum miasta, ulica Stodolní i dworzec kolejowy. Po prawej stronie rzeki – Śląska Ostrawa.



Ostrawa, uważana niesłusznie za stolicę Czeskiego Śląska, w rzeczywistości leży na pograniczu Śląska i Moraw

na Śląsku polskiej mniejszości oraz silnej śląskiej odrębności.

Rozbicie Moraw na małe województwa i wymieszanie ich z czesкими nastąpiło już po II wojnie światowej. Natomiast Słowacja cały czas pozostawała odrębnym bytem z dokładnie wyznaczonymi granicami, a po federalizacji kraju w 1968 roku stała się jedną z dwóch republik tworzących Czechosłowację. Kto wie, czy gdyby komuniści pozostawili stary podział Czechosłowacji na trzy osobne części (już bez Zakarpacia, które przeszło do ZSRR), być może dziś graniczylibyśmy nie tylko z niepodległą Słowacją i Czechami, ale także z Republiką Morawo-Śląską ze stolicą w Brnie. W każdym razie, administracyjna likwidacja odrębności Moraw i rozmycie ich granic zahamowało proces tworzenia się czegoś na kształt morawskiej tożsamości narodowej. Dziś narodowość morawską wskazuje jedynie kilka procent mieszkańców kraju, przed wojną to poczucie odrębności było o wiele silniejsze.

Państwo dwóch stolic

Czesi natomiast bardzo dbają o to, by żadne duże miasto nie było pokrzywdzone jeśli chodzi o w miarę równomierne rozmieszczenie siedzib urzędów centralnych. Nieformalna stolica Moraw

i drugie co do wielkości miasto Republiki Czeskiej można bez zbędnej przesady nazwać „drugą stolicą” państwa. W Brnie mieszczą się bowiem siedziby kilkudziesięciu urzędów centralnych, w tym tak ważnych i prestiżowych, jak Sąd Najwyższy, Sąd Konstytucyjny czy Rzecznik Praw Obywatelskich. O ile w Pradze rezyduje prezydent, rząd i parlament, to Brno jest siedzibą większości centralnych organów wymiaru sprawiedliwości. Oprócz wspomnianych wyżej instytucji, w Brnie mieszczą się siedziby m.in. Akademii Wymiaru Sprawiedliwości, Inspekcji Handlowej, Naczelnego Sądu Administracyjnego, Prokuratury Generalnej, Urzędu Ochrony Konkurencji, Inspekcji Rolnictwa i Żywności, Odwoławczego Urzędu Skarbowego czy Urzędu Prawno-Międzynarodowej Ochrony Dzieci.

Rozmieszczenie „trzeciej władzy” (sądowniczej) w innym mieście, niż stolica kraju pozytywnie wpływa na jej niezależność, a także dodatkowo dowartościuje Brno i Morawy. Z podobnym rozwiązaniem mamy do czynienia m.in. w Niemczech (siedzibą Trybunału Konstytucyjnego jest niewielkie Karlsruhe) i na Słowacji – tamtejszy Sąd Konstytucyjny ma siedzibę w Koszycach.

Wiele urzędów centralnych mieści się także w mniejszych miastach. Oto kilka przykładów. Lasy Republiki Czeskiej mają swoją centralę w niespełna stutysięcznym mieście Hradec Králové, a sie-

dziba Inspekcji Pracy mieści się na Śląsku – w 59-tysięcznej Opawie. Z kolei Urząd Regulacji Energetyki jest zarządzany z Jihlavy (51 tysięcy mieszkańców, 19 pod względem wielkości miasto Czech).

Mając to wszystko na uwadze, nie dziwi burza, którą wywołała niefortunna decyzja ministra spraw zagranicznych. „Czechia” w nazwie została odebrana jako symboliczny zamach na wieloregionalność kraju i jako przejaw praskiego szowinizmu, który w opinii mieszkańców Moraw i Śląska jest nadal widoczny. „Pragocentryzm” przejawia się zwłaszcza w sferze medialnej, której deglomercacja nie objęła – nadal to Praga jest siedzibą niemal wszystkich liczących się ogólnoczeskich dzienników, tygodników oraz stacji telewizyjnych i radiowych. Brno i Ostrawa to medialna prowincja, więc morawski i śląski punkt widzenia nie przebijają się w ogólnokrajowych mediach tak bardzo, jak by tego chcieli mieszkańcy tych nieczeskich regionów republiki.

Jak sprawa niefortunnej „Czechii” się skończy – trudno na razie przewidywać. Być może kwestia ta pójdzie w zapomnienie, jako nieistotny epizod. Jedno jest jednak pewne – niezależnie od tego, czy „Czechia” się przyjmie, sprawa nazwy kraju jeszcze długo będzie wywoływać u naszych sąsiadów gorące dyskusje.



Sudety kocham bardziej

GRZEGORZ SZTOŁTER

Cztery książki o górskich schroniskach – trzy o sudeckich (w pięciu częściach), ostatnia, najnowsza o karpackich. Wydane własnym sumptem i przez siebie opracowane. Tylko człowiek, który naprawdę kocha góry może tak postąpić.

W Sudetach Bernard Kopiec z Imieli-
na, rocznik 1937 – miłośnik twórczo-
ści Albina Siekierskiego, o którym niedaw-
no pisałem na łamach „Śląska” – zakochał
się już jako kilkunastolatek. Wspomina te
góry z przełomu lat 40. i 50. ubiegłego
wieku, jako nieznanne, owiane tajemnicą,
wszak dopiero co weszły w skład Polski
Ludowej, jako tzw. część Ziemi Odzyska-
nych. Znakomicie zagospodarowane przez
Niemców przez całe powojenne lata by-
ły szabrowane, niszczone – bo obce,
niemieckie. Dopiero z czasem zaczęto
o nie dbać, jak o swoje. – Ale to co po-
ginęło, było nie do uratowania – mówi
Kopiec. – W 50. i 60. latach cała masa bu-
dynków spłonęła. Zostały po nich jedy-
nie zgłiszczka.

W Sudetach, ich historii, wciąż jeszcze
pozostają niezbadane rejony do odkry-
cia – jak choćby schroniska – ich lista nie
jest pełna. Zawsze pojawić się może nie-
znana jeszcze perła – podkreśla Kopiec,
który zgromadził kilka tysięcy pocztówek
poświęconych Sudetom. Mój rozmówca
wspomina, że jego dziadek miał tych
pocztówek trzysta, przysyłał mu je regu-
larnie brat Józef. Były na nich przedwo-
jenne górskie sudeckie schroniska. To go

zauroczyło. Kiedy po latach, w 1952 ro-
ku, miał okazję wyprawić się w te góry
z rówieśnikami ze szkoły, spotkał legen-
darnego sudeckiego przewodnika – był
nim Tadeusz Steć.

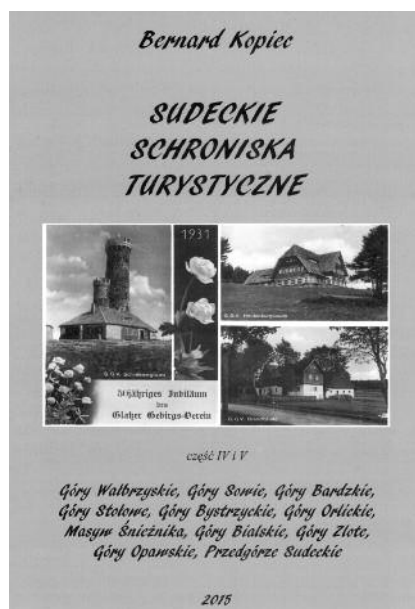
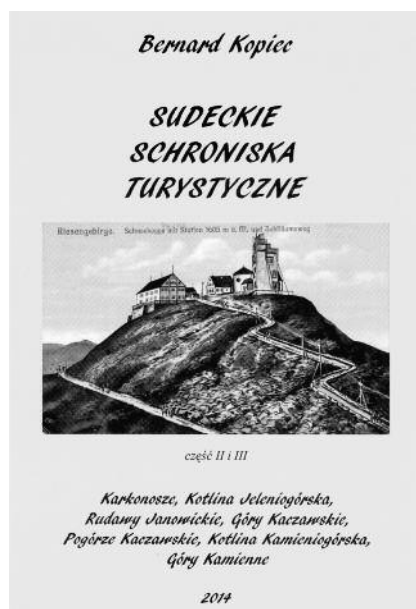
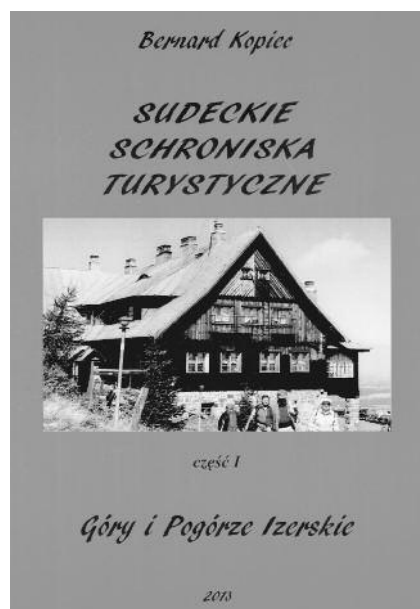
Materiały do wspomnianych książek
Kopiec, absolwent katowickiego AWF
na Wydziale Rekreacji i Turystyki, groma-
dził przez całe swoje przewodnickie ży-
cie – do niedawna jeszcze był aktywnym
przewodnikiem i pilotem wycieczek (na-
leżał do koła PTTK nr 36 przy Zakładzie
Remontowym Energetyki w Katowic-
ach). Teraz poświęca się wyłącznie pisa-
niu, na stole – kiedy rozmawiamy – do-
strzegam rozłożone pocztówki, ich
reprodukcje. Tu rodzi się kolejna publika-
cja, o miejscowości Sokolowsko w Górach
Suchych, w której to, w połowie XIX stu-
lecia doktor Hermann Brehmer uruchomił
pierwsze na świecie specjalistyczne sanato-
rium dla gruźlików. Na nim wzorowa-
ło się szwajcarskie Davos i tamtejszy ośro-
dek leczenia gruźlicy.

B. Kopiec nie ukrywa, że zdecydowa-
nie lepiej czuje się w Sudetach niż w Kar-
patach, które są opisane znacznie obszer-
niej – i trudno tu już o jakąkolwiek
niespodziankę badawczą. Natomiast Su-

dety, owszem jeszcze mogą nieraz zasko-
czyć czymś ciekawym (listą opisanych
schronisk nie jest ostatecznie zamknię-
ta). I że to koledzy przewodnicy zachę-
cili go do kontynuacji tematu – stąd
po sudeckich, wziął na warsztat karpac-
kie schroniska – te istniejące i nieistnie-
jące. Generalnie i tak Sudety są lepiej za-
gospodarowane niż Karpaty, wystarczy
wspomnieć, że schronisk (i bacówek) mój
gospodarz naliczył około 150 i pomieścił
w jednym tomie. Tych sudeckich jest kil-
kakrotnie więcej – zmieściły się z ledwo-
ścią w trzech tomach.

Ulubionym miejscem naszego bohate-
ra w Sudetach jest Samotnia, piękne
schronisko położone nad Małym Stawem
niedaleko Karpacza. Żeby znaleźć podob-
ny, klimatyczny obiekt w Karpatach, Ko-
piec długo się namyśla – szukając w pa-
mięci. – Jest tego tyle... – wzdycha. I już
wiem, że kocha bardziej Sudety.

Książka o karpackich schroniskach
jest już 19. w dorobku pisarskim publi-
cysty, dokumentalisty i historyka regio-
nu Bernarda Kopca. I pewno nie ostatnią.
Wszak o pierwszej miłości – a w wypad-
ku Kopca są nią niewątpliwie góry – moż-
na pisać bez końca... ■



POEMAT DLA MARKA BIEŃCZYKA

I	II	IV
zamknąłem oczy i zobaczyłem:	niewielki placyk w szpalerze morw,	czym jest to, co jest, rzut w sam środek bytu?
gdzie dzisiaj jest droga, nie było drogi;	owoce morwy mają słodki smak,	ilekroć widzę piłkę, gdy trafia jak kula,
gdzie dzisiaj nic nie ma, kiedyś stały domy;	krzyki jak latorośl, doszedłeś do szkoły,	ruchy bioder, zwinność nóg,
idę i nie poznaję, czy mam dalej iść?	dziewczynki pod ścianą szepcą coś do ucha,	pytam: co minęło? zawsze o to pytam.
tu, kiedyś, w tym miejscu coś się wydarzyło;	niewielki budynek zna tyle sekretów,	V
co to było, kiedy, kto to zapamiętał?	nauczyciel jak czapla ziewa, jest znudzony,	prowadzili grę jak mistrzowie tańca,
szliśmy w tę stronę, dlaczego nie w inną?	patrzy na placyk wydeptany, w kurzu,	tańcz, chłopcze, tańcz, olé!
szliśmy, nie doszliśmy, jaki był w tym sens?	kopią się chłopcy po nogach, bezładnie,	w tej choreografii byli niż my więksi,
kiedy była zima, czy na pewno była?	oj, strzelaj, chłopcze, strzelaj, jest!	lecz co możemy dla nich uczynić po śmierci?
kiedy było lato, czy na pewno takie?	III	wyciągnąć nogę i –
była wiosna, w sumie sześć pór roku, tylko	a w drzewach śpiew: zwykle ćwir ćwir wróbli,	strzelaj, chłopcze, strzelaj?
kto dzisiaj jeszcze umie nazwać pory roku?	na drodze ruch: skaczą żaby w błocie,	
na drodze piasek, oczodoły kałuż,	pod szkołą do nieba przytulone bzy,	
pobocze w rowach porośniętych trawą,	oj, strzelaj, chłopcze, strzelaj, jest!	
jeżeli będziesz szedł, dojdiesz, na pewno,		
jeśli się zatrzymasz, zdziwisz się, na pewno.		

TRIFOLIUM KATOWICKIE

[1]

Musisz się zmierzyć z tamtym dniem,
Kiedy przed tobą rosła jasność.

I z tamtym snem, co jest już snem,
A się wydawał wtedy czymś, co

Nadejść nie może, bo daleko,
Jakby za górą i za rzeką.

I oto bije ta godzina,
I zbliża się już Mors Maxima.

Nie, to nie ty ze snem się zmagasz,
To tylko sen powieki smaga.

[2]

kiedy cię proszą
do domu wybielonego

wstępuj bez lęku
kłaniaj się na progu

jeśli cię śmierć powita
daj jej kwiat suchołuński

na nieśmiertelność
na dobre zamieszkanie

[3]

na pytanie o sens
odpowiedział:

w tym świecie
gdzie piach jest droga

warto zastanowić się
nad słówkiem posiłkowym być

piach był jest i będzie
odmianą istnienia

NIC CIĘ NIE OBCHODZI

Już jesteś spokojny,
już cię nie obchodzi szmer świtu,
letnia burza i zamglone niebo.

Nie obchodzi cię śnieg, który może spadnie
i skuje w bezczynności wszystkie autobusy,
nie obchodzi słońce i strach przed udarem,
nie obchodzą wszystkie prognozy pogody.

Czy zdążysz na godzinę wcześniej umówioną,
czy będzie czekał ten, kto obiecał czekać,
czy pójdzie sobie precz znudzony czekaniem.

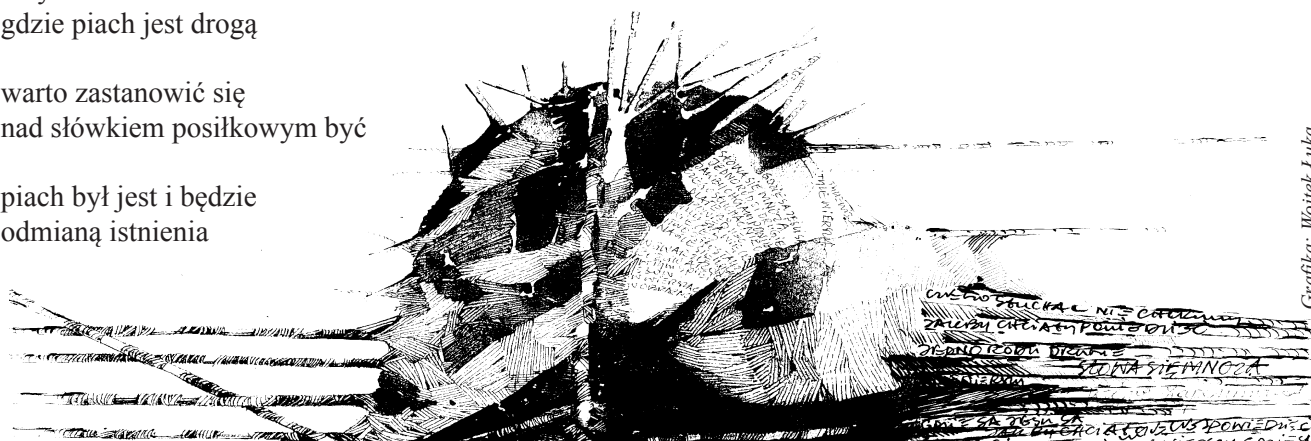
Nie obchodzi cię już tykanie zegara,
pamięć o wszystkich bliskich, z których
ci najdalsi wciąż mają najwięcej do opowiadania.

Nie obchodzi nawet wstyd, że pozostanie
nieposprzątanym pokój i złość tej najdroższej
osoby, która nie chciałabyś, aby się złościła.

Ani świegot wróbla, ni odgłos tramwaju,
ni tąpnięcie ziemi, ani krzyk sąsiada,
wszystko to po raz pierwszy nic cię nie obchodzi.

Ten spokój, błogi spokój
zamknięty na twarzy
i pewność, że już więcej
nic się nie wydarzy.

To jest twoje, nikogo
innego. Twoje.
A reszta jest jak drzewo
rozdarte na dwoje.



z **NORBERTEM RAKOWSKIM**, dyrektorem Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu
rozmawia IWONA KŁOPOCKA-MARCJASZ

Fot. z prywatnych zbiorów Artysty



Nie damy wytchnąć widzom

– Zaczął pan drugi sezon w Opolu, ale widzowie w teatrze częściej od aktorów widzieli w teatrze robotników. Swoje dyrektorowanie zainaugurował pan remontem i ten właściwie był nieustanny. Premiery natomiast odbyły się tylko trzy. Trzeba było posprzątać po poprzednikach?

– Jestem dyrektorem od dziewięciu miesięcy i zacząłem od gruntowych zmian organizacyjnych – przede wszystkim regulaminu czasu pracy, płac, struktury teatru. To nie wynika z jakiejś niebywałej wizji, z którą przyszedłem do Opolu, ale z doświadczenia. Widziałem miejsca pracy różnie zorganizowane i wiem, jak to się przekłada na główne zadanie – służbę widzowi. Trzeba być dobrze zorganizowanym, bo to ułatwi następne lata pracy. A co

do remontów... Teatr Kochanowskiego ma 40 lat i przez ten czas nie był w ogóle modernizowany. Zmieniliśmy charakter foyer, teraz to rodzaj klubu, kawiarni. Z dawnej malarni powstała czwarta scena teatru. To wszystko wiąże się z moją koncepcją „Kochanowskiego”, z którą stanąłem do konkursu na stanowisko dyrektora. Faktem jest, że premier było bardzo mało, ale proszę pamiętać, że zostałem dyrektorem już w sezonie. Repertuaru nie buduje się ot, tak, na pstryknięcie. Reżyserów nie zaprasza się do pracy z dnia na dzień. Dlatego dopiero rozpoczęty w sobotę, 10 września, sezon będzie pierwszym, świadczącym o mojej pracy i wizji. Nadrobimy to, czego zabrakło w poprzednim, bo zaplanowaliśmy aż 9 premier.

– To rzeczywiście imponujące, ale z nim przejdziemy do szczegółów proszę powiedzieć, jak pan widzi miejsce i rolę Teatru Kochanowskiego w życiu kulturalnym Opolu i regionu.

– Zależy mi na miejscu dynamicznym, które ma charakter współczesnego centrum kulturalnego. Miejsce, w którym widz może się rozsmakować w kulturze, pobudzić swój apetyt na kulturę i gdzie dostaje szeroką ofertę związaną z kulturą. Głównym zadaniem oczywiście jest tworzenie przedstawień. W mieście, gdzie jest tylko jedna scena dramatyczna, musi to być teatr eklektyczny o dobrze wyważonych proporcjach teatru poszukującego, artystycznego, edukacyjnego oraz rozrywkowego. Powinno w nim być także miejsce na eksperyment. W tym celu wybudowaliśmy nową przestrzeń teatralną – Modelatorium. Idea nie jest jakaś supernowa, najtrudniejsze jest dobre wyważenie, tak aby przedstawienia komercyjne, lżejsze były pociągiem pozwalającym na realizację trudniejszych. Ale też chodzi o to, by widz dostał bardzo szeroką ofertę. Na tym nam najbardziej zależy – by każdego widza przyciągnąć. A jeśli ktoś jeszcze w teatrze nie był, to żeby pobudził swój apetyt na kulturę.

– Jesteśmy świeżo po pierwszej premierze, pierwszej z dziewięciu. Pana poprzednicy, jeśli nie liczyć tych sprzed 40 lat – Hussakowskiego i Cybulskiego – przyzwyczaili opolan do pięciu-sześciu. Skąd ten rozmach w teatrze, w którym się raczej nie przelewa?

– Po pierwsze, pochodzę z Szamotuł, więc jestem oszczędny. Po drugie, już realizujemy dwie koprodukcje, a to nie dość, że daje nową iskrę w zespole, to jeszcze pozwala na spore oszczędności i wydłuża eksploatację, bo przedstawienie będzie grane w dwóch teatrach. Sezon otworzył „Ślub” Witolda Gombrowicza, wyreżyserowany przez Annę Augustynowicz, dyrektora artystycznego Teatru Współczesnego w Szczecinie. Przedstawienie jest wspólnym przedsięwzięciem obu teatrów. Nie jest to łatwe w realizacji, ale na razie wszyscy są zadowoleni, bo widać nowego ducha w zespole. Aktorzy mogą się wymieniać doświadczeniami. Mam nadzieję, że dla widza to też będzie widoczne. Premiera „Ślubu” otworzyliśmy też nową scenę Teatru Kochanowskiego – Modelatorium, której przebudowa (scena powstała z teatralnej malarni) została sfinansowana przez Urząd Marszałkowski i Ministerstwo Kultury. Dzięki temu zyskaliśmy salę, która będzie służyć młodym ludziom na projekty eksperymentalne. To miejsce dedykowane jest Jerzemu Grotowskiemu, który w Opolu tworzył Teatr 13 Rzędów i kształtował swój wyjątkowy język teatralny. Wiele lat później, w 1991 roku, gdy odbierał doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Wrocławskiego, wyraził myśl, która legła u podstaw koncepcji naszej Modelatorium. Powiedział wówczas, że ochrony i opieki potrzebują nie uznani mistrzowie, lecz ci, „którzy są w stanie podjąć pracę długofalową wtedy, kiedy nie są jeszcze mistrzami”. Modelatorium ma być właśnie miejscem, które będzie służyło realizacji postulatów Grotowskiego: zapewnieniu podstaw dla eksperymentalnych poszukiwań w dziedzinie teatru.

Będzie miejscem, które jednocześnie będzie przypominać jego dorobek i stanie się płaszczyzną spotkań z osobami i zespołami związanymi z jego tradycją. Oddajemy ją na realizację długofalowych, innowacyjnych projektów w zakresie języka scenicznego we wszelkich jego aspektach, dramaturgii oraz możliwości inscenizacyjnych polskich tekstów współczesnych i klasycznych.

– Myśli pan, że małe Opole przyciągnie młodych twórców?

– Myślę, że będzie ich tyłu, że będą musieli stanąć w kolejce. Silna będzie nie tylko pokusa debiutu, ale przede wszystkim pokusa pewnej wolności twórczej i unoszący się nad tym miejscem duch twórcy zupełnie nowego języka teatralnego. By umożliwić twórcom dostęp do niego, ogłosiliśmy Konkurs na Projekt Teatralny w ramach programu Modelatoria. Mam nadzieję, że będzie on cykliczny. Co roku chcemy do realizacji wybierać dwa projekty – na wiosnę i jesienią. Konkurs adresowany jest do młodych czynnych reżyserów i studentów ostatnich lat reżyserii. Z tego co wiem, Opole już staje się popularne, bo mało jest miejsc w Polsce, w których młodzi twórcy mogą swobodnie prowadzić poszukiwania nowego języka teatralnego.

Z ideą Grotowskiego związane są też warsztaty Grupy G. Jeszcze nie zdążyliśmy wywiesić afiszy, a już mieliśmy komplet chętnych. To warsztaty, które mają przybliżyć szczególnie aspekty pracy sceniczej. Ich liderami będą osoby, które na różne sposoby czerpią inspiracje z dziedzictwa Grotowskiego. Grupa G ma być przestrzenią dla wszechstronnego rozwoju osób zawodowo związanych z kulturą i sztuką – animatorów kultury, pedagogów, wykładowców, katechetów, liderów kół teatralnych w szkołach i domach kultury, a także innych osób, dla których rozwój kompetencji poprzez działania teatralne może stać się istotnym elementem samorozwoju. Zajęcia prowadzić będą artyści poruszający się w różnych obszarach sztuk performatywnych, pracujący z ciałem, ruchem, głosem, ideą, tekstem... Wśród zaproszonych do udziału w projekcie twórców znajdują się m.in. współpracownicy Workcenter of Jerzy Grotowski and Thomas Richards w Pontederze. Równoległe z zajęciami dla widzów odbywa się cykl zajęć warsztatowych dla aktorów Kochanowskiego.

– Modelatornia nie będzie jedyną sceną w Kochanowskim, gdzie młodzi będą mile widziani?

– Naszą najmniejszą scenę przemianowaliśmy na Bunkier – Scenę Inicjatyw. To również będzie miejsce dla bardzo młodych reżyserów, przeznaczone na realizację sztuk kameralnych, małoobsadowych i niskobudżetowych, w których debiutujący twórca będzie mógł przede wszystkim sprawdzić się w pracy z aktorem. Próby rozpoczął już Tomek Cymerman, który przygotowuje sztukę zatytułowaną „Coś pomiędzy”. Zabawne, że jej forma to też „coś pomiędzy” – pomiędzy dramatem a musicaliem.

– Oszczędny dyrektor z Szamotuł eks-ploatować będzie tylko kameralne sce-

ny, a dużą na ponad 500 miejsc zatrzaśnie na glucho?

– Nic podobnego. Już wkrótce, 24 września, odbędzie się druga premiera – na Dużej Scenie, w mojej reżyserii. Będzie to „Uroczystość” Thomasa Vinterberga i Mogensa Rukova. To niewytknięty tekst, napisany na podstawie filmu „Festen”, pierwszej realizacji słynnego manifestu Dogmy. To opowieść, z którą każdy może się identyfikować. Na 60. urodziny seniora rodu zjeżdża cała rodzina. Podczas fety wychodzą na jaw różne tajemnice poszczególnych osób. Trudność z mówieniem sobie prawdy jest dość powszechna, zwykle musi się coś wydarzyć, trzeba dojść do jakiegoś progu, by zechcieć ją wyjawić. To będzie atrakcyjna, pełna zwrotów akcji historia, ale mam nadzieję, że widzowie wyniosą z niej coś więcej, niż tylko poczucie humoru.

Bardzo atrakcyjnie zapowiada się także autorskie przedstawienie Agaty Dudy-Gracz, specjalnie napisane na dwa teatry. Będzie to kolejna koprodukcja, tym razem Teatru Kochanowskiego i Opolskiego Teatru Lalki i Aktora. Co ciekawe, przedstawienie będzie się działo w przestrzeniach obu teatrów, a nawet pomiędzy nimi. Po części będzie to więc widowisko plenerowe, bo sztuka wraz z widzami wyjdzie z jednej sceny i przeniesie się na drugą. Będzie to przeznaczona dla widzów dorosłych opowieść o miłości, szczęściu i różnych naszych polskich grzechach i indywidualnych grzeszkach.

– Duński „Festen” to niejedyna inspiracja filmowa, która znajdzie sceniczny wyraz w Teatrze Kochanowskiego w tym sezonie?

– 10 grudnia planujemy premierę przedstawienia inspirowanego słynnym „Bez znieczulenia” Wajdy. Wyreżyseruje je mój nowy współpracownik, konsultant programowy, Piotr Ratajczak – były dyrektor artystyczny teatru w Wałbrzychu i dyrektor festiwalu debiutów reżyserskich. Tekst pisze dla nas Piotr Rowicki. Historia szlachetnego inteligenta, który staje się politycznie niewygodny i traci wszystko, zarówno w sferze zawodowej jak i osobistej, wydała nam się bardzo aktualna.

– W przyszłym roku Opole hucznie obchodzić będzie 800-lecie powstania. Czy Teatr Kochanowskiego wpisze się w te obchody?

– Planujemy dosyć niecodzienny projekt. Tekst na nasze zamówienie pisze jeden dramaturg, ale reżyserować go będzie czterech reżyserów. Jeden opowie o niemieckiej przeszłości miasta, drugi o przeszłości PRL-owskiej, trzeci pokaże Opole dziś, a czwarty przedstawi wizję jego przyszłości.

– Przez 40 lat sztandarową imprezą Teatru Kochanowskiego były Opolskie Konfrontacje Teatralne – Kłasyka Polska. W tym roku po raz pierwszy odbyły się w nowej formule, wiążącej go z ogólnopolskim konkursem „Kłasyka Żywa”. Przyszłoroczne Konfrontacje będą podobne?

– Tym razem finał konkursu „Kłasyka Żywa” odbędzie się w Opolu. To będzie zupełnie inny festiwal niż tegoroczny, który był tylko przeglądem najlepszych insceni-

zacji konkursowych. Tym razem rozstrzygnięcia jurorów zapadać będą podczas prezentacji w Opolu, a laureaci mogą liczyć na bardzo duże nagrody, które pozwolą im sfinansować kolejne artystyczne przedsięwzięcia. Organizujemy Konfrontacje wspólnie z Instytutem Teatralnym w Warszawie. Siedmiu selekcyjnych, teoretyków i praktyków teatru, jeździ po Polsce i ogląda najlepsze inscenizacje klasyki w kraju. Teatr Kochanowskiego zamierza zgłosić do konkursu „Słub”, którego premiera chwilę temu się odbyła.

– Co jeszcze nas czeka?

– Nie chcę zdradzać wszystkich szczegółów, więc w telegraficznym skrócie: komediowa niespodzianka na sylwestra, polsko-czeska, przedstawienie poruszające kwestie mentalności obu narodów (tekst napisze dla nas nagradzany dramaturg z Ostrawy – Thomas Vujtek), współpraca z Grzegorzem Wiśniewskim. W dalszej perspektywie przymierzamy się do koprodukcji z Teatrem Śląskim w Katowicach. Dwa razy w miesiącu zapraszamy też na koncerty w teatralnym foyer. Występować u nas będą młode zespoły reprezentujące najróżniejsze gatunki muzyki.

– Nie da pan wytchnąć widzom.

– Ani widzom, ani aktorom, ani sobie. Teatr cały czas stoi otworem dla widzów. Można tu w każdej chwili wpaść, choćby tylko na kawę do Kafeiny. Bo „Kochanowski” to miejsce przyjazne i intrygujące. Warto się z nim zaprzyjaźnić. ■

Iwona Kłopotcka-Marcjasz – dziennikarka „Nowej Trybuny Opolskiej”.

Norbert Rakowski. Reżyser teatralny. Absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie (Wydział Aktorski) i Akademii Teatralnej w Warszawie (Wydział Reżyserii Dramatu). Kształcił się również w kierunku muzycznym. Przed ukończeniem studiów aktorskich debiutował na warszawskich scenach – Szwedzka 2/4 i w Teatrze Małym. W latach 1994 – 2004 był aktorem Teatru Współczesnego w Warszawie. Zagrał kilkanaście ról w teatrze i Teatrze TV. W 1999 r. zadebiutował jako reżyser autorskim spektaklem „Nagle” w Teatrze Studio w Warszawie. W lutym 2001 r. zrealizował spektakl dyplomowy „Samotnik” Roberta Andersona w Teatrze Współczesnym w Warszawie. Reżyseruje sztuki głównie o tematyce współczesnej w teatrach w Poznaniu, Łodzi, Olsztynie, Kaliszu, Toruniu, Szczecinie, Warszawie i Pradze. W swojej pracy nie koncentruje się na jednym gatunku. Realizuje zarówno spektakle realistyczne, jak i eksperymentalne formy tańca współczesnego oraz formy operowe. W 2008 r. za „Plotkę” Francisca Webera otrzymał łódzką Złotą Maskę w kategorii „najlepsza reżyseria”, a w 2010 r. Grand Prix na warszawskim festiwalu Korczak za spektakl „Kieszonkowa orkiestra”. Globtrotter, miłośnik twórczości Andrzeja Tarkowskiego, Piny Bausch oraz muzyki jazzowej.

Biblijne strofy Harry'ego Dudy

MAŁGORZATA NOWAK

[...] język, jakim napisana jest Biblia, brzmi jeszcze dla dzisiejszych ludzi jak wielka poezja. Jest w niej tak jak w wielkiej poezji spojone razem słowo i milczenie. Jest prawda rzeczy głęboko przeżytych, przecierpianych przez całe pokolenia.

[Anna Kamińska, *Książka nad książkami*, Gdańsk 1996, s. 7]

Nie jestem ani teologiem, ani biblistą. Pismo Święte czytam sercem, wrażliwością i intuicją. Teorie nie są mi potrzebne. Dla mnie Bóg jest żywy.

[Jan Twardowski, *Spacer po Biblii*, Warszawa 1997, s. 5]

Oba zamieszczone wyżej przytoczenia bez nadużyć odnieść można do Harry'ego Dudy. Z fascynacji treścią i językiem Biblii wypływa, jak można sądzić, znaczący nurt jego poetyckiej twórczości. Wyrazem poetyckiego przepisania przemydlanego Bożego Słowa, przepisania Go przez pryzmat „serca, wrażliwości i intuicji” są oddane w technice sylabicznego (czasem zmierzającego do sylabotonizmu) rymowanego wiersza następujące biblijne księgi: *Psalmy* (zbiory 1-6, Opole 1992-1995), harmonia ewangelii – *Jezus Chrystus. Poetycka wizja czterech Ewangelii* (Opole 1999¹, 2012²), *Księga Hioba* (Kielce 2001), *Pieśń nad pieśniami* (Opole 2003), *Lamentacje Jeremiasza* (Łask-Łódź 2008), *Apokalipsa św. Jana* (Kraków 2012) oraz *Księga Koheleta* (Opole 2014). W bieżącym roku w lubelskim wydawnictwie „Norbertinum” ukaże się *Genesis*. W rękopisach pozostają kolejne ujęcia – księgi: *Wyjścia*, *Przysłów*, *Mądrości* i *Mądrości Syracha*.

Obrazowo można powiedzieć, że „wielką poezję” biblijnych autorów przepisuje Duda poezją osobistą. Z formalnego punktu widzenia biblijne strofy poety z Opola umieścić należy w zbiorze prywatnych adaptacji Pisma Świętego. Ponieważ ich źródłem są różne polskie translacje, a nie teksty oryginalne, nie można tu w sensie dosłownym mówić o przekładzie¹, lecz o parafrazie (przekładzie wolnym). Sam poeta jest tego świadomy – w tytułach utworów dla oznaczenia autorstwa wykorzystuje dawną figurę stylistyczną obejmującą nazwę księgi i wyrażenie „wierszem przez Harry'ego Dudę”, w wypowiedziach metatekstowych używa zaś określenia „ujęcie poetyckie” (w przypadku harmonii ewangelicznej *Jezus Chrystus. Poetycka wizja czterech Ewangelii* w ogóle bezpośrednio tego autorstwa nie oznacza, wskazując je tylko przy zastrzeżeniu „copyright by”). Dodać też należy, że ambicją Dudy nie był liturgiczny obieg tych

dziel – funkcję poetyckich parafraz określić można jako propeudeutyczną, ewangelizacyjno-katechetyczną, po części także egzegetyczną. W parafrazach poety komentarze kulturowe, historyczne i religijne, w tekstach kanonicznych opatrzonych aparatem naukowym umieszczone w przypisach, dyskretnie zostają włączone w biblijny werset. Harry Duda nie będąc formalnie biblistą, daje odbiorcy tekst teologicznie rozjaśniony, zgodnie z obraną u podstaw adaptacji ideą, by poetycką polszczyzną oddać hołd Biblii, a współczesnemu czytelnikowi uprzystępnąć biblijne orędzie.

Świadomość tradycji przekładowej – przebłykająca w poszczególnych tekstach – nie obciąża poety, jego translatoryczna praktyka jest wyrazem dużej – samodzielnie zdobywanej – biblistycznej wiedzy oraz wypracowanej spójnej koncepcji „przekładu poetyckiego”, przekładu spełniającego zalecenia ekwiwalencji funkcjonalnej, w myśl której prozatorski lub poetycki charakter księgi w Biblii hebrajskiej w gruncie polskim podkreślić winna określona forma. Znamienne są tu uwagi Dudy zawarte w eseju *Dlaczego Psalmy?*:

„(...) skoro psalmy śpiewano, to znaczy, że były utworami par excellence muzycznymi, a zatem musiały zachowywać określone **metrum** [tu i niżej wyróżnienie autora – dod. M. N]. Ekwiwalentem zaś muzycznego metrum jest w polszczyźnie (przecież bez iloczasu) **forma wiersza w jakichś ryzach wersyfikacyjnych**. Wiersza sylabicznego, tonicznego lub sylabotonicznego (skądinąd jednak mogącego być zbyt monotonnym dla ewent. kompozycji muzycznej). Myślę, że doskonale to czuł i rozumiał Kochanowski i m. in. dlatego nadał psalmom formę wiersza, w tym 11- i 13-zgłoskowca”².

Warto przy tym zaznaczyć, że znając dziedzictwo kultury, tj. dawne i współczesne całościowe lub fragmentaryczne tłumaczenia Biblii, w toku prac nad poszczególnymi księgami pewne translacje Harry Duda celowo pomija – w przypadku *Księgi Psalmów* nie korzystał np. z przekładów Czesława Miłosza i Romana Brandstaettera, by – jak wyznał – „uniknąć mimowiednych kalek, zapożyczenia „tropów myślowych” czy „klimatów”

Przy nadrzędnej zasadzie wierności tekstowi źródłowemu w parafrazach Dudy biblijne rozdziały i wersety nie zostają oznaczone w sposób ciągły (lokalizujące sigala pojawiają się jako składnik tytułatury poetyckich alustek). W zakresie techniki adaptacji w sensie globalnym na ogół nie ma przełożenia na zasadę: biblijny werset – strofa czy też werset wiersza – zdanie. Myślowa całość (werset biblijny) niejednokrotnie w poszczególnych parafrazach wędruje między wersami i między strofami. Te zaś budowane są w zróżnicowany sposób – w *Jezusie Chrystusie* i *Apokalipsie* jednostką organizacji treści jest oktawa (w drugim wypadku z niewielkimi odstępstwami), czterowierszem oddał poeta *Genesis*, *Hioba* i *Pieśń nad pieśniami*, tercyną *Koheleta*, w *Księdze psalmów* sięgnął po dystych, tercynę, cztero-, pięcio- i sześciowiersz, łączył też strofy o różnej budowie.

Alleluja! Wychwalcie Pana z nieb wysokich!
Od przestworu ziem chwalcie aż do wód głębokich.

Chwalcie Go bezustannie wszyscy aniołowie
i niech dzielni zastępów chwałą hetmanowie.

Chwalcie-ż pana: ty, słońce, chwał koło miesięczne,
i wy, gwiazdy dalekie, co światłem tak wdzięczne.

Chwalcie Pana niebiosa, chociażby najwyższe,
i wody popod nimi, nawet te najniższe.

Świętujmy Jego imię, bo to On rozkazał
i ze świętej swej woli świata stać się kazał.

I utwierdził go trwale z mocy swego prawa,
a ono ani mija, ni się puste stawa. [...]

[*Psalm CXLVIII*, w: *Psalmy Dawida wierszem przez Harry'ego Dudę*, Opole 1992-1995, t. VI, s. 41]



W poematach biblijnych Harry'ego Dudy równie misternie tkany jest rytm (w przewadze jedenasto- i trzynastozgłoskowy) i cyzelowany rytm – swoistym znakiem rozpoznawczym poety jest wykorzystywany w oktawie układ rymów *ababcdcd*. Co więcej, w ewangelicznej harmonii Duda narzucił sobie – niewyobrażalny wręcz – rygor niepowtarzalnych w obrębie całości dzieła rymów.

[...] Tam Apostołowie
usiedli nad jeziorem, by spocząć. Wyjmują
z sakwy sól, podplomyki i skromne zapasy.
Na brzegu łódź ich stoi. Stale oczekują,
odkąd są w Galilei, że się im ukaże
Pan – kto wie gdzie i kiedy? I nie widzą krasny
wieczoru, który schodzi, tak są wypełnieni
myślami o Jezusie: zamyślane twarze
i nieobecne ich oczy. Bo w każdym się pleni

dzieło wielkiej przemiany. Rozum – zbuntowany –
walczy z serca ufnością; mozolnie się rodzi
wiara – wiedza z wysoka. Niby przekonany
każdy, lecz rozdwojony; bojaźń niepojęta,
niemożność, by zrozumieć – w znużenie przechodzi.
Wszak ci ludzie, tak prości, muszą całkowicie
na świat spojrzeć od nowa, toteż prawda święta
wymyka się ich myślom jakby sen o świcie.

A ciemnopopielate, bielą z brązem tkane
kamienne wybrzeże tu i tam kępami
zieleni do wód schodzi. Nad nimi – rozlane
po łagodnych pagórkach – łąki się pyszniły
anemonem, kostrzewą, rumiankiem, mirtami.
Jakieś kwiatki szkarłatne ściegiem przez zólcienie
przebiegają lśnieniami jak gdyby świeciły
klejnoty. Drzew i krzewów wieczorne półcienie

pokrywają szarością kępy złotowłosów,
co stygną jak od głębi tajemne źrenice.
Zapach mdlący i gorzki, i słodki... Gwar głosów
ptasich kroplami skacze, szklistym deszczem dźwięków.
A na gładzi jeziora tu i tam krynice
ech wytryskują spod niej. Wody przeźrocyste,

więc kamyki migocą wśród zielonych pęków
wodorostów, a rybki jak kolce srebrzyste

połyskują brzuchami. Szymon Piotr rzekł: „Pora
już ryb nałowić, idę” – „My także pójdziemy
z tobą” – postanowiono. Rybacka łódź spora
na jezioro wypływa. Całą noc krążyli,
ale ryby nie było. „Rankiem odpłyniemy
gdzie indziej” – mówią. Świtu wstające jasności
zastały ich opodal brzegu. Zobaczyli
że ktoś stoi nad wodą. [...]

[*Księga Zmartwychwstania*, w: H. Duda, *Jezus Chrystus. Poetycka wizja czterech Ewangelii*, Opole 2012, s. 336-337]

Przy zasadzie wierność treściowej i emocjonalnej względem oryginału, której efektem jest także kościelne imprimatur dla harmonii czterech Ewangelii, przyjęta technika adaptacji tłumaczy występujące w tekście-odbiciu transformacje – tekstowe uzupełnienia i redukcje. Forma, jakkolwiek wymuszająca pewne wybory, stoi za dbałością o przekaz kanoniczny. W poetyckich adaptacjach Biblii pojawiają się treściowe dodatki – myśli, uczucia osób występujących w tekście, ich możliwe reakcje, słowa; dookreślona i uplastyczniona zostaje przestrzeń zdarzeń, ożywiony krajobraz. Odbiorca poetyckich obrazów „widzi” i „słyszy”.

Zestawione z tekstem kanonicznym ujęte wierszem parafrazy Dudy charakteryzuje zwiększona liczba środków poetyckich, ze szczególnym uwzględnieniem przenośni i porównań, przy czym człony porównujące najczęściej odsyłają do świata przyrody (przykładowo w harmonii Ewangelii Słowo przyszło do swoich *jak rzeka, która do morza płynie*; mirra jest tak pachnąca – Duda poetycko mówi *wonna – jakby ogród cały drzew balsamicznych kwitnął*) i zachowań człowieka (*Zachariasz ukarany za niewiarę wybiega ze Świątyni gestykulując jak gdyby postacie niewidzialne odpychał i unikał sznurów*; archanioł Gabriel muska włosy Maryi *jak matczyną pieszczotą*). Poetycko – co nie zawsze ułatwia ich odbiór – meandruje miejscami szyk wypowiedzeń.

Niby pieczęć do serca mnie przyłoż, pieczęcią do ramienia. Bo mocna jako śmierć jest miłość,

a jej węgle płonące rozpaloną chęcią,
i twarda jest jak piekło z miłości rzewność –

jej pochodnie jak pożar ognia i srogości,
moc niby płomień Jahwe, co idzie pochodem
spustoszenia. Wód wielkich żadne głębokości
go nie zgaszą i rzeki nie zatopią. Z rodem

całym gdyby pozbierać i z domostwa wszelkie
przeznaczyć majątkości – za mało by było
na zapłatę miłości. Choćby nawet wielkie
bogactwo – też wzgardzone nic by nie znaczyło

[*Szir Haszirim czyli Pieśń nad pieśniami Salomonowa wierszem przez Harry'ego Dudę*, Opole 2004, s. 21-22]

Oceniając biblijne poematy Harry'ego Dudy ze stylistycznego punktu widzenia, stwierdzić należy, że w sensie całościowym w parafrazach zachowana została reguła stosowności. Styl biblijnych strof Dudy jest wzniosły, język staranny, książkowy, lekko archaizowany (w warstwie gramatycznej i leksykalnej), miejscami – gdy wymaga tego kontekst – potoczny. Archaizujące wybory poety tłumaczą się funkcjonalnie – dla przykładu dawne końcówki fleksyjne patynują tekst, nie czyniąc go równocześnie niezrozumiałym, podobnie z leksyką. Niektóre formy, zwłaszcza uwikłane w figury poetyckie, wymagają większej czytelniczkiej współpracy. Odbiorcę biblijnych poematów Dudy wybijają z rutynowych ścieżek skojarzeń i zaskakiwać mogą te leksykalne zestawienia, w których rezonuje to, co w języku neutralne i emocjonalne, trwające i przeszłe, semantycznie niezmiennie i funkcjonujące współcześnie w odmiennym znaczeniu. Sporadycznie narzucona forma skutkuje – artystycznie uzasadnionymi – formami nienormatywnymi, pożądanymi z punktu widzenia rytmu lub rymu.

[Sade.] Wołaj, Córo Syjonu, swym sercem do Pana!
Niech twe łzy jak strumienie przez noc i od rana
nieustannie błagają!

I nie miej w tym wytchnienia, Dziewico Syjonu:
Nie zaznawaj spoczynku, nie wstawaj z pokłonu
w ukorzeniu przed Jahwe.

[Kof.] Wołaj nocą, z początkiem straży, i wylewaj
jak wodę swoje serce przed Panem, rozdziejaj
szaty, aby się ranić!

Unoś ręce do Niego za dusze swych dzieci,
co na ulicach zmarły z głodu; niech się wznieci
krzyk: „Czyś czynił tak komu,

[Resz.] że kobiety jeść mają owoc swego łona?!
I że w Świątyni dzisiaj zabiti – przecie kona –
Twój kapłan, jak i prorok?

[Szin.] Że są w prochu ulicznym panny i młodzieńcy,
moje dzieci i starcy, jakby w zboże żeńcy
zapuścili swe sierpy...?

A to przecie od miecza padli mordowani!
Boś to Tych ich w dniu gniewu zabił, że skalani,
I nie miałeś litości! (...)

[*Wolania, w: Jeremiasza treny, czyli skargi, narzekania i lamentacje wierszem przez Harry'ego Dudę*, Łask-Łódź 2008, s. 22].

W omawianych tu parafrazach Dudy uwidaczniają się także znamionujące go osobliwości gramatyczno-pisowniane, wyróżnik artystycznego (w jego religijnej odmianie) idioastyłu poety: łączenie ruchomych werbalnych końcówek czasownika z inną częścią mowy za pomocą łącznika, analogiczne przyłączanie partykuł *-ż, -że i -li*, a w ściągniętych formach przy-

imkowo-zaimkowych (*doń, przezeń*) podkreślenie wielką literą zaimka wskazującego Osobę Boską.

* * *

W benedyktyńskim zgoła poetyckim przepisywaniu Pisma Świętego Harry Duda nie jest odosobniony, współczesną polską wierszowaną serię przekładową poszczególnych ksiąg Biblii współtworzą wespół z nim: Henryk Adamczyk, Bohdan Drozdowski, Fabian Frankiewicz, Kazimierz Kukułka, Stanisław Schramm, Jadwiga Stabińska, Anastazja Staško i inni. W szeregu tym prócz Dudy ludźmi pióra w sensie ścisłym są tylko Drozdowski i Stabińska, dla wszystkich jednak wymienionych język Księgi brzmiał lub wciąż „brzmi jak wielka poezja”. Wszystkich autorów poetyckich parafraz Biblii łączy jej umiłowanie. Drugą wspólną miłością jest poezja, różnie jednak w sensie warsztatowym wyrażana. Na tle innych współczesnych parafraz Pisma, twórczość Dudy – wszak profesjonalisty z ponad pięćdziesięcioletnim stażem w pracy twórczej – wyróżnia się jakościowo, jest także znacząca w sensie ilościowym.

Każda w czasie właściwym jest rzecz oznaczona
i we własnych godzinach każda z nich skończona,
albowiem przemijając – w przeciwność się zmienia.

Stąd: chwila, że się rodzisz – i moment konania;
dzisiaj sadzone winnice – spotka dzień wyrwania;
bywają pory bitew – i dla ran leczenia;

idą dni, że się niszczy – i kiedy buduje,
a śmiech w płacz się obraca, zaś lament – tańcuje;
raz człek kamień odrzuca – innym razem zbiera;

bywa czas obłapiania – i odeń gdy stronisz;
raz kupiłeś dóbr wiele – kiedy indziej trwonisz;
to, co bywa zamknięte – oto się rozwiera;

dzisiaj chętnie zagarniasz – jutro chcesz odrzucić;
chciałbyś kogo uderzyć – chwilę później cucić;
po milczeniu – dla słowa nadejdziesz wnet pora [...]

[*Za pośrednictwem czasu – wszystko należy do Boga, w: Księga Koheleta wierszem przez Harry'ego Dudę*, Opole 2014, s. 13-14]

Biblijny nurt poetyckiej twórczości Harry'ego Dudy dający się sumarycznie przedstawić w wykazie ksiąg, strof i wersów to efekt wielu lat pracy poety. Poematy biblijne opolnina tworzy od lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, teksty niewydane wciąż udoskonala. Waży słowa, szlifuje rymy.

W tym miejscu można zapytać o czytelniczki obieg adaptacji Dudy. Teksty opublikowane w różnych wydawnictwach i różnych nakładach znane są, jak można sądzić, nielicznym³. Można życzyć sobie i żywić nadzieję, by poematy te – zgodnie z greckim źródłosłowem Biblii – ukazały się jako *biblioteka* razem, by – parafrazując Koheleta – „po milczeniu – dla słowa nadeszła wnet pora”. SŁOWA, które było na początku. ■

¹ Według translatorskich wytycznych Soboru Watykańskiego II (*Konstytucja o Objawieniu Bożym*, p. 22), za przekład Biblii uważa się tekst tłumaczony bezpośrednio „z biblijnych języków oryginalnych”, tj. hebrajskiego, aramejskiego lub greckiego.

² *Poetycki wymiar wartości biblijnych w twórczości Harry'ego Dudy (wybór tekstów, recenzji i dokumentów)*, [oprac. R. Druch], Trenton NJ 2003, s. 68. Zob. też rozmowę poety z B. Sadlińskim, opublikowaną pt. *Wyjątkowa dziedzina twórczości Harry'ego Dudy: Biblia jeszcze bardziej poetycka* („Tygodnik Prudnicki” 43 (2013), [online] http://www.tygodnikprudnicki.pl/tygodnik-arty-9913-wyjatkowa_dziedzina_tworczosci_harryego_dudy_biblia_jeszcze_bardziej_poetycka.html

³ Szczegółowe uwagi na temat biblijnych parafraz Harry'ego Dudy oraz samego zjawiska wierszowania Biblii zainteresowany czytelnik znajdzie w pracy M. Nowak, *Biblia wierszem dziś. Studium językowo-stylistyczne*, Lublin 2015.



Fot. ze zbiorów Muzeum Historii Katowic

Walter z ulicy Warszawskiej

HENRYK SZCZEPAŃSKI

Dzieciństwo i lata młodości spędził w komfortowej willi ojca nad Rawą. Przypadły na burzliwe lata pierwszej wojny światowej, rosyjskiej i niemieckiej rewolucji socjalistycznej, powstań śląskich, plebiscytu i zmiany przynależności państwowej Śląska.

Urodził się w rodzinie Grünfeldów, śląskich mistrzów architektury; jego dziadkiem był Ignacy, a ojcem Hugon – budowniczo wie katowickich synagog. Małgorzata, matka Waltera, wydana za Hugona w 1906 roku, to córka wrocławskiego przedsiębiorcy Maxa Öttingera, posła do Landtagu. Jej pradiadkowie i krewniacy należeli do elity stolicy ówczesnej prowincji śląskiej. Nad Odrę przybyli z Wielkopolski. Byli wśród nich prawnicy, lekarze i przemysłowcy. Kilku z judaizmu przeszło na luteranizm.

Rodzinne gniazdo

Walter urodzony 2 października 1908 r. Miał dwie młodsze siostry Lottę i Mariannę. Do krainy dzieciństwa, której gra-

nice przebiegały południowym brzegiem Rawy, dzisiejszą ulicą Szkolną i Warszawską, chętnie wracał wspomnieniami: „Od frontu był ogród, gęsto porośnięty drzewami i krzewami, między którymi znajdowały się rabaty kwiatowe i ścieżki spacerowe. Na pierwszym piętrze mieliśmy wielki balkon wychodzący na ten ogród i Friedrichstrasse. Widać było dobrze ulicę i można było obserwować życie jakie się na niej toczyło. Pocho- dy, wiele długich konduktów pogrzebo- wych, często z jedną, albo więcej niż jedną orkiestrą dętą, czasem grupy gór- ników w mundurach albo grupy demon- strantów maszerujących w tę i we w tę.”

Vis á vis willi Hugona Grünfelda, w sąsiedztwie ogrodu kościoła ewan- gelickiego, znajdowały się dwie szko- лы – elementarna dla chłopców i progim- nazjum. Jako pierwszoklasista trafił

tam na Wielkanoc 1915 roku. Wtedy nie wiedział jeszcze co to jest judaizm. Mama racjonalistka, hołdowała laic- kim wyobrażeniom o życiu i świecie. Nauczyła go tylko odmawiania modlit- wy wieczornej. Tymczasem chłopca za- fascynowały lekcje religii moźeszow- wej: „Nauczyciel Weismann, z małą siwą bródką, wyglądał jak patriarcha, wyja- śniał nam wszystko na temat pana Bo- ga na podstawie starej żydowskiej mo- dlitwy Adon olam, bardzo pięknej modlitwy, która opisuje moc Boga. Wy- warło to na mnie bardzo duże wrażenie, cała ta religijność i oczywiście całe ży- dostwo, poprzez które został mi przybli- żony świat wiary.”

Za willą Grünfeldów, nad Rawą znaj- dował się duży sad, ogródek warzywny, plac zabaw dla dzieci i boisko do teni- sa. Tutaj Walter dokazywał jako żak

w krótkich spodenkach. Bawił się z kolegami, których rodzice przychodzili na spotkania towarzyskie do Hugona i Małgorzaty. We wspomnieniach zapisał: „Karl Voss był spośród naszych towarzyszy zabaw moim najbliższym przyjacielem. Tylko w kwestii religii ciągnęliśmy w różnych kierunkach. Jego matka należała do zarządu ewangelickiej gminy kościelnej. Jego ojciec pastor, był przyjacielem rodziny. Karl jako chłopiec zawsze chciał zostać pastorem. U nas w ogrodzie była huśtawka na wielkiej ramie, tam stawał sobie czasem drabinę i chciał prawić nam kazania, podczas gdy ja, jesienią zawsze chciałem, żebyśmy budowali w ogrodzie szałas na żydowskie święto Szałasów (Sukot).”

Po ukończeniu trzyletniej szkoły elementarnej, na Wielkanoc 1918 roku, Walter został uczniem dziewięcioletniego Męskiego Gimnazjum Humanistycznego, którego absolwentami sprzed lat było jego czterech wujów. Był wtedy sympatycznym krótkowidzem o wątłej budowie ciała i nieśmiałym spojrzeniu. Z sympatią wspominał szkolne lata, a szczególnie lekcje prof. Georga Hofmanna, filologa, dzięki któremu „zapałił się do łaciny”.

Przełom

Nad pruskim Śląskiem i całym państwem Wilhelma II zbierały się coraz ciemniejsze chmury. O nadciągającej katastrofie politycznej i rewolucyjnych nastrojach w Niemczech, Walter dowiedział się od matki: „Jesienią 1918 wzięła mnie na spacer do Parku Południowego (obecnie: Kościuszki) i zaczęła mówić na temat wojny. Powiedziała, że Niemcy poniosły klęskę i że szykuje się rewolta. Słuchałem jak skamieniały. Tego nie wiedziałem. Jeszcze w sierpniu, wszyscy zapowiadali wyłącznie zwycięskie ofensywy Reichswehry.”

Dwunastoletni Walter był naocznym świadkiem rozruchów ulicznych, jakie poprzedziły wybuch II powstania śląskiego. Krwawe zajścia wywołane przez bojówkarzy nacjonalistycznej „Organizacji Escherich”, potocznie zwanej „Orgesch”, oglądał z dachu swojej willi: „Tym co pozostało mi na zawsze w pamięci, tak żywe i straszne, było brutalne zabójstwo na polskim lekarzu, doktorze von Mielęckim, dokonane 17 sierpnia 1920, blisko naszego domu. Najbardziej szokowało niesamowite okrucieństwo tragicznego zdarzenia. Wzburzona masa zebrała się pod domem francuskiej komendantury. Słychać było wołania, krzyki, śpiewanie pieśni, strzały. Później mówiono, że dr Mielęckiego siłą wyciągnięto z jego domu naprzeciwko komendantury, a na ulicy został brutalnie okaleczony. Szybko podjechała dorożka, na którą go wrzucono. Oszały tłum biegł za nią, tuż przy płocie naszego ogrodu. Gruchnęła wieść, że doktora zamordowano.”

W latach dramatycznego przełomu ojciec Waltera pełnił funkcję przewodniczącego rady miasta. Był lojalnym poddanym niemieckiego cesarza. Jeszcze 4 lata wcześniej na katowickim rynku, stojąc u stóp majestatycznego popiersia feldmarszałka Hindenburga, w imieniu mieszkańców gloryfikował zwycięstwa niemieckiego oręża. Zapewniał o wierności i gotowości do patriotycznego poświęcenia Górnoszlązków agitowanych i ćwiczonych do wyprawy na Rosję.

Z racji piastowanej godności, w swojej ekskluzywnej willi kwaterował i podejmował sztabowców najpierw niemieckiej, potem francuskiej a wreszcie i polskiej armii, które w latach 1920-1922 sprawowały wojskową władzę nad miastem. W czasie wellokriego rezydował u nich nadporucznik von Mölbe. Do czerwca 1922 roku, w apartamentach na piętře, wraz z rodziną gościł pułkownik Ardisson, szef alianckiej komendantury Katowic. Po jego wyjeździe do Francji, na krótko zabawił tam polski generał Stanisław Maria Szeptycki wraz ze swoim nieodłącznym foksterierem, a następnie, już na kilka tygodni, Bolesław Sikorski, pierwszy polski dyrektor Górnoszląskich Kolei Żelaznych, poprzednio minister w warszawskim rządzie premiera Ponikowskiego. Dorastający Walter zapamiętał, że z tymi gośćmi zapraszany na obiady, rodzice rozmawiali wyłącznie po francusku. Z sympatią i pewnym podziwem wspomina też odwiedziny zaprzyjaźnionego z Korfantym – dr Hermanna Liebermana, posła na sejm i polityka żydowskiego, przywódcę polskich socjalistów, który przybył do Katowic aby w miejskim ratuszu mediować pomiędzy zwązonymi frakcjami Niemców i Polaków.

Salon Grünfeldów

Prowadzili dom otwarty. Bywały tu gwiazdy i meteory katowickiej sceny. Do wytwornych należały bale sylwestrowe starannie przygotowane przez Hugona i jego żonę. Uczestniczyli w nich liderzy katowickich stowarzyszeń i prominenci miejscowego establishmentu, między innymi: niemiecki konsul generalny w Katowicach, baron von Grünau z rodziną, dr Ernst Speier, katowicki ginekolog z żoną Rosą oraz dr Hans Lukaschek, wybitny działacz katolickiej partii Centrum, zniechęcony przez Polaków współpracownik Niemieckiego Komisarjatu Plebiscytowego i tajemnicza postać oskarżana o szpiegostwo polityczne, delegat górnoszląskich Niemców na konferencję w Paryżu.

W takich balach organizowanych przez rodziców Walter uczestniczył dopiero jako student. W noc sylwestrową 1928, w willi przy Szkolnej 6, bawił się z panną Marią Göppert, przyszlą noblistką, wtedy studentką fizyki uniwersytetu w Getyndze, która w odwiedziny

do Grünfeldów przyjechała razem z matką. Zaraz po nowym roku wspólnie z Karlem Lubowskim wybrali się na wycieczkę do Krakowa. Maria była oczarowana wspaniałym polskim miastem, a Karl wtedy właśnie postanowił, że w podwawelskim grodzie podejmie studia prawnicze.

Gimnazjalista na finiszu

Gdy 13 września 1922 roku niemieckie gimnazjum przejęły polskie władze oświatowe Walter, uczeń szóstej gimnazjalnej (dawnej: Untersekunda) należał do klasy niemieckojęzycznej. W tym czasie w szkole wprowadzono ośmioletni program nauczania. We wspomnieniach podaje, że maturę złożył latem 1926 roku przed komisją egzaminacyjną, której uczestniczył dr Feliks Steuer, dyrektor tej szkoły w latach 1923-1925. Wtedy nosiła nazwę: Państwowego Miejskiego Zreformowanego Gimnazjum Klasycznego św. Kazimierza. W dostępnych opracowaniach, prezentujących listy absolwentów nie natrafiłem na Waltera Grünfelda. Jestem przekonany, że stosowny certyfikat odnajdzie się jeszcze wśród nie przebadanych archiwaliów.

Pośród swoich przyjaciół z późnych lat gimnazjalnych Walter wymienia Hansa Kuhnerta i Hansa Wernera Niemanna. Z nimi wyprawiał się na pierwsze uczy piwne, ale razem z nimi zwiedzał też sekretne zakamarki okolicznych hut i kopalni, w których jako dyrektorzy pracowali rodzice bądź krewni jego kolegów. Wtedy zafascynowało go górnictwo i metalurgia.

Katowice młodości Waltera pozostały miastem nowoczesnych kamienic i pięknego teatru, do którego zaglądał już od lat przedszkolnych. Oklaskiwał tam poranki muzyczne dla dzieci a nawet uczestniczył w kursach tańca towarzyskiego dla przedszkolaków. Uczył się gry na fortepianie. Jako gimnazjalista z upodobaniem sięgał po wyciągi z partytur koncertów symfonicznych albo grywał popularne szlagiery operowe i operetkowe.

Niemal naprzeciwko, w narożnej kamienicy, u zbiegu dzisiejszej Dyrekcyjnej z Warszawską mieściła się izraelska księgarnia Georga Hirscha. Tutaj, na spotkaniu Kółka Czytelniczego przychodziła młodzież żydowska z katowickich gimnazjów a także jej starsi koledzy, studujący na wyższych uczelniach Wrocławia i Berlina. On wtedy rozczytywał się w wierszach Heinego. W progach gościnnego bibliopolium spotykał dwóch początkujących pisarzy, imienników Arnoldów – Zweiga i Ulitza, oraz ich kolegów: malarza Ludwika Meidnera i filologa Rudolfa Clemensa. Przed 1920 rokiem często widywał swoją rówieśniczkę Charlottę Altmanówną.

Mieszkała w willi po drugiej stronie Friedrichstrasse. Potem wraz z rodzica-

mi przeprowadziła się do Frankfurtu nad Menem. Była wnuczką jednego z najbogatszych śląskich hurtowników żelaza, uroczą i zamyśloną dziewczynką, która po latach zastąpiła jako sekretarka a potem żona austriackiego pisarza impresjonisty Stefana Zweiga, autora „Niecierpliwości serca”, „24 godzin z życia kobiety” i innych poczytnych powieści należących do ulubionych lektur Waltera.

Do miłośników i znawców muzyki należał Paul Rappaport, skrzypek i właściciel winiarni. Do swojej piwniczki przy Poststrasse 11 (obecnie: Pocztowej) zapraszał na lampkę węgryzna lub reńskiego a przy okazji do wysłuchania wiołnistycznych recitali albo lektury najnowszych recenzji muzycznych. Jego córka Hannah chodziła z Walterem na tańce towarzyskie. Jako honorowy gość występował tu zaprzyjaźniony z gospodarzem, Josef Joachim – popularny skrzypek tamtych czasów. Bywało, że muzykowali w duecie.

Z muzyką i pieśnią

Wielkich koncertów i recitali Grünfeldowie słuchali w Reichshallensaal (późniejszej filharmonii) przy Karlstrasse 2 (obecnie: Sokolska). Prócz nadzwyczajnych gościnnych występów oklaskiwali tam popisy chóru Stowarzyszenia Śpiewaczego profesora Oskara Meistersa. W tym zespole śpiewała Lotta Grünfeldówna i jej matka dysponująca pięknym altem.

Wieczorne spacerować do hali koncertowej miały niepowtarzalny urok. Nad rynkiem i ulicami płonęły rzędy gazowych latarenek, z mroku wydobywających tajemnicze kształty drzew i rabatek kwiatowych, jakimi były ozdobione katowickie chodniki. Witryny sklepów i restauracji oświetlały różnokształtne i wielokolorowe neony projektowane i wykonywane w firmie Kurta Siwinny. Śródmieście, jak w filmie pozowało do reklamowej laurki z czasów *la Belle époque*.

W Berlinie

Progi gimnazjum w Katowicach Walter opuścił głównie ze znajomością wiedzy humanistycznej. Aby zgodnie z wolą rodziny rozpocząć studia na politechnice w Charlottenburgu musiał jeszcze uzupełnić szkolne wiadomości. Dopiero po roku dodatkowych lekcji, dzięki pomocy berlińskich przyjaciół, a szczególnie wuja Maxa i byłego nadradcy budowlanego w Katowicach – dr Alberta Weissa, ówczesnego dziekana jednego z wydziałów, udało się załatwić wszystkie formalności i w 1927 rozpoczął studia na wydziale architektury Technische Hochschule.

Syna i swego brata Maxa odwiedzał Hugon z żoną. Szczególnie uroczysty charakter miało wielkie rodzinne przy-



Ignacy Grünfeld anons reklamowy 1937

jęcie z okazji 21 urodzin Waltera. Jego ojciec i wuj widzieli w nim spadkobiercę i kontynuatora rodu architektów, którego protoplastą był Ignacy Grünfeld. Odbywało się w salonach eleganckiej kamienicy Maxa będącej berlińską wizytówką firmy Grünfeld w Charlottenburgu przy ulicy o wymownej nazwie: Bleibtreu (Bądź wierny). Przyjaciół rodziny dr Weiss mieszkał za rogiem sąsiedniej, w czteropiętrowym domu przy Kantstrasse 42.

W czasie tamtych wakacji, Walter jako cieśla pracował na budowach. W trakcie praktyk studenckich w Berlinie rozmawiał z robotnikami. Z niepokojem obserwował antysemickie zachowania inżynierów i majstrów. Sympatyzował z lewicą. Nurtowały go pytania dotyczące zagadnień gospodarczych. W czerwcu 1930 roku uzyskał tytuł zawodowy: „kandydata inżynierii budowlanej”.

W Berlinie uczestniczył w zebraniach organizacji akademickich i politycznych. Angażował się w działalność Związku Studentów Demokratów (Demokratischen Studentenbund), popierającego program rządu Republiki Weimarskiej. Był dobrym mówcą. Szybko zrobił karierę. Znalazł się we władzach naczelnych organizacji. Wydawał czasopismo „Student i szkoła wyższa”. Uczestniczył w zebraniach krajowych i powiatowych instancji ZSD. Reprezentował ją podczas międzynarodowych spotkań z bratnimi organizacjami młodzieży demokratycznej z Francji i Austrii. Organizowali obronę przed szowinistami atakującymi pod sztandarami narodowego socjalizmu.

Monachium, Wrocław i Katowice

Po kilku semestrach zmienił zainteresowania i wydział. Słuchał wykładów z ekonomii. Przeniósł się na politech-

nikę w Monachium, gdzie uzyskał tytuł kupca dyplomowanego, a potem do Wrocławia. Tam rozpoczął pracę nad rozprawą doktorską. Jej promotorem został szef Osteuropa-Institut (Instytutu Europy Wschodniej) prof. dr Albert Hesse, współautor akademickiego „Zarysu ekonomii politycznej”. SeminaRIA odbywały się w salach pałacu Langhansów na Piasku. Prowadził je prof. dr Karl Bräuer, zafascynowany teorią interwencjonizmu w dziedzinie ekonomii i finansów państwowych Johna Maynarda Keynesa. Instytut specjalizował się w prowadzeniu interdyscyplinarnych naukowych i politycznych badań uzasadniających niemiecką ekspansję na ziemie dawnych Słowian. Po 1933 roku formułowane tu opinie i poglądy były orężem propagandowym niemieckich nazistów.

Zmiana kierunku studiów i kolejna roczna przerwa w edukacji Waltera zbliżyły się z jego astmą i dolegliwościami alergicznymi, pobytem w szpitalu i na rekonwalescencji po operacji wyrostka robaczkowego a także z katastrofą finansową katowickiej firmy Hugona Grünfelda, który w 1930 roku musiał sprzedać luksusową willę nad Rawą i przenieść się do czynszowego mieszkania w dawnej kamienicy Briegera leżącej w zaułku Zacisze 2, w sąsiedztwie Konserwatorium Muzycznego i willi Konstantego Wolnego, ówczesnego marszałka Sejmu Śląskiego. Firma wciąż jeszcze prosperowała, jednak i na jej budżecie niekorzystnie odbiły się skutki ogólnoeuropejskiego kryzysu ekonomicznego.

Vis á vis sławnej budowli

Z Berlina powróciła Lotta, młodsza siostra Waltera. Nie została absolutną stołeczną szkołą przemysłu artystycznego. Przeniósł się do Pestalozzi-Fröbelhaus, aby zdobyć zawód przedszkolanki. Po powrocie do Katowic zafascynowało ją meblarstwo. Niemały udział w tej inspiracji miał inżynier Zygmunt Weingrün, młody Polak pracujący na stanowisku kierownika stolarni i cegielni Grünfeldów. Jej mężem został w 1932 roku. Zamieszkali w biurze firmy pod adresem: Karbowa 49. Przy pomocy ojca Lotta uruchomiła produkcję mebli i otworzyła salon meblowy przy Młyńskiej 12. Również i ten lokal położony przy ruchliwym skrzyżowaniu ze Stawową, funkcjonował pod tradycyjnym szyldem „Ignacy Grünfeld, firma budowlana i meblowa”. Na przeciwnym narożniku, nieczym wizytówką wielopokoleniowej firmy architektów piętrzył się gmach dawniejszego hotelu „Kaiserhoff”, jeden z najbardziej eleganckich i nowoczesnych w Katowicach, w latach *fin de siècle* u wybudowany przez samego Ignacego Grünfelda. Dziś na tej posesji wznoszą się mury „Galerii Katowickiej”.

Fot. ze zbiorów Śląskiej Biblioteki Cyfrowej



Willa Ignacego Grunfelda, Warszawska 12, widok współczesny

Kancelaria Grünfelda

Walter przeprowadził się do Katowic. Zamieszkał z rodzicami w czynszowej kamienicy Briegera. Jako dyplomowany kupiec i ekonomista, własne biuro handlowe otworzył w budynku Grünfeldów na Karbowej. Na seminaria i konsultacje doktoranckie dojeżdżał do faszyzującego się Wrocławia, pogłębiał znajomość zagadnień związanych z gospodarką narodową, pomagał ojcu w prowadzeniu firmy i uczył się języka polskiego.

W okresie wrocławsko-katowickim odżyły jego dawne gimnazjalne znajomości i przyjaźnie. Na uniwersytecie we Wrocławiu studiował Karl Heinz Lubowski i Hans Werner Niemann. Do Katowic wpadali aby odwiedzić rodzinę a przy okazji popflirtować z rówieśniczkami albo poplotkować w paczce dawnych kumpli.

– Wrocław dobrze znałem od czasów młodości – wspomina Walter – tam mieszkała moja babka i inni krewni ze strony matki. Znowu spotykałem wrocławian, którzy studiowali ze mną w Berlinie.

Byli wśród nich stary szkolny kolega Manfred Danziger, Hans Werner Niemann, Fritz Klatt, pedagog zwolennik socjalizmu no i chyba najserdeczniejszy Rudi Treuenfels.

Bratnią duszą Waltera był dr Fritz Guttmann, z zawodu ekonomista ale i w rocznicach w sprawach literatury i muzyki. W popularnej „Kattowitzer Zeitung” prowadził dział ekonomiczny i pisywał poczytne felietony. Czasem zabierał Waltera do swego domu w Bytomiu, gdzie mieszkał z żoną. Był kopalnią sekretów i wiadomości dotyczących życia gospodarczego Śląska, Polski oraz Niemiec.

Nowymi kolegami Waltera zostali redaktorzy wychodzącego w Katowicach „Wirtschaftskorrespondenz für Polen” – tygodnika poświęconego zagad-

nieniom ekonomicznym i społeczno-kulturalnym: wydawca i naczelny dr Franz Goldstein oraz szef dodatku literacko-artystycznego dr Alfred Gawlik, działacz stronnictw katolickich. Zamieszczali tam publikacje pisane w duchu wzajemnego zrozumienia i partnerstwa polsko-niemieckiego. Do końca pozostawali szermierzami opozycji antyhitlerowskiej. Ich periodyk był adresowany do niemieckich przemysłowców na Śląsku. Z kolegami redaktorami konsultował kolejne fragmenty i rozdziały swojej dysertacji. Oni byli jej pierwszymi nieoficjalnymi recenzentami.

Doktorat

Późną jesienią 1931 roku nasiliły się dolegliwości astmatyczne Waltera. Lekarz skierował go na kilkumiesięczne leczenie w sanatorium doktora Guhr w uzdrowisku Wielka Tatra na Słowacji. Tam pił lecznicze wody, spacerował, grywał w brydża, ale prawdziwą radość sprawiało mu podziwianie tatrzańskich krajobrazów lub spiskich wsi i miasteczek malowniczo położonych w dolinie Popradu. Po powrocie do Katowic skoncentrował się na opracowaniu swojej rozprawy doktorskiej. W rok później była już przygotowana do recenzji.

W maju 1933 roku jego wrocławski promotor prof. Hesse oświadczył, że nowe zarządzenia państwowe uniemożliwiają przeprowadzenie przewodu i przyjęcia rozprawy doktorskiej napisanej przez osobę pochodzenia żydowskiego. Współczuł swemu doktorantowi i polecał znajomego profesora pracującego na uniwersytecie w Zurychu. Walter zdał się na pomoc żydowskich przyjaciół. Próbował immatrykulować się na uniwersytetach w Pradze i Zurychu, ale ostatecznie został przyjęty w poczet studentów i doktorantów uniwersytetu w Bazylei. Jego nowym promotorem był prof. dr Edgar Sali. Uroczysty egzamin i obro-

na dysertacji odbyła się 15 grudnia 1933 roku. Ze Szwajcarii świeżo upieczony doktor pojechał do Paryża, gdzie jego najmłodsza siostra Marianna studiowała języki obce. Tutaj w kręgu przyjaciół spędzili Boże Narodzenie.

Po udanej obronie rozprawy zatytułowanej „Zadłużenia zagraniczne Polski” senat Uniwersytetu w Bazylei przyznał mu tytuł doktora nauk politycznych. W 3 lata później jego rozprawa naukowa ukazała się na półkach księgarskich. W języku niemieckim wydrukowała ją katowicka „Vita” – witryna kontynuująca dawne tradycje wydawnictwa prasowego Siwinnów.

Na znak sprzeciwu

W 1933 roku, po przechwyceniu władzy przez Hitlera, Żydzi w polskich Katowicach nie pozostali obojętni na to, co działo się w Niemczech. Hugo Grünfeld ustąpił z Rady miasta i złożył rezygnację ze stanowiska wiceprezenta Niemieckiego Związku Ludowego w którym coraz butniej występował zwolennicy faszyzmu. Jego żona i jej koleżanki opuściły Meister'schen Gesang Vereine, bojkotowały Patriotyczny Związek Kobiet Niemieckich i przestały uczestniczyć w imprezach teatralnych agitujących na rzecz NSDAP. Grünfeldowie prenumerowali teraz katolicki tygodnik „Der Deutsche in Polen” („Niemiec w Polsce”), organ Związku Niemieckich Katolików, redagowany przez J. C. Maiera. Cenili go za publikowanie „krytycznych i demaskatorskich raportów na temat ohydnych nazistowskich i antysemitycznych ekscesów”.

Redaktorzy „Wirtschaft Korrespondenz für Polen” zaprosili dr. Waltera Grünfelda do prowadzenia działu gospodarczego na łamach tego poczytne tygodnika. Pisał tam o polskiej polityce finansowej, bezkrytycznie wzorowanej na modelu francuskim. Jako przykład do naśladowania proponował ekspansjonistyczną politykę walutową bazującą na teorii Keynesa i z powodzeniem uprawianą przez prezydenta Roosevelta w USA.

Z ministrem Grabskim

W tym czasie Hugon Grünfeld ze swoim zięciem Zygmuntem Weingrünem pertraktowali z Władysławem Grabskim (bratem Stanisława), byłym ministrem skarbu a następnie właścicielem nowoczesnych zakładów produkujących ceramikę budowlaną. Grabski w Grünfeldach widział partnerów i przewidywał możliwość nawiązania bliskiej współpracy. Ich firma w całej Polsce uchodziła za największą i najsolidniejszą. Na przeszkodzie zrealizowaniu dobrze rokującej perspektywy stanęła katastrofa.

W 1934 roku na terenie zakładów Grünfelda wybuchł pożar. Spłonęło

wiele urządzeń i budynków. Pozostało kilka zabudowań administracyjnych.

Ostatnie lata firmy

Hugon, nestor rodu ukończył 74 rok życia. Cały ciężar odzyskiwania ubezpieczonego majątku spadł na barki Waltera. O wznowienie produkcji troszczył się razem ze swoim szwagrem Zygmuntem. Podczas rodzinnej narady postanowili, że część uzyskanego odszkodowania zainwestują w uruchomienie stolarni produkującej meble i artykuły drewniane dla budownictwa. W 1935 roku zdecydowali o sprzedaży starej piaskowni zalanej wodą. Magistrat projektował tam utworzenie rezerwatu przyrodniczego. Aż do ostatnich dni sierpnia 1939 roku bezskutecznie poszukiwali nabywcy schedy po Ignacym Grünfeldzie.

Do wybuchu drugiej wojny światowej Walter zajmował się sprawami ojcowskiego przedsiębiorstwa. Angażował się w promocję nowego wyrobu, jakim była tak zwana żelazna płytka klinkierowa znajdująca zastosowanie przy budowie dróg. Jeszcze w 1938 wraz z przyjaciółmi rekomendował książkowe wydanie swojej pracy doktorskiej i obchodził 30 urodziny. Przyjmował gratulacje i czytał recenzje.

Ucieczka

W pierwszych dniach września 1939 aby uniknąć rozstrzelania przez nazi-

stów, obozu koncentracyjnego lub komory gazowej, najpierw pociągiem a potem piechotą dotarł do Warszawy.

Po wielu dramatycznych przejściach znalazł schron w żydowskim domu przy ulicy Sułkowskiego, w pobliżu Belwederu. Tam przeżył grozę barbarzyńskiej napaści Wehrmachtu, oblężenia, klęski i upokorzenia bohaterskiego miasta. Na początku stycznia 1940 roku, korzystając z pomocy przyjaciół, pod protektorem przedstawicielstw dyplomatycznych, jako tłumacz i przewodnik pani Aleksandrowiczowej udającej się do swego syna – konsula RP w Trieście, z Warszawy wyjechał do Włoch. Potem tułał się po Italii i Turcji.

Na pewien czas zamieszkał w Istambule, a potem udał się do brytyjskiego terytorium mandatowego w Palestynie. Mieszkał w Jerozolimie i Tel Aviwie. Tam też spotkał swoją siostrę Lottę i szwagra Zygmunta, który wstąpił w szeregi Wojska Polskiego dowodzonego przez generała Andersa.

Zdrowiu Waltera nie sprzyjał tamtejszy klimat. Męczyły go nasilające się ataki astmy. Gdy Wehrmacht sforsował Morze Śródziemne i przystąpił do kolejnej inwazji, wzrosło poczucie zagrożenia i groźba zagłady palestyńskich Żydów. W 1941 roku przeprowadził się na południe Afryki – do Północnej Rodezji (obecnie: Zambia). Do 1947 roku pracował w Mufulira prowincji Copperbelt, graniczącej z Kongiem. Piastował tam ważne stanowiska w angielskich firmach handlujących rudami miedzi i uranu.

Szwajcaria

Po 1947 dr Grünfeld przeniósł się do Zug, niewielkiego miasta na trasie Zurych–Lugano, stolicy niemieckojęzycznego kantonów w środkowej Szwajcarii. Był jednym z czołowych menadżerów słynnej firmy „Philipp Brothers A”, do której w 7 lat później trafił też legendarny biznesmen Marcell David Reich, jako miliarder znany pod nazwiskiem Marc Rich.

W Zug Walter spędził ostatnie lata życia. Spacerował alejkami miejskiego parku na wzgórzu Zugerberg i bulwarami miejskiej promenady nad jeziorem. Lubił ciepłe popołudnia i zachody słońca oświetlającego gotyckie kamienice i kościoły Starówki. Miał tutaj zaprzyjaźnione cukierniki, w których zamawiał ulubiony kieliszczyk likieru „Zuger Röteli”.

Tam, wśród budowli pamiętających średniowiecze i jakże niepodobnych do dalekich Katowic z czasów dzieciństwa i młodości, spisywał swoje wspomnienia, drukiem wydane w 2015 roku. Tam zmarł w 1988. i tam został pochowany.

Korzystałem z publikacji: Rückblicke (German) / Walter Grünfeld. [S. l.]: Jefferson Publication, cop. 2015 – dostępnej w Bibliotece Śląskiej. Fragmenty książki, z niemieckiego tłumaczyła Joanna Owczarek.

m:k

*W muzeach
nie wszystkie ekspozycje
można zawsze oglądać.
Postanowiliśmy
pokazywać
niektóre
na naszych łamach.
Dziś pocztówka
ze zbiorów
Muzeum Historii
Katowic.*

*Muzeum Historii Katowic
gromadzi oczywiście zdjęcia
archiwalne.
Ale gdy powstawały
dokumentowały
nowoczesne zmiany.*

*Powstawanie Spodka
w obiektywnie
Mistrzynie Chojnickiej.*



Miasto z przypadku

fragment

WITOLD TURANT

(...) Pierwszym cieniem, jaki pamiętam, był niejaki pan Robert. Wspomnienia moje są mgliste w jego kwestii, albowiem czas, jaki upłynął od moich z nim spotkań, każe mi go postrzegać właśnie jako cień zaledwie. Kim był? Z tych szczątków wspomnień o nim wynika, że był przyjacielem naszych sąsiadów z ulicy Jordana. Wyróżniał się w sposób zdecydowany na tle postaci zaludniających moje dzieciństwo. Pamiętam też, co o nim mówiono; że był flegmatyczny i wyniosły, że ubierał się z największym gustem, że był dżentelmenem w każdym calu. Stawiano mi go za wzór manier, mówiono, że kiedy będę dorosły, powinienem ubierać się jak on. Był jak angielski lord. Ktoś nawet powiedział kiedyś, że jest pewnie Anglikiem, no bo jeszcze to imię. Kiedy go o to zapytałem, wybuchnął śmiechem, ale chyba sprawiłem mu przyjemność. Nie był Anglikiem. Był chyba przedwojennym oficerem, a czas wojny rzeczywiście spędził w Anglii, być może nawet w którymś ze słynnych lotniczych dywizjonów, ale tego nie jestem pewien. Być może, choć wolałbym, żeby tak nie było, był tylko mistrzem auto-kreacji, jak wielu młodych ludzi (o czym wiem z opowiadań mamy), którzy nosili z wielkim szykiem *battledressy* i oficerki. Pojawił się jak meteor, niespodziewanie. Być może dokuczala mu tęsknota za krajem, a może były jeszcze inne powody, w każdym razie postanowił wrócić. Nagle i niespodziewanie. Na swoje nieszczęście. To, co wywoływało podziw u jednych, innych musiało drażnić. Któregoś dnia ktoś z dorosłych, sądząc, że nie słyszę bądź nie rozumiem, rzucił krótko: – Podobno chodzą za Robertem. – Wkrótce potem Robert znikł. I znów pojawił się krótki komentarz: – Robert siedzi. – Zabroniono mi pytać o niego, a tym bardziej chwalić się znajomością z nim.

Z czasem dowiedziałem się, że jego los nie był wyjątkowy. Nie pojawił się jednak po 1956 roku. Może przeniósł się do innego miasta w obawie, że przy jakiejś nowej okazji znów zaczną za nim „chodzić”, a może wrócił do Anglii, którą podziwiał i w której, jak sam mawiał, czuł się całkiem dobrze, tylko że w Polsce chciał czuć się lepiej. U siebie. Mam nadzieję, że nie spotkało go nic złego. Tak czy inaczej stał się cieniem. Zagadkowym i inspirującym. Sądzę, że to jemu zawdzięczam, w każdym razie w jakimś stopniu, moją anglofilję. Z czasem zaczęły pojawiać się postaci bardziej materialne, lepiej przeze mnie zapamiętane. Nim to nastąpiło, w naszym domu pojawił się Willis Conover. Nie, nie osobiście. Pojawił się jego głos. Mój ojciec był zagorzałym wielbicielem jazzu. Wspomnienie tamtych lat to ciepły, pewnie czerwcowy albo lipcowy wieczór i otwarte okno na zachodnią stronę naszego mieszkania. Ojciec pałac fajkę siedzi przy biurku, a ja leżę już w łóżku. Z głośnika słychać ciepły, głęboki głos: – This is Willis Conover. – A potem kaskada dźwięków w wykonaniu magów jazzu. Mniej niż cień. Po prostu *The Voice*. Rozgłośnia nazywała się zresztą *Voice of America*. Była jeszcze jedna, ale jej nazwy nie pamiętam. Nadawała muzykę dla brytyjskich żołnierzy stacjonujących w Niemczech. A nasze radio w ramach satyry międzynarodowej nadawało taki oto kawałek, którego słowa nawiązywały do hasła „ami, go home” wypisywanego na niemieckich murach, kto wie czyją ręką: „Zostaw Ren i Lorelei, powiedz grzecznie nam good-bye, ami, opuść już nasz dom”. Całkiem zapomniałem o tej piosence, bo i zresztą dlaczego miałbym ją pamiętać, do dnia, w którym moja mama usłyszała u mnie nagranie pewnego irlandzkiego zespołu, zatytułowane *God, save Ireland*, i pod angielskie słowa „weather on the scaffold high or on battlefield we die, it no matters where for Ireland dear we fall” polskie słowa o Renie i Lorelei pasowały jak ulał. To było to. Przypomniałem sobie tamten wieczór, czy raczej wieczory. Rodzice byli jeszcze razem, za oknem zapadający pogodny zmrok – obraz sielskiego dzieciństwa. Dziś, poza mieszkaniem, które zapewne nie raz już zmieniło właściciela, nie ma już trwałych świadków tamtych wieczorów. Ludzie podchodzili, a topole, które sięgały niemal do wysokości naszych okien (czwarte piętro), kilkanaście lat temu wycięto. Być może pozostał jeszcze ich cień, który zachodzące słońce rzucało na ścianę domu, nieco poniżej naszych okien. Ale to tylko domysły.

Był oczywiście nikły, ale uporczywy cień Jerzabka, poprzedniego lokatora mieszkania przy ulicy Jordana. Był tak uporczywy, że musiałem poświęcić mu sporo czasu i miejsca w komputerze. A jednak się nie odczepił. Jest cieniem nie tylko moim, ale skupia w sobie wszystkie inne cienie z okresu hitlerowskiej okupacji, jest cieniem cieni. Niedawno postanowiłem wyruszyć jego śladem. Okazało się, że w archiwach IPN można natrafić na ślad co najmniej kilku Jerzabków, spośród których jeden, Karl, stanął po wojnie przed sądem w Białej Krakowskiej. Pozostali, w większości członkowie SS, odpowiadali za swoje wojenne przewiny przed sądem w Katowicach. Wygląda na to, że ten „mój” był jednym z nich. Myślę, że to właśnie on ściągnął nam na głowę, a w każdym razie do mieszkania przy ulicy Francuskiej, inny cień. Tamten cień nie ma nawet nazwiska. Mało tego, jest tak niekonkretny, że łatwo zanegować jego istnienie. A jakie są fakty? Zjeżona z przerażenia sierść psa i paniczny lęk w oczach czworonoga zabijaki i jakieś dziwne odgłosy, na przykład spadających z półki książek, które każdy słyszał z innego miejsca. Niewiele tego. Możliwe przyczyny? Zbiorowe omamy, autosugestie, leciutka histeria czy może choroba psychiczna psa – napady lęku etc. Ale jest też inne wytłumaczenie: podczas wojny alianci bombardowali rafi-

nerię w Trzebini. Samoloty nie miały prawa wracać do bazy, czy nawet awaryjnie lądować z bombami na pokładzie. Od pewnego katowiczana usłyszałem taką oto historię: jeden z samolotów, brytyjski lub amerykański, został trafiony przez Flak, zanim dotarł do celu. Najwyraźniej szukał miejsca do lądowania nad południową częścią Katowic i musiał pozbyć się bomb. Jedną z nich trafiła bezpośrednio w ostatnią z szeregu willi przy ulicy Francuskiej. Mieścił się tam ponoć SS-owski burdel, z którego nic nie pozostało. Czy tak było, trudno dziś powiedzieć. Z punktu widzenia mojego cienia *si non e vero, e bon trovato*. Faktem jest, że dziś przy tej ulicy stoją tylko trzy wille, a na domniamanym terenie czwartej stoi dom, w którym kiedyś mieszkałem. To nie jest wystarczające wyjaśnienie? Trudno. Lepszego nie znam.

Jest także cień z ulicy Kochanowskiego. Podwórze, a w podwórzu oficyna. Z balkonu mojej babci widać jej okna. Są na wyciągnięcie ręki. W jednym z tych okien pojawia się codziennie młody człowiek. Czeka, aż córka mojej niani wyjdzie na balkon. Rozmawiają chwilę, potem ona zbiega po schodach i czeka na podwórzu, aż rodzice zniosą go na wózek ze schodów. Chłopak od pasa w dół jest sparalizowany. Idą na spacer na plac Miarki. Towarzyszy im pies, poczciwa, opasła suka, bokserka. Wokół placu Miarki są wysokie krawężniki. Chłopak często porusza się na wózku sam, kręcąc korbką, ale nie jest w stanie pokonać tych krawężników. Dorota pomaga mu wjechać na chodnik. Bez niej nie dałby rady. Ona nie zawsze ma czas. Wtedy chłopak wyjeżdża sam i jeździ w tę i z powrotem po chodniku przed kawiarnią „Telimena”. Któregoś dnia próbuje dostać się na drugą stronę. Ktoś mu pomaga. Udaje się. Jednak tamtego dnia nie ma nikogo. Dziewczyna jest zajęta. Bawię się na balkonie i widzę jego smutną minę. Dzień jest pogodny, więc jednak się decyduje na samotną wyprawę. Znikają razem z psem w bramie. Tego dnia chodnik przed „Telimena” mu nie wystarcza. Dzień jest taki piękny i zieleń na placu kusi. Chłopak wyjeżdża na jezdnię i przez chwilę zмага się z krawężnikiem. Bawię się na balkonie w piekącym słońcu, kiedy dobiega mnie dźwięk syreny. Nikt nie zwraca na to uwagi, bo to w końcu śródmieście. Tutaj to codzienność. Dopiero kiedy z zakupów przybiega zapłakana Dorota, zaczyna się dramat. Chłopak usiłował sforsować nieszczesny krawężnik, ale tym razem nie było nikogo, żeby mu pomóc. Rozpędził wózek, ale ustawił go pod złym kątem. Wózek się przewrócił, a on uderzył skronią o krawężnik. I to wszystko. Pozostała tylko rozpacz Doroty i cień. Krawężniki przy przejściach dla pieszych dopiero od kilku, może kilkunastu lat są w Katowicach obniżone tak, by osoby na wózkach mogły je pokonać bez kłopotu. A ten cień liczy sobie sześćdziesiąt lat bez mała.

Są cienie dłuższe i krótsze. Są takie, które padają na lata, a nawet na całe życie, ale są i takie, które trwają jedynie chwilę. Jak je odróżnić? Sądzę, że to jest możliwe dopiero po pewnym czasie. Taki krótkotrwały cień blaknie, a w końcu znika. Czasem jednak powraca. Wtedy ma swoją lokalizację i sobie właściwe okoliczności. Dłuższy cień nie ustępuje i zazwyczaj nie traci na intensywności. Często nie jest zależny ani od miejsca, ani od sytuacji. Nie musi powracać, bo stale jest. Takim cieniem, co w oczywisty sposób powinno wynikać z tej opowieści, są same Katowice. Nie jest to bynajmniej cień ponury, ale nie jest też nadmiernie radosny. Jego natura jest mocno zróżnicowana. Mieszczą się w nim zarówno dobre, jak i złe rzeczy, które mnie tu spotkały. Proporcje pomiędzy nimi są, jak sądzę, w dużej mierze dziełem przypadku. Jakżeby inaczej – w tym mieście? Podobnym cieniem jest Śląsk. Jest równie zróżnicowany. Zadaję sobie pytanie, kiedy odkryłem istnienie tych cieni w oczywisty sposób nakładających się na siebie.

Być może zaczęło się to od *Radiowej czelodki*. W domu obowiązywał w zasadzie zakaz słuchania tej audycji, a to z uwagi na moje zdolności odtwórcze, ponieważ zacząłem bardzo szybko naśladować zwroty gwarowe, a nade wszystkim przyswoiłem sobie powiedzonka Waldemara Frani, na-

turszczyka kreującego postać Kaczmarka, w rodzaju „Kaczmarek mo gowa”. Przypuszczam, że ojciec obawiał się, że zacznę z czasem mówić gwarą, a ponadto uważał teksty tej audycji za, delikatnie mówiąc, niezbyt mądre. Nie wiem, czy słusznie, ponieważ zupełnie ich nie pamiętam. Pamiętam tylko, że moje chodzenie dookoła stołu i podczas rodzinnych uroczystości i popisywanie się Kaczmarkiem powodowało wybuchy śmiechu gości, a mojego ojca doprowadzało do szału. Oczywiście nie mogę powiedzieć, że wtedy uświadomiłem sobie specyfikę Śląska, ale odkryłem, że mój dom i język, jakim się posługujemy, różni się od języka, powiedzmy, ulicy czy sąsiednich podwórek. Na moim chyba gwarą nikt nie mówił, ale wystarczyło pójść z babcią na skwerek przed kościołem św. Piotra i Pawła (obecnie plac Kardynała Augusta Hlonda), by ten Kaczmarkowy język, czasem w bardzo brutalnej wersji, usłyszeć. Kolejnym momentem pojawiania się cienia było pustoszące w okolicach godziny dwunastej podwórze, zwłaszcza w niedzielę. My jadaliliśmy obiad pomiędzy trzynastą a czternastą w niedzielę, a w tygodniu... hm... różnie to bywało. Na ogół po powrocie rodziców z pracy. No i jeszcze kwestia imienin. Tu obchodzono urodziny, a my do dziś świętujemy dzień naszych patronów. Chociaż, jak to subtelnie ujął jeden z moich nieortodoksyjnych przyjaciół, nieważne czy imieniny czy urodziny, najlepiej obchodzić jedno i drugie, bo jest o jedną okazję więcej, żeby się napić. Przyznam, że takie podejście trafia mi do przekonania.

Cienie przelotne – o nich się szybko zapomina. Czasem szkoda, czasem nie. Bywa, że taki cień ma do opowiedzenia historię, z reguły swoją, dramatyczną i... nieprawdziwą. A jednak temu cieniowi uwierzyłem, ponieważ był bezinteresowny. Albowiem opowieść cienia kończy się prośbą o jakąś drobną sumę, kieliszek wódki, kufel piwa. Tymczasem cień, który przysiadł się do mnie na ławeczce na placu Andrzeja, nieopodal więzienia, zaczął od próby poczęstowania mnie denaturatem. Nie jest to rodzaj alkoholu, który mi szczególnie odpowiada, więc odmówiłem, rozmyślając, jak by tu uwolnić się od natręta. Cień to wyczuł i wykonał manewr uprzedzający:

– Nie będę miał pretensji, jeśli pan sobie pójdzie, ale chciałem opowiedzieć coś nieznanemu. Tak jest mi łatwiej, bo coś takiego można opowiedzieć tylko nieznanemu, a komuś opowiedzieć to muszę.

Takie wyznania nie wywołują mojego entuzjazmu, ale uznałem, że jednak zapowiada się to lepiej niż typowe pijackie biadolenia. Poza tym jeśli w ten sposób mogę komuś pomóc, to dlaczego nie. Ostatecznie nie znamy się i do niczego mnie to nie zobowiązuje. Było także w tym cieniu coś, co po prostu kazało mi go wysłuchać.

– Zastanawia się pan, co powoduje, że piję denaturat, kiedy wódka jest w zasięgu ręki? Powiem panu – jeśli tarzam się w rynsztoku, to do końca. Raz na jakiś czas muszę to zrobić, ale nie u siebie, bo tam byłbym skończony, choć i tak niewiele mi brakuje. Byłem odwieźć moją kobietę w więzieniu. Postanowiłem o nią walczyć i nie dać jej tam wsiąknąć zupełnie w kryminal.

– Żona?

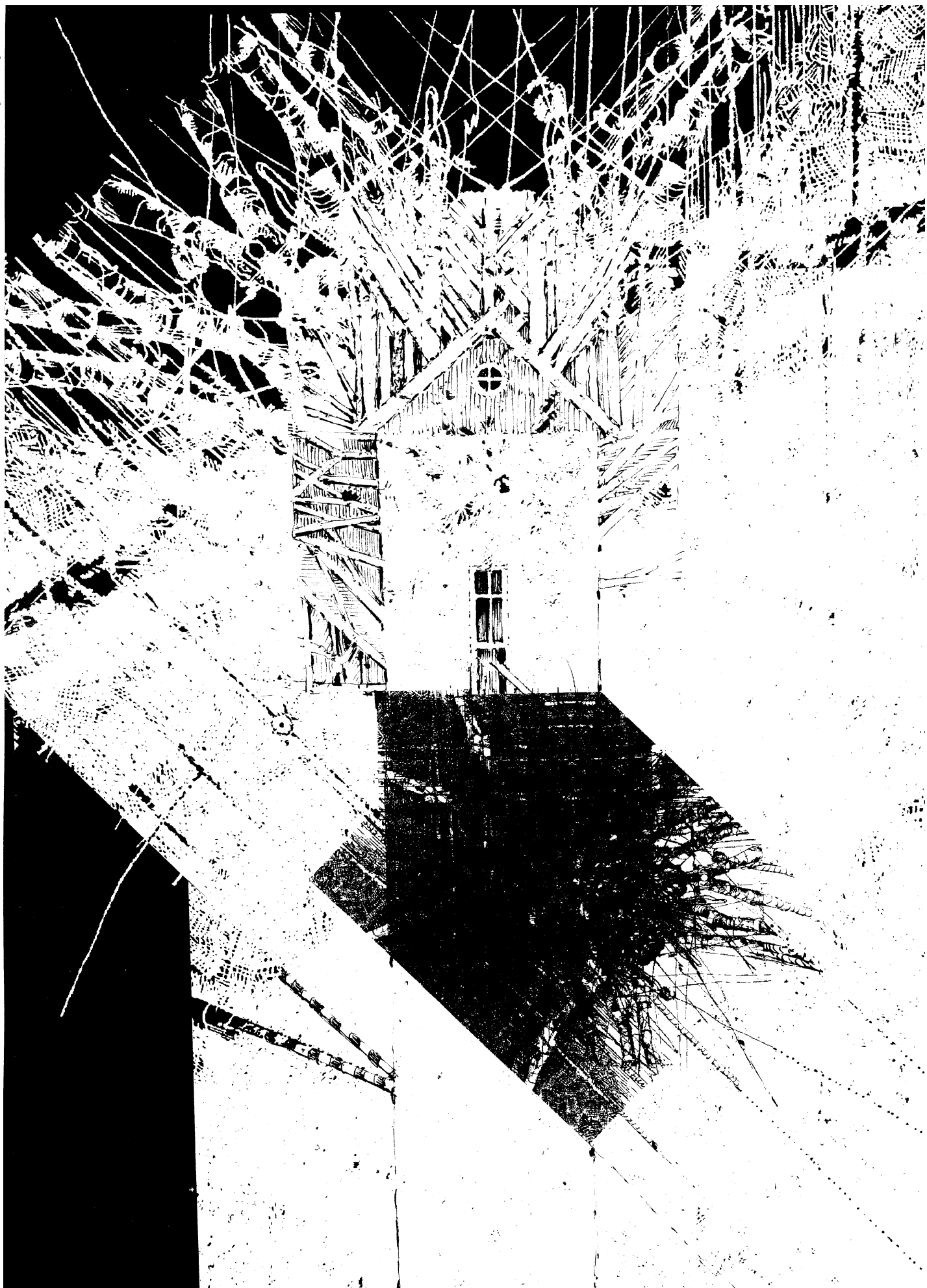
– Nie. O żonie później. Tę wzięłem dosłownie z ulicy. Była bezdomna i szwendała się tutaj, koło dworca. Zabrałem ją do siebie, a po kilku tygodniach zjawiała się policja. Kobieta miała sporo na sumieniu, więc nie będę wcisnął kitu, że siedzi za niewinność, ale mi na niej zależy.

– A żona? – Jakoś nie mogłem odpuścić tego wątku.

– Dobra. Teraz będzie o żonie. Na pewno się pan nie napije? Głupio pytam, widać po panu, że nie. Żona okazała się wredną suką.

– Aż tak?

– Mam duży dom na wsi pod Mysłowicami i warsztat. Miałem normalną rodzinę i dobrze nam się powodziło. Wie pan, mam dyplom magistra i znam trzy języki. No tak, nie musi pan wierzyć. – I tu przeszedł płynnie na angielski, potem na francuski i pokuśtykał trochę po rosyjsku.



– *Chapeau bas.*

– I co z tego? Wszystko diabli wzięli. Przez tę kurwę, a właściwie przez pożar.

– Spalił się panu dom?

– Nie mnie. Mojemu serdecznemu przyjacielowi. Wziąłem go do siebie, jak stał, bo został bez niczego, a poza tym okazało się, że chałupa nieubezpieczona. Co miałem zrobić, przyjaciel, nie? A dalej było jak w tej piosence Krawczyka: „dałem mu to, dałem mu tamto, a żonę wziął sobie sam”. Ale, jak to mówią, pies nie weźmie, jak suka nie da. Dzieci mi zostawiła, ale nastawiła je przeciwko mnie. Mieszkają ze mną, ale dom traktują jak noclegownię. Córka za rok kończy studia, a syn właśnie zaczyna. Mógłbym być z nich dumny, tylko że mają ojca w dupie. Rozumie pan?

– Rozumiem. Wiem, że to żadna pociecha, ale nie jest pan wyjątkiem.

– Wiem. Nie o to chodzi. Miesiąc temu wykryto u mnie guza mózgu. A ja muszę zdążyć wyciągnąć moją kobietę z więzienia. Na warunkowe albo załatwić jej elektroniczną obrozę. Muszę zdążyć, bo mi na niej zależy. Sprawa jest w toku. Może się uda.

– Musi się udać – powiedziałem z nieco sztucznym optymizmem.

– Czekam teraz na autobus. Wracam do domu przebrać się w czyste ciuchy, wykapać się, wyspać, a jutro do roboty. Trzeba zarobić na prawników. Będę walczył – powtórzył niczym refren. – I to wszystko. Dzięki, że mnie pan wysłuchał.

Wstałem i poszedłem w swoją stronę. Cień został za mną, by nigdy w moim życiu już się nie pojawić. Czuję, że jest mu wszystko jedno, czy mu wierzę czy nie. Podobnie jak cieniowi, który w pewną zimową noc wyznał się Markowi pod tunelem łączącym Wojewódzką z Mariacką i Dworcową ni mniej, ni więcej, tylko z zabójstwa. Któryś z pisarzy powiedział, że pierwszorzędne historie prawdziwych ludzi leżą niemal na ulicy. Trzeba tylko ich wysłuchać. Raz są to historie banalne, innym razem niesamowite. I nie w tym rzecz, czy są prawdziwe czy nie, bo w jakimś sensie zawsze są prawdziwe, jeśli tylko ich celem nie jest jedynie wyciągnięcie od nas dychy czy kieliszka czegoś mocnego. Mają przesłanie, w które wierzy narrator, i to jest najważniejsze. Jakie przesłanie ma ta historia? Nie jestem pewien. Może chodzi o to, że walczy się do końca, a może o to, że los Hioba nie jest nikomu oszczędzony? A może jeszcze o coś. Nieważne. Dla mnie jest to jedna z historii zasłyszanych w Katowicach, całkiem przypadkiem, przypadkowego człowieka, którego życie pełne było przypadków.

Historia ta, choć w gruncie rzeczy banalna, była, jeśli zastanowić się nad nią, na swój sposób wstrząsająca. Myślę, że nie pogardziłby nią Shakespeare ani Hemingway. Choć może dla tego ostatniego byłaby nieco zbyt rozwlekła. Kiedyś zapytano go, jak wyrazić w kilku słowach ludzki dramat. Zacytował wtedy ogłoszenie zamieszczone w jednej z chicagowskich gazet: „sprzedam nieużywane butki niemowlęce”. Tylko tyle i aż tyle. Życie.

Inna kwestia: plac Andrzeja lub kontynuacja ulicy Podgórznej to niejedynie miejsca w Katowicach, gdzie można coś takiego usłyszeć. Podejrzewam, że jest ich w tym mieście o wiele więcej. Być może posiada je każda dzielnica. Słyszcy się tam od czasu do czasu to i owo. Słyszano się także niejedno w restauracji na starym dworcu, nocą albo nad ranem, kiedy człowiek szuka drugiego człowieka, bo samotność o tej porze doskwiera najbardziej. Tam pojawił się cień nieletniej striptizerki z jednego z katowickich hoteli. Paniuszka nie miała jeszcze osiemnastu lat, ale miała figurę i renomę. Rodzice chyba byli trochę zajęci, bo nie zorientowali się, że panna wieczorami znika z domu, który być może zwyczajnie był zbyt obszerny. Gaża, napiewki, prezenty od wielbicieli. Nawet jeśli ktoś zorientował się, że libido Panny Lolity (ponoć taki miała pseudonim artystyczny, ale pewności trochę brak) wystartowało trochę przedwcześnie, to nikt nie protestował, bo taki numer w pro-

gramie przyciągał zwolenników nieokrytego młodego ciała. Jednak pewnego wieczoru, kiedy konferansjer zapowiedział numer lokalnej gwiazdy, nic się nie wydarzyło. Speszzył się zaskoczony mistrz ceremonii, niecierpliwili się wielbicieli samorodnego talentu. Niestety, nie dane im było ani tamtego wieczoru, ani żadnego innego w przyszłości podziwiać wyuzdanych póz i płaśów Panny L. Cóż się wydarzyło? Otóż dosłownie na kilka chwil przed wyjściem na scenę dziewczyna została wyprowadzona przez pewnego starszego mężczyznę, któremu asystowało dwu osiłków niezbyt wykwintnie ubranych. Porwana przez jakiegoś starego erotomana na imprezę w zamkniętym gronie? Uprowadzona przez handlarzy żywym towarem do jakiegoś renomowanego zamtuza na Zachodzie? Nic z tych rzeczy. Po prostu ojciec w końcu dowiedział się o źródle dochodów panny i jako wzięty śląski psychiatra poprosił o pomoc sanitariuszy z zakładu, w którym pracował, i ponoć tam ją umieścił. Piszę ponoć, albowiem dalsze losy Panny Lolity, wielce obiecującej artystki estradowej, nie są szerokiej publiczności znane. Okazała się jedynie cieniem, który wychynał z pamięci bywalca tamtego lokalu i ów człowiek przekazał cię tego cienia mnie o szarej godzinie w lokalu, którego już nie ma. Jak widać, cienie mogą pojawić się wszędzie. Podobnie jak ludzie.

A tak przy okazji: wspominałem wcześniej o dzielnicowości katowickiej. Dla mnie to kompletna mgła i może nie powinienem nawet o tym wspominać, ale niedawno odbyłem dość długą rozmowę z małżeństwem katowiczanki z dziada pradziada. Ona z Załęża, on ze śródmieścia, z ulicy Jagiellońskiej. Zabawne było to, że ona jest absolwentką podstawówki numer 21, w której uczyła polskiego moja mama, a on słynnej Jedyńki, w której moja mama zaczynała swoją pracę w zawodzie. Oboje jednak zgodnie twierdzili (są bardzo zgodnym małżeństwem), że Załęże i śródmieście to dwa różne światy. Oboje mieszkają obecnie w trzecim – na Ligocie. Myślę, że to może skutek tej zintegrowanej wiejskości Katowic. Pamiętam czasy, gdy od mieszkańca Zawodzia można było dostać w ucho, jeśli pomyliło się je, dajmy na to, z Załężem. Ciekaw jestem, czy w innych śląskich miastach, szczególnie tych skupionych w aglomeracji, również takie poczucie dzielnicowej odrębności występuje. Na wycucie obstawiałbym, że tak. Swoją drogą chyba to ciekawe dla socjologów. Kiedy podczas wspomnianej rozmowy przyszło do szczegółów, musiałem się poddać, albowiem subtelnosci w nich zawarte bardzo szybko stały się dla mnie nieczytelne. Jest to także argument podnoszony przez przeciwników uznania gwary śląskiej za odrębny język – tych odmian godki jest nieskończona ilość i jest ona tak zindywidualizowana, że jej zwolennicy nie byłoby chyba w stanie ustalić jakiegoś standardu. Tym bardziej że historia uczy, iż takie dochodzenie do standardu w języku to proces trwający już nie lata, ale całe stulecia. Łączy się on z zazwyczaj z kształtowaniem się ośrodka władzy czy też centrum nauk. We Francji były to dwa w jednym, albowiem Sorbona znajduje się w Paryżu, który od bardzo dawna był ośrodkiem władzy, natomiast w Anglii ten standard ustalały uniwersytety w Oxfordzie i w Cambridge, a Londyn jako ośrodek władzy dołączył do nich nieco później z uwagi na to, że w czasach, kiedy te uniwersytety powstawały, królowie angielscy lepiej wysławiali się w języku francuskim niż angielskim. Natomiast wszelkie próby zadekretowania jakiegoś standardu zazwyczaj kończą się niepowodzeniem.

Mój cień z placu Andrzeja nie uprawiał stuprocentowej godki, ale choć ładnie budował zdania i miał dość bogate słownictwo, nie stroniąc przy tym od kurew i nawiązań do anatomii kobiecej i męskiej, miał wyraźny akcent lokalny. Tylko jaki? Czy rzeczywiście charakterystyczny dla podmyślowskiej wsi? Chociaż czy to ważne? Jako cień na zawsze pozostanie usytuowany w moich Katowicach.

Czy ktoś im poddał temat? Podpowiedział motyw z ludzką twarzą? Odnosi się wrażenie, że wystawa „Dyplomy 2016” obraca się wokół fizis. Jak „stracić twarz”, pokazała Katarzyna Ciapa – zrobiła zdjęcia pleców z głową schyloną w ramiona, niewidoczną (a może odcięta?). Człowiek po dekapitacji ulega odcięści (właściwie odmłodzeniu) i przypomina okaleczone topole przy drodze. Zdeformowane, ale nie zniszczone, zrąbane, ale nie śmiertelnie – obudzą się z wiosną, rozkwitną nowymi liśćmi. A co z człowiekiem? Co z pozbawioną twarzy osobą, czy się kiedyś podniesie? I czy żyje teraz? Może tylko udaje życie? Plecy pozbawione głów przypominają tłum, grupę jednakowych postaci, masę, w której gubią się istnienia cząstkowe, pojedyncze. Nie chowaj twarzy – mówi artystka – przecież się nie zużywa, można jej używać na co dzień.

Czy można mieć kilka twarzy? – zastanawia się Daniel Kamiński. – Oblicze domowe i na różne wyjścia: do pracy, kina i restauracji, na deptak, lotnisko, do uprawiania sportów ekstremalnych. I gdzie je trzymać: w szafie, pod łóżkiem, w wannie, kupić fantom, specjalne popiersie, jakiegoś kościotrupa z gumy? A jeśli lico spadnie i wyniucha je pies? Pogryzie albo będzie paradować po łąkach i bezdrożach z ludzką twarzą zamiast pyska? Artysta poprawia, uszlachetnia i retuszuje: wygładza owale, zmiękcza ostre rysy, próbuje zatrzeć nierówności, zatuszować przebarwienia. Czy wystarczy „Make up”? – pyta i odpowiada malarsko: sztuczna fasada nie oddaje prawdziwego „ja”. Pudry, szminki i fluidy ukazują twarze zwodnicze, symboliczne, stworzone od jednego szablonu, formowane według identycznych wzorców, jakby były wytworem seryjnej produkcji lub – jak pisał Baudelaire – „ślicznym wachlarzem, którym posługuje się ręka, by ukryć przed światem cierpienie albo wyrzuty sumienia”. Jakiż strach musi ogarniać człowieka, który się ozdabia i maluje, trenuje miny przed lustrem, liczy skazy, retuszuje, zmienia. Przecież on ciągle drży, że puder się zetrze, wyjdzie na wierzch podkład, blade tło dla pocernionych brwi, rysunku warg i podkreślonych kości policzkowych.

Justyna Dubiel poszła jeszcze dalej, odważyła się zredukować oblicza do znaków – plam i kresek, ale tak czytelnych, że stanowią *pars pro toto* całego ciała. Podążała chyba tropem Thomasa Macho. Mówił on o współczesnym „społeczeństwie fałszywym”, o tym, jak twarz zawładnęła mediami, jak z billboardów kuszą nas już nie przedmioty marzeń, lecz znani ludzie. Bądź jak tamci, wybrani, wyróżnieni – krzyczą reklamy – oni już to mają, kupili, skorzystali ze specjalnej oferty. Odegraj ich rolę w życiu, wystarczy nowy dywan, łóżko czy telefon. I właściwa maska – dopowiadają ciszej.

Czym się różni twarz posiadana od przybieranej – zastanawia się Kaja Olejniczak. Czy dopiero po śmierci można odsonić „nagą twarz” (greckie *gymnos*), dopiero wtedy wolno zdjęć zasłonę, pozbyć się wyćwiczonych min i scenicznych uśmiechów? A co z osobą, która nie miała żadnej twarzy za życia? Prowadziła fałszywą grę?

Jak ożywić portrety, „nadać twarzy wyraz” – zastanawia się Tetiana Moczajlo. Namalowała matkę i matkę swojej matki,

W Galerii Sztuki Współczesnej w Opolu



Fot. Grzegorz Gajdos

Ciągle twarze

AGNIESZKA KANIA

i ciocie albo babcię. Kobiety prowadzą monologi i dialog wewnętrzny; o ich odczuciach mówią spojrzenia, mimika zatrzymana na płótnach, bruzdy i kurze łapki na skroniach. Podobne fizycznie i całkiem inne, każda z własnym życiorysem wypisanym na skórze. Malarka próbuje chyba pójść po śladach Rodina (przedzierał się on przez twarze, tworząc, myślał o dniach, które wyżyłyby rysy), i chce uchwycić Rilke’owskie „życie widniejące na twarzach niczym na zegarowych tarczach, łatwo czytelne i pełne powiązań z czasem”.

Mirela Bakuła stanęła „twarzą w twarz” z piekłem, jej „Inferno” namalowane z rozmachem, werwą (niemal jak Picassowska „Guernica”) zajęło całą ścianę na piętrze. Tłoczą się tam postacie o obliczach wykrzywionych i zdeformowanych, cisną się istoty monstrialne, które wraz z utratą łagodnych rysów pozbyły się też człowieczeństwa. Zdaje się, że malarka zaufała tradycji określanej helleńskim mianem *kalokagathia*; w starożytnej Grecji Dobro i Piękno szły w parze: *Piękny fizycznie był więc Dobry moralnie* – tłumaczył Stefan Chwin. – *Dobry moralnie był więc Piękny fizycznie*.

Zwrot „zachować twarz” Emilia Michta potraktowała dosłownie: odlała z gipsu maski bliskich osób, bo zapomina, jak wyglądają – ich wizerunki powoli się zacierały, gubią i rozplwają. A może niepamięć była tylko pretekstem? Los znaczy nowe linie, wpływający czas demaskuje wady, wyostrza rysy (wiotczeje skóra, opadają powieki, wykrzywają się brwi, wydłuża się nos, zwężają usta, zaciera ował), ona natomiast

zatrzymała „dzisiaj”. Stworzyła dokument, odbitkę z oryginału, zachowała cząstkę uciekającego czasu. W izraelskim muzeum znajduje się maska pochodząca z około 7000 roku przed Chrystusem; widocznie ludzie zawsze marzyli o tym, aby utrwalić swój obraz, choćby w takiej postaci chcieli pozostać na ziemi.

Tamta to maska pośmiertna, artystka natomiast robiła odlewy żywym ludziom. Siadali na sofie z głową odchyłą do tyłu. Co czuli, ogarniał ich niepokój? Twarze wtedy falują, zmienia je mimowolna mimika, bo trudno zapanować nad emocjami, uspokoić się, kiedy ktoś wylewa gips na policzki, chyba że padła instrukcja: leż spokojnie, nie mrugaj i nie wykrzywaj ust. Toteż pomysł, aby przechować życie, uwiecznić istnienie, udał się połowicznie. Maski oddają spokój, ale sztuczny, narzucony, nierzezywisty, spokój, który pojawił się na potrzeby odbitki.

Absolwenci Instytutu Sztuki Uniwersytetu Opolskiego ujawniają też różne oblicza miasta, odkrywają stany lęku, demaskują Ewę, przyglądają się ciemności, z drutu i blachy formują „Trzy gracje” lub zgrzewają ostatni taniec – „Danza de la muerte”, gdzie jak u Rilkego „pikador spiętrzył w sobie rozpedzoną siłę”, a byk stoi skundlony, mały, beczkowaty. Cały czerwony.

W Galerii Sztuki Współczesnej znalazły się 22 dyplomy. Czyżby pomylił się Jonasz Kofta, pisząc, że *Mamy jedną twarz/Ona zawsze jest podobna/Do tej, którą każdy zna?* Artyści znaleźli ich więcej i wyszli z tej wystawy z twarzą.



Tetiana Moczajlo, *Moja rodzina i ja* (malarstwo akrylowe, kredki, druk cyfrowy na płótnie)

Absolwenci Instytutu Sztuki Uniwersytetu Opolskiego

DYPLOMY 2016



Po lewej: Arina Zhushman, *Бл изько до сердца, дал еко від очей* (malarstwo akrylowe na desce), po prawej: Justyna Dubiel, *VIP Collection* (projektowanie graficzne, plakat)



W tle: Mirela Bukala, *Inferno* (malarstwo akrylowe na płótnie), na pierwszym planie: Mateusz Domeradski, *Napięcie* (instalacja, plexoryt, sitodruk)



Sonia Zajac, *Nas-troje* (grafika, plexoryt)



Agnieszka Lindhorst, *Kobieta – poza tożsamością* (instalacja, siatka metalowa, aluminium)



L. Fall „Rozwódka”, 1964.
Na zdjęciu L. Koprzywa i M. Artykiewicz.

Zdjęcia: z Archiwum GTM



J. Offenbach „Orfeusz w piekle”, 1986.
Na zdjęciu Jerzy Gościński i Małgorzata Witkowska.

W gliwickiej Willi Caro Bo to jest operetka...



F. Lehár „Kraina uśmiechu”, pierwsze przedstawienie Państwowej Operetki w Gliwicach (przy Państwowej Operze Śląskiej w Bytomiu), 1952.

Wystawa jak podzwonne dla Gliwickiej Operetki

RYSZARD BEDNARCZYK

W gliwickim Muzeum, tuż przed wakacjami, 23 czerwca otwarta została niesłychanie interesująca wystawa „Bo to jest operetka... Historia teatrów muzycznych w Gliwicach”. Ekspozycja, którą można zwiedzać do 2 października 2016 r., zaprezentowana w trzech salach Willi Caro godna jest uwagi, chociażby z tego względu, że stanowi podsumowanie działalności scen muzycznych, z których zawsze słychać było miasto nad Kłodnicą. Trudno bowiem znaleźć kogoś – zwłaszcza wśród starszych generacji – kto nie obejrzałby w gliwickiej Operetce zwanej Śląską, chociażby jednego spektaklu. Wszakże bilety na przedstawienia rozdawane były w zakładach pracy i szkołach, a na widowni zasiadali robotnicy obok dyrektora, urzędnika, nauczycielki z chłonnymi wiedzy uczniakami.

Do dzisiaj pozostaje zagadką – na którą nie potrafi jednoznacznie odpowiedzieć nawet Jacek Mikołajczyk opracowujący książkę o historii Operetki Śląskiej – dlaczego komunistyczne władze utworzyły scenę filialną Państwowej Opery Śląskiej w Bytomiu właśnie w Gliwicach? Może wzorowali się ówcześni decydenci na wypróbowanym przez Niemców modelu Teatru Trzech Miast, który powstał w 1924 r. i obejmował Bytom, Gliwice i Zabrze. Według ustalonego trzy lata później schematu siedziba tego Górnośląskiego Teatru Okręgowego znalazła się w Bytomiu, gdzie rezydowała trupa teatralna, natomiast w Gliwicach przebywał zespół operetkowy z chórem i orkiestrą. Oczywiście przedstawienia przygotowywane były wspólnie i wystawiane na trzech scenach miejskich do 1943 r., gdy gauleiter Fritz Bracht w ciągu roku utworzył w Gliwicach regionalny Teatr Górnośląski ze stałym zespołem. Jego siedzibą był budynek istniejącego od 1899 roku przy ulicy Zwycięstwa Teatru Victoria, zwanego Teatrem Miejskim.

Niestety filia Opery Śląskiej, która rozpoczęła w Gliwicach działalność 11 października 1952 r., lokum znalazła już w innym miejscu, w obszernym budynku Bractwa Strzeleckiego przy ulicy Nowy Świat, gdyż gmach dawnego Teatru Miejskiego popadł w ruinę z powodu pożaru spowodowanego przez czerwoarmistów w marcu 1945 r. Pierwszą premierą gliwickiej Operetki Śląskiej była „Kraina uśmiechu” Franciszka Lehara. Sztuka wyreżyserowana przez Bolesława Fotygo-Folańskiego przyjęta została entuzjastycznie przez publiczność i wystawiana była 196 razy. Po usamodzielnieniu się w 1955 r. Operetki Śląskiej do 1996 r., gdy teatr działał pod taką nazwą, zespół śpiewaków, muzyków i tancerzy zrealizował 134 muzyczne utwory sceniczne – operetki, musicale, baśnie i bajki muzyczne. Na gliwickiej scenie wystawione zostały prawie wszystkie dzieła Lehara, Straussa, Kalmana,

Offenbacha oraz najlepsze sztuki Abrahama, Gilberta i Milutina. W repertuarze nie zabrakło utworów Stanisława Moniuszki a także „Krakowiaków i górali” Wojciecha Bogusławskiego. Wielkim powodzeniem cieszyły się brodwayowskie musicale „West Side Story” Bernsteina i „My Fair Lady” Lowego. W ciągu ponad 40 lat istnienia Operetki Śląskiej ponad 10 tysięcy przedstawień obejrzało 8,5 miliona ludzi.



Na gliwickiej scenie zabłysły gwiazdy Marii Artykiewicz, Wandy Polańskiej, Ireny Brodzińskiej, Aleksandra Sorina, Stanisława Ptaka, Jerzego Potyki czy Witolda Michelskiego. Wśród znakomitych reżyserów realizujących przedstawienia znaleźli się m.in. Jerzy Zegalski, Mieczysław Daszewski. Kierownictwo muzyczne sprawowali w Gliwicach Witold Rowicki i Karol Strzja. O choreografię i scenografię dbali Henryk Konwiński, Tadeusz Gryglewski, Barbara Ptak.

Tak duża popularność wystawianych w gliwickiej Operetce spektakli potwierdzała zasadność ulokowania w mieście nad Kłodnicą, zamiast solidnego teatru wystawiającego sztuki dla robotników, muzycznej sceny z przedstawieniami odbiegającymi od ideologicznego schematu socrealizmu. Zgodnie z ukrytymi być może intencjami komunistycznych dygnitarzy stworzono odskocznice dla ludzi pracy, którzy po szybcie mogli rozkoszować się egzotycznymi światami muzycznych dzieł. Całkiem możliwe też, że był wśród nich jakiś miłośnik bardziej podkasanej Muzy. Kto zresztą wie, może zadecydowały względy bardziej pragmatyczne. Pod ręką był wspaniały zespół artystów ze Lwowa zgromadzonych na bytom-

skiej scenie, którzy mogli z powodzeniem występować także ku pocieszeniu serc dla swoich krajan osiedlonych w Gliwicach.

Pomimo transformacyjnych zawirowań i przekształceniu Operetki Śląskiej w Gliwicki Teatr Muzyczny na scenie przy ulicy Nowy Świat od 2001 r. nadal wystawiane były klasyczne operetki i nowoczesne musicale. Coś zmieniło się dopiero w 2015 roku, gdy wieloletni dyrektor GTM Paweł Gabara zrezygnował ze stanowiska. Na krótko szefem dawnej Operetki został Grzegorz Krawczyk, były dyrektor Muzeum w Gliwicach. Zasygnalizował z tego, że zredukował chór, orkiestrę, balet i personel techniczny. Zwołał dyrygenta Macieja Niesiołowskiego. Na sprzedaż wystawione zostały instrumenty, stroje, scenografie i samochody. Wszystko stało się jasne wiosną 2016 r., gdy gliwiczanie mimo protestów artystów i poselskich interpelacji – podjęli decyzję o przekształceniu Gliwickiego Teatru Muzycznego w zwykłą scenę dramatyczną pod nazwą Teatr im. Tadeusza Różewicza.

Dlatego warto odwiedzić Willę Caro i przypomnieć sobie najlepsze lata gliwickich teatrów muzycznych, które nieodwołalnie odeszły w przeszłość. Zławsza że na pomysł zorganizowania wystawy „Bo to jest operetka... Historia teatrów muzycznych w Gliwicach” wpadł już dwa lata temu Grzegorz Krawczyk, były dyrektor gliwickiego Muzeum oraz zlikwidowanego – co niektórzy mają mu za złe – Gliwickiego Teatru Muzycznego. Do współpracy jako kuratora ekspozycji wciągnął Jacka Mikołajczyka, byłego kierownika literackiego GTM (2002–2014), człowieka na tyle zorientowanego, że zaproponował mu napisanie książki o historii Operetki Śląskiej i Gliwickiego Teatru Muzycznego (fragmenty drukowane są w „Śląsku”). Drugim kuratorem została Joanna Pudlik.

Wystawa nie jest pomyślana jako statyczna ekspozycja, bardziej kojarzy się z wędrówką po zakamarkach Operetki Śląskiej i „tego, co ocalało z dawnych spektakli, wspomnień gwiazd, emocji” – opowiada Jacek Mikołajczyk. Zwiedzający mogą podpatrzeć przy pracy teatralnego scenografa, zajrzeć do garderoby śpiewaków, a także przenieść się do krain, w których rozgrywały się fabuły operetek. Obok kostiumów, dekoracji, rekwizytów, które można porównać z projektami Jerzego Kłosowskiego i Andrzeja Cybulskiego, na ekspozycję zostały afisze, programy teatralne, fotografie z przedstawień – także z pierwszej premiery.

„W czasie licznych kwerend dotarliśmy również do archiwalnych nagrań telewizyjnych i radiowych. Wszystko to złożyło się na opowieść o historii sceny muzycznej w Gliwicach oraz tworzących ją ludzi” – podsumowuje Joanna Puchalik.



„Kraina uśmiechu”, inauguracyjna premiera Operetki Śląskiej, 1952...

Operetka socjalistyczna w Gliwicach

cz. 2

(Fragment niepublikowanej jeszcze książki pt. „Operetka przy Nowym Świecie”)

JACEK MIKOŁAJCZYK

Jak hartowała się operetka

Nielatwe początki nowej instytucji – proces jej powoływania, wyłaniania kierownictwa artystycznego, rekrutacji artystów, przygotowywania pierwszej premiery – na bieżąco relacjonowała lokalna prasa, sporo faktów podawali również sami inicjatorzy, dlatego dosyć precyzyjnie da się je odtworzyć. W styczniu 1952 roku było już wiadomo, że operetka powstanie w Gliwicach i że będzie miała charakter teatru objazdowego¹. W lutym w ogólnopolskich gazetach pojawiły się ogłoszenia o przesłuchaniach dla artystów do zespołu powstającej operetki². W tym samym czasie „Trybuna Robotnicza” pisała o planie rozbudowy budynku teatru w Gliwicach, którego skromne rozmiary nie pozwalały na umieszczenie w nim między innymi pracowni teatralnych. Był to jeden z argumentów, które przemówiły za organizacyjnym podporządkowaniem nowego teatru muzycznego Operze Śląskiej, dzięki czemu mógłby korzystać on z jej warsztatów. Niejako przy okazji bytomskiej opera miała objąć powstającą operetkę patronatem artystycznym. Według gazety próby do pierwszego spektaklu miały ruszyć już w kwietniu, a pierwsza premiera odbyć się w lipcu. Na otwarcie planowano *Zemstę nietopierza* Johana Straussa, później na afiszu miały zawitać dzieła kompozytorów słowiańskich i wreszcie, co najważniejsze, operetki radzieckie³.

Części tych planów nie zrealizowano, bo wkrótce pojawiły się tak zwane nieprzewidziane trudności. Wprawdzie jeszcze w kwietniu „Dziennik Zachodni” w tonie optymistycznym donosił, że zatwierdzono już budżet na rozbudowę gmachu gliwickiego teatru i stworzenie pomieszczeń z przeznaczeniem na garderoby, sale prób i biuro dyrekcji. Całkiem liczny miał też być zespół operetki – czterdziestoosobowa orkiestra, trzydziestoosobowy chór, dwudziestoosobowy balet i dwudziestoczworoosobowe grono solistów śpiewaków, do tego własne kierownictwo i status niezależnej pod względem artystycznym filii Opery Śląskiej⁴. W trakcie pracy nad pierwszą premierą zrezygnował jednak Zbigniew Sawan, wyznaczony przez ministra kultury na kierownika artystycznego placówki, co znacznie utrudniło proces jej organizacji i zmusiło do przełożenia daty otwarcia. Trzynastego kwietnia sejm podjął specjalną uchwałę, powołującą gliwicką operetkę do życia, a już 1 maja rozpoczęto kompletowanie zespołów – technicznego, administracyjnego i, oczywiście, artystycznego⁵.

Przesłuchania trwały do sierpnia. Zgłosiło się ponad czterysta osób z całej Polski. Największym problemem okazało się skompletowanie zespołu śpiewaków, co

może wydawać się paradoksem, zważywszy na pozorną nadmierną podaż artystów operetkowych w powojennej Polsce. W rezultacie organizatorzy teatru zdecydowali się położyć nacisk na młodych artystów, zdobywających dopiero szlify w zawodzie. Angaż otrzymała Maria Artykiewicz, od początku prima-donna Operetki Śląskiej, jako jedna z niewielu śpiewaczek mająca doświadczenie pracy w teatrze – była absolwentką Wyższej Szkoły Aktorskiej w Krakowie, a następnie aktorką Teatru Młodego Widza i Teatrów Dramatycznych, także w Krakowie. Z Teatru Muzycznego w Lublinie przyjechał Ryszard Wojtkowski, który przez piętnaście lat miał pozostać jednym z filarów operetki. Ze starszych śpiewaków w zespole znaleźli się Adam Kopciuszewski, artysta Opery Śląskiej, odtwórca partii Janusza w *Halce*, która w 1945 roku zainaugurowała działalność tej sceny, Leon Gawełek, solista bytomskiej opery, mający też za sobą występy w wiedeńskim Theater an der Wien, Witold Michelski, artysta powojennego Śląskiego Teatru Muzycznego, a przed wojną aktor Teatru Słowackiego w Krakowie, członek zespołu Henryka Czarneckiego, występującego na scenach Sosnowca, Katowic i innych miast regionu, oraz czolowy wodewilista Krakowskiej Operetki Teatru „Nowości”⁶, a także Maria Polakowa-Hermanowa, była solistka teatrów operetkowych w Krakowie i Bydgoszczy, oraz Xenia Grey, ceniona śpiewaczka operetkowa, znana z występów w Teatrze Wielkim w Poznaniu i w teatrach wileńskich (Lutnia i Teatr Na Pohulance), już przed wojną mająca status gwiazdy. Ostatecznie w zespole Operetki Śląskiej znalazło się 22 solistów, 23 chórzystów, 18 tancerzy i 41 muzyków w orkiestrze⁷. Jako korepetytor rozpoczął wówczas pracę w Gliwicach Stanisław Tokarski, późniejszy wieloletni dyrektor tegoż teatru.

Czwartego lipca 1952 roku w „Dzienniku Zachodnim” pojawiła się notka, obwieszczająca dokonane cztery dni wcześniej oficjalne otwarcie nowej instytucji – Operetki w Gliwicach. Wymieniono w niej kierownictwo teatru: Zenon Szydłowski jako organizator pracy artystycznej, Zbigniew Lipczyński jako kierownik muzyczny, Stefan Chachuła jako chórmistrz, Aleksander Ligęza jako kierownik administracyjny. Jako reżysera pierwszej premiery Operetki – *Kraina uśmiechu* – wskazano Bolesława Fotygo-Folańskiego⁸. Taki skład dyrekcji widnieje również w pierwszym programie wydanym przez instytucję, uzupełniony o nazwisko Stefana Syryły jako dyrektora całej Opery Śląskiej. Oficjalna nazwa teatru przyjęła postać: Państwowa Operetka w Gliwicach przy Państwowej Operze Śląskiej⁹. Uroczystość inauguracji, jak donosił „Dzien-

nik”, uświetnił delegat z Centralnego Zarządu TOF (Teatrów, Oper i Filharmonii), inspektor Waclaw Śniady, który pięć lat później miał objąć kierownictwo artystyczne samodzielnej już operetki. Tym razem ograniczył się tylko do wygłoszenia apelu o uroczyste „uczczenie rocznicy Manifestu Lipcowego PKWN”¹⁰. Centralny nadzór nie sprowadzał się jednak do apeli, bo już chociażby wybór operetki inauguracyjnej działalność placówki został narzucony przez ministerstwo. Fotygo-Folański chciał wyreżyserować tytuł w jakiś sposób związany z polskimi realiami, *Polską krew* Oskara Nedbala albo *Studenta żebraka* Karla Millöckera, którego akcja dzieje się w Krakowie w czasach panowania Augusta II Mocnego. Centralny Zarząd uznał jednak te plany za zbyt ambitne. *Kraina uśmiechu* zdaniem urzędników idealnie nadawała się na spektakl inauguracyjny – nie wymagała zbyt dużej obsady, a wcześniejsze doświadczenia wskazywały, iż jej „wymowa” da się podciągnąć pod obowiązującą ideologię¹¹.

Próby do spektaklu ruszyły tuż po inauguracji, jak podkreślają we wspomnieniach uczestnicy, w nie najłatwiejszych warunkach. Operetka nie była jeszcze pełnoprawnym użytkownikiem gmachu przy Nowym Świecie, który przez jakiś czas musiała dzielić z występującymi tam ciągle gościnnymi zespołami. Próby odbywały się więc częściowo w świetlicy, przydzielonej przez gliwicką Miejską Radę Narodową, i w Szkole Muzycznej, gdzie w czasie wakacji soliści mogli odbywać lekcje. „Chór przygotowywał się w «sali bufetowej», gdzie wstawiono fortepian – wspominał Lipczyński – orkiestra próbowała w palarni”¹². Dekoracje i kostiumy powstawały w pracowniach w Bytomiu. Dla Folańskiego próby były rodzajem egzaminu końcowego, mającego wyłonić ostateczny skład zespołu operetki. Reżyser stwierdzał w rozmowie z „Dziennikiem Zachodnim”:

Chcemy dać nowej, pierwszej w Polsce Państwowej Operetce młodość i świeżość. Opieramy się głównie na siłach młodych, ledwie po studiach i szkołach. Chcemy przygotować równolegle przynajmniej ze trzy obsady solistów. Opierając eksperyment nasz na zdrowych podstawach – talentu, dobrych warunków zewnętrznych i szczerego zapалу do pracy – chcemy usilną pracą wykrzesać nowe wartości, urabiać nowe indywidualności artystyczne. (...) Wierzę, że Operetka w Gliwicach zdobędzie uznanie i serce Śląska¹³.

Premiera odbyła się 11 października 1952 roku. Na widowni był obecny minister kultury i sztuki Stefan Dybowski oraz miejscowi dygnitarze – przedstawiciele wojewódzkich władz partyjnych

i administracyjnych. Jeśli wierzyć notkom prasowym, które ukazały się wkrótce potem w „Dzienniku Zachodnim” i „Trybunie Robotniczej”, gliwicka *Kraina uśmiechu* spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem. Dziennikarze zapowiadali, że nowy teatr „miłą i lekką rozrywką darzyć będzie mieszkańców Śląska”¹⁴ a jako druga scena Opery Śląskiej – prowadzić intensywną działalność objazdową. Na premierze w głównych partiach wystąpili: Maria Artykiewicz jako Liza, Xenia Grey jako Mi, Witold Ermow jako Su Czong, Zygmunt Łuczak jako Hrabia i Antoni Kaczorowski jako Starszy eunuch. Dekorację przygotował Tadeusz Gryglewski, kierownik modelatorni Opery Śląskiej, a za choreografię odpowiadał Eugeniusz Wojnar, tancerz i choreograf, przed wojną współpracujący między innymi ze słynnym kabaretem Qui pro Quo.

Oba czołowe śląskie dzienniki – „Trybuna Robotnicza” i „Dziennik Zachodni” – wydrukowały, co prawda z pewnym opóźnieniem, recenzje z premiery, napisane w stylu manifestów programowych świeżo utworzonej operetki. M. Józef Michałowski po raz kolejny w „Dzienniku” udowadniał, jak bardzo „prawomyślnym” kompozytorem był Franz Lehár. Uwypuklając wartości muzyczne jego operetek, zastrzegając, że Węgień nigdy nie uciekał się do muzycznej „łatwizny”, za to – co istotne – wykazywał wyraźne upodobanie do „ludowych” źródeł i świetnie wykorzystywał etniczne motywy w swoich kompozycjach. Pewnie nie przypadkiem wymienił wyłączenie nawiązania do folkloru „ludów” wchodzących w skład bloku socjalistycznego: Rosjan, Węgrów, Polaków, Serbów i Chińczyków. Michałowski podkreślał również realizm operetek Lehára, co było nie bez znaczenia w kontekście ówczesnej polityki kulturalnej, narzucającej teatrowi i w ogóle sztuce socrealizm jako jedyną obowiązującą metodę twórczą i stylistykę, oraz rzekome społeczne zaangażowanie niektórych utworów kompozytora. Tym samym Michałowski chwalił dobór pierwszego tytułu, jaki znalazł się na afiszu Operetki Śląskiej, wyrażając nadzieję, że „melodie tej operetki piękne i łatwo uchwytnie będą z pewnością nucone przez ludzi pracy na Śląsku, będą towarzyszyć im przy pracy i w godzinach wytchnienia”¹⁵.

Co do samego spektaklu Michałowski, zwracając uwagę na krótki jego – i nie tylko jego – zdaniem okres przygotowań, uznał, że „efekt wystawionej w tym czasie i w tych warunkach *Krainy uśmiechu* uznać należy za nieoczekiwane [podkr. – J. M.] dobry”. „Nieoczekiwanie” – czyli można się domyślać, że przed premierą w środowisku krążyły raczej mało pochlebne opinie na temat przygotowań do otwarcia teatru. Recen-



zentowi podobały się dekoracje i kostiumy, których autora, Tadeusza Gryglewskiego, pochwalił za udany debiut. Pochwały doczekał się również choreograf, Eugeniusz Wojnar, którego taneczne suity „odznaczają się dużymi zaletami kompozycyjnymi i pięknnością układów”. Michałowski komplementował Marię Artykiewicz, która „dobrze zrozumiała i wygrała” swoją rolę pod względem aktorskim i świetnie poradziła sobie wokalnie. „Ta młoda śpiewaczka – pisał recenzent – łączy w sobie wszystkie cechy potrzebne artystce operetkowej: dobre warunki zewnętrzne, swobodę i dobrą grę sceniczną, piękny głos i muzykalność”. Chwalił również Xenię Grey i Zygmunta Łuczaka, których postacie były „naturalne i szczerze, w miarę liryczne i w miarę zabawne w scenach, w których trzeba było być śpiewakiem i aktorem”, a oni sami przekonali go rów-

niez w partiach muzycznych. Zdaniem krytyka świetną rolę wykreował Antoni Kaczorowski jako Starszy eunuch. Najwięcej uwag miał do Wiktora Ermowa, którego Su Czong po pierwsze, nie dysponował odpowiednimi warunkami wokalnymi do wykonywania tej partii, a po drugie, zaprezentował dziwaczną interpretację aktorską, za którą zresztą, przyznawał krytyk, winić należy tak jego, jak i reżysera. „Fałszem w ujęciu Fotygo-Folańskiego była rzekoma duma i pogarda księcia chińskiego dla świata Europejczyków, duma, której nadał Folański cechy jakiejś przesadnej nonszalancji, nie licującej z postawą dyplomaty wysokiej rangi”¹⁶.

Również Adolf Dygacz z „Trybuny Robotniczej” rozpoczął swoją recenzję od próby reinterpretacji historii operetki, tak by dopasować ją do aktu-

alnie obowiązujących założeń ideologicznych. Jej mieszczański charakter nazwał „wykrzywieniem”, wiążąc operetkę z popularnymi, „ludowymi” gatunkami muzyczno-teatralnymi, a następnie wskazując na operetkę radziecką jako wzór dla kierownictwa powstałego właśnie teatru. W spektaklu Dygacz chwalił przede wszystkim reżyserię Folańskiego, który według niego „nadał sztuce żywe tętno, umiejętnie operował scenami zbiorowymi, zdołał również w dużym stopniu poprawnie ustawić i ożywić większość postaci”. Skomplementował też dekoracje i kostiumy Gryglewskiego, docenił wkład baletmistrza Wojnara i przede wszystkim rękę dyrygenta, Zbigniewa Lipczyńskiego. Nie podzielał natomiast entuzjazmu Michałowskiego co do solistów, z którymi według niego „trzeba będzie jeszcze dużo popracować”. Być może na jego opinię wpłynęło to, że nie



ogładał obsady premierowej, z wyjątkiem Marii Artykiewicz, choć zasadniczo wykonawców głównych ról – Krystynę Zborowską (Mi), Leona Gawelka (hrabia Gustaw) i Jana Korczyńskiego (Generał) – umiarkowanie pochwalił¹⁷.

W obu recenzjach zwraca uwagę zachwianie proporcji między uwagami dotyczącymi aspektów artystycznych a ideologicznymi wprowadzeniami, których celem było uzasadnienie potrzeby powołania w Gliwicach instytucji specjalizującej się w „lekkim” repertuarze muzyczno-teatralnym. W dużej mierze wynika to, oczywiście, z omówionej wcześniej konieczności budowania dyskusji o operetce w ramach ideologicznej „fasady”, po uwzględnieniu której dopiero można było pozwolić sobie na swobodniejsze opinie na właściwe tematy, związane z poziomem artystycznym danego dzieła czy spektaklu. Ciekawe,

że na przykład Michałowski, uporawszy się z obowiązkowymi peanami na temat „ludowego” rodowodu operetki, w części „merytorycznej” recenzji krytykował polityczną interpretację postaci Su Czonga – można się domyślać, że owa „duma i pogarda księcia chińskiego dla świata Europejczyków” była pokłosiem pojawiających się w tym okresie na krajowych scenach ideologicznych interpretacji *Krainy uśmiechu*. Mirosław Fazan wprost poruszył tę kwestię, pisząc, że reżyser inauguracyjnej premiery Operetki Śląskiej „poprzez koncepcję roli Su-Czonga, chińskiego dyplomaty, wy dobył i zaktualizował treści polityczne, nadając im inny wymiar, niż zwykło się to czynić w operetce. Reżyser pokreślił bowiem dumę Azjaty i jego pogardę dla mieszczańskiego świata europejskiego”¹⁸. Według kronikarza miało to nawiązywać do toczących się wówczas konfliktów politycznych, przede wszystkim wojny koreańskiej. Takie cesje na rzecz obowiązujących wytycznych były konieczne, choć oczywiście nie pozostawały bez wpływu na poziom artystyczny spektakli, które często trzeba było sztucznie dostosowywać do wymagań. Być może stąd wynikały pewne niedociągnięcia, których dopatrywali się recenzenci w pierwszym spektaklu, chwalonym w końcu dosyć ostrożnie. Natomiast z całą pewnością sukcesem było utworzenie zrzębu zespołu artystycznego teatru, z Artykiewicz na czele, i dobrze rokującym gromem realizatorów. Wkrótce miały go uzupełnić kolejne „nabytki” – śpiewacy i aktorzy z całej Polski, dzięki czemu ukształtowała się solidna baza dla dalszej działalności teatru.

Wątpliwości nie można było mieć co do jednego – operetka całkowicie spełniła pokładane w niej nadzieje, jeśli chodzi o popularność wśród widzów. W ciągu pierwszych sześciu tygodni działalności teatru *Krainę uśmiechu* pokazano 29 razy, co przełożyło się na imponującą liczbę 27 tysięcy widzów. Jak donosił „Dziennik Zachodni”, okoliczne miasta jedno za drugim zapraszały nowy zespół do występów na swoim terenie. Na spektakle dowożono autobusami publiczność z całego Śląska i Zagłębia. W prasie pojawiły się entuzjastyczne teksty na temat osiągniętego celu, czyli „popularyzacji kultury wśród najszerszych mas”¹⁹, okraszone obowiązkowym peanem na rzecz ich robotniczego charakteru. Ten entuzjastyczny odbiór pozwolił niemal natychmiast podjąć pracę nad kolejnymi spektaklami oraz nad uzupełnieniem i rozbudową zespołu artystycznego. Strategia powołania Operetki Śląskiej dowiodła swojej skuteczności – powstała nowa instytucja, podejmująca przerwana na pewien czas tra-

dycję popularnego repertuaru, dobrze ugruntowanego w zainteresowaniach widzów, sankcjonująca go przez włączenie do obowiązującego propagandowego wzorca sztuki socrealistycznej. ■

¹ Zob. B. SURÓWKA, dz. cyt.

² Zob. M. FAZAN, dz. cyt., s. 23.

³ Zob. A. DYGACZ, *Śląski Teatr Muzyczny w stadium organizacji*, dz. cyt.

⁴ MJM, *Plan utworzenia operetki wszedł na drogę realizacji*, „Dziennik Zachodni” 05.04.1952.

⁵ Zob. M. J. MICHAŁOWSKI, „*Kraina uśmiechu*” – pierwsza premiera Państwowej Operetki w Gliwicach, „Dziennik Zachodni” 01.11.1952.

⁶ Zob. hasła: Adam Kopciuszewski, Leon Gawelka, Witold Michelski, Antoni Kaczorowski, (w:) *Encyklopedia Teatru Polskiego*, <http://www.encyklopediateatru.pl> (dostęp: 16.02.2016).

⁷ Zob. M. FAZAN, dz. cyt., s. 27.

⁸ FN, *Operetka w Gliwicach już czynna*, „Dziennik Zachodni” 04.07.1952.

⁹ Zob. *Kraina uśmiechu*, (w:) program do spektaklu Operetki Śląskiej, Gliwice 1952, s. 2, 15.

¹⁰ FN, *Operetka w Gliwicach...*, dz. cyt.

¹¹ Zob. M. FAZAN, dz. cyt., s. 32.

¹² Z. LIPCZYŃSKI, dz. cyt., s. 80.

¹³ MJM, *Plan utworzenia operetki...*, dz. cyt.

¹⁴ *Miłą i lekką rozrywką darzyć będzie mieszkańców Śląska gliwicka operetka*, „Dziennik Zachodni” 12.10.1952.

¹⁵ M. J. MICHAŁOWSKI, „*Kraina uśmiechu*”..., dz. cyt.

¹⁶ Tamże.

¹⁷ A. DYGACZ, „*Kraina uśmiechu*”, dz. cyt.

¹⁸ M. FAZAN, dz. cyt., s. 33.

¹⁹ F. NIEDZIELSKI, *Operetka Śląska...*, dz. cyt.

Dr Jacek Mikołajczyk, teatrolog, tłumacz, doktor nauk humanistycznych, kierownik literacki Gliwickiego Teatru Muzycznego (w latach 2002–2014). Absolwent reżyserii opery i innych form teatru muzycznego w PWST w Krakowie. Adiunkt w Zakładzie Teatru i Dramatu Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, gdzie również ukończył studia na kierunku kulturoznawstwo (specjalność: teatrologia). Stypendysta Fulbrighta w 2012 roku. W latach 2012–2013 gościnnie wykładowca University of Washington w Seattle (USA). W Gliwickim Teatrze Muzycznym w 2015 r. przygotował polską prapremierę musicalu „Rodzina Addamsów” (autor przekładu i reżyser spektaklu).



Janusz Wenz

Syn chórzystów obserwuje powojnie

– W tej rozmowie wystąpi pan w rolach pełnokrwistego syna lwowiaków...

– No to dobrze pan trafił, bo w żyłach moich rodziców – Marii i Alfreda – płynęła najprawdziwsza krew lwowska.

– ...i obserwatora powojennej opery na Śląsku.

Też pan dobrze trafił, ja niemalże urodziłem się na deskach Opery. Mama występowała na scenie, gdy była ze mną w ciąży.

– O przypadku człowieka, który zadebiutował w operze, nie urodziwszy się nawet, to jeszcze nie słyszałem.

– [uśmiech]

– Czy tytuł wywiadu: „Tenor mówi, jak było po 45. roku” podoba się panu?

– Nie przypada mi do gustu.

– To może: „Syn chórzystów obserwuje powojnie”?

– Niech będzie. Widzę, że pan z takim zainteresowaniem obserwuje moje mieszkanie. Obrazy na ścianach są mojego autorstwa – tutaj portrety Bolesława Fotygo-Folańskiego, Aleksandra Szczęścikiewicza, mojej mamy. Tu biblioteczka. Cała półka z książkami o fotografii, a tutaj książka z 1962 r., o której mało kto pamięta: *Spotkanie z jutrem* Aleksandra Baumgardena. Rodzice znali go bardzo dobrze, ojciec śpiewał wraz z nim i Andrzejem Hiolskim w kwartecie.

– Pierwszy raz widzę ten tytuł.

– To powieść o przyjeździe lwowiaków na Śląsk. Główni bohaterowie to Mysza i Mirek Drobnerowie, dla których pierwowzorem byli moi rodzice. Jest i mój dziadek. Autor trochę złośliwie wyraża się o nich, no ale takie jest prawo pisarza.

– Pierwsze zdanie z książki: „Pociąg wiozący transport repatriantów ze Lwowa na Śląsk minął już punkt graniczny. Biegną teraz przez pogodną przedpołudnie nasyczonego jesienią krajobrazu”.

– Repatrianci jechali w wagonach bydłowych, co było trochę podobne do scen pokazanych w serialu *Sami swoi*. Była tam prawdziwa inteligencja polska – przecież cała Politechnika w Gliwicach została zasilona przez kadre z Politechniki Lwowskiej, Uniwersytet Jana Kazimierza przeniósł się do Uniwersytetu Wrocławskiego, a ludzie Opery Lwowskiej tchnęli ducha w Operę Śląską.

Moi rodzice jechali do świata, o którym absolutnie nic nie wiedzieli, ale jedno było pewne: musieli się w jakiś sposób zintegrować z lokalną społecznością. Niech mi pan poda książkę, o, tutaj Baumgarten pisze: „Katowice – pierwsze miasto odzyskanego pokoju. Przytknął oczy i w skupieniu, wierząc, do szpiku kości wierząc – podpisywał swój pierwszy pakt z dniem nowym i nocą spokojną, ze spotkanym człowiekiem i nie przyziemianą latarnią”.

– Wiadomo coś panu o ich pierwszej nocy na Śląsku?

– Rodzice znaleźli mieszkanie w sułterenie, w Dąbie – dzielnicy Katowic, w czym pomógł im pewien Ślązak

z krwi i kości, o którym mówili, że szczerzy, gościnnie, z otwartym sercem. Swoje toboły znieśli do niego, a potem było jak w książce: „...nie mieli już sił do rozpakowania czegokolwiek. Nawet niespożyty pan Drobner zapadł się jakoś w oczach. Runęli w sen jak w wodę, nagle i bez przygotowań, byle gdzie. Tak wyglądała ich pierwsza noc katowicka”.

– Tymczasem Adam Didur w pocie czoła z grupką ludzi organizował w Katowicach Operę.

– Na oczach rodziców działa się ta operowa bajka z dogasającą wojną w tle, oni stali się jej częścią. Równoległe od samego początku trzeba było radzić jakoś z codziennością. Tutaj mam fragmencik, proszę posłuchać: „...piaszczyste wydmuchy między Dębem a Baildonem. Zdawałoby się – puste nazwy, ale między tym Dębem a owym Baildonem mieściło się bardzo wiele. Codzienne czterokrotne wędrówki do miasta i z powrotem. Romana z Mirkiem do teatru, na próby i po przydziały, Myszkę do biura; w tej sytuacji nawet ten jej dorywczy zarobek był ważny... Dyrdała po każdej tańszej główce kapusty na Rynek. Zdobywała szturmem, osobiście, każdy kilogram ziemniaków na targu, gdzieś aż przy Wojciechowskiego. Zresztą innego wyjścia nie było... na ogół było ciężko”. Tak właśnie na początku wyglądała codzienność rodziców.

– Co było po Dębnie?

– Nastął czas szukania miejsca na Śląsku. Mama była mistrzynią w załatwianiu spraw urzędowych, więc postarała się o przydział mieszkań. Przenieśliśmy się do Bytomia, dziadkowie zamieszkali przy ul. 18 stycznia; rodzice, ja i moja siostra – przy placu Słowiańskim. Ostatecznie w 1955 r. zamieszkaliśmy przy Karola Miarki 20. W tamtych latach ta ulica była chlubą miasta: trawniki, drzewa, ruch dwustronny, pięknie. A dzisiaj dla porównania: kamienny, nieprzyjemny wąwóz.

– Kto tam mieszkał, oprócz Marka Brzeźniaka i jego rodziców?

– Na przykład jego dziadek Stanisław Zaleszczuk, który był perkusistą w orkiestrze Opery Śląskiej. Albo Andrzej Skibiński i Zbyszek Łukosz, którzy z czasem porozjeżdżali się po świecie. Był członek chóru Włodzimierz Harysymowicz. Był pan Trefon, jego córka do dzisiaj jest u nas chórzystką. Żyła tam i arystokratyczna pani Lukas – korepetytorka baletu; czasami, gdy rodzice szli na spektakl, to zajmowała się mną. Była słynna pani Zalewska nazywana Mateczka. To skromniutka, uroczą staruszką, korepetytorka i pedagog wszystkich znakomitości – od Paprockiego, Szczepańskiej, po Stokowacką. Mieszkała z nią Maria Kunińska, ale wyjechała do Afryki, gdzie uczyła muzyki. Jednak najbardziej zdumiewającą postacią był Aleksander Szczęścikiewicz.

– Coś już o nim słyszałem.

– Przed wojną był harcmistrzem, po wojnie pracował w jakimś urzędzie



Alfred Wenz jako Casanova, Bytom 1953

i w chórze Opery i miał świetny głos. Początkowo mieszkał na czwartym piętrze, krążyły niesłychane plotki o bogactwie, jakie tam trzymał. Ponieważ mój ojciec mocno się z nim przyjaźnił, to pewnego razu wszedłem do jego mieszkania. Mówię panu, opowieści były niczym wobec tego, co tam zobaczyłem! Malarstwo, księgozbiór, numizmaty, zbroje, makatki, broń starożytna, osobny pokój zastawiony chińską porcelaną, oczopląsu można było dostać. Wszystkie te skarbenka przywiózł ze swojego dworku we Lwowie, a zbierał je podczas wojaży, które przed wojną odbywał po całym świecie; zresztą należał chyba też do jakiegoś klubu kolekcjonerskiego. Majątek wart grube ówczesne miliony, więc sprawa była słynna.

– Jaka sprawa?

– Z racji restytucji mienia przesiedleńczego dostał odszkodowanie w postaci przydziału na mieszkanie w szeregowcu przy ul. Kazimierza Wielkiego w Bytomiu. Tam przeniósł swoją kolekcję, potem schedę po sobie pozostawił swojemu sąsiadowi – panu Zygmuntowi – który zajmował się noszeniem węgla, paleniem w piecu i opiekowaniem się Szczęścikiewiczem, bo pod koniec życia Szczęścikiewicz był dość schorowany. Ale po latach, a dokładniej mówiąc – kilka lat temu – dokonano rabunku. Sprawa była słynna, na przesłuchanie na policji wzywano nawet moją mamę.

– Jak się zakończyło?

– Nie mam wiedzy.

– Karola Miarki 20/4. O czym tam rozmawialiście – albo o czym tam nie rozmawialiście?

– Raczej nie rozmawialiśmy, bo była aura tajemnicy, która wiązała się z przeszłością ojca.

We Lwowie skończył szkołę podoficerską i przyłączył się do kontrwywiadu. Aby skutecznie kryć się przed Sowietami, wstąpił do chóru Opery Lwowskiej, za-

piisał się też na lekcje śpiewu u pani Heleny Oleskiej – tej samej, która uczyła Andrzeja Hiolskiego. Dla Sowietów być śpiewakiem – to było coś szlachetnego, więc komu by przyszło do głowy, że muzyk chóru wykonuje działania konspiracyjne? Ale w Polsce Ludowej taka niegdyś działalność mogła być podstawą do aresztowania, a nawet kary śmierci. Dlatego ojciec mało opowiadał o czymkolwiek, otwierał się tylko w gronie zaufanych przyjaciół i najbardziej w obecności brata. Zatem było dużo rozmów o bieżących sprawach teatralnych, repertuarze, wykonaniach, pogrywania ojca na fortepianie, do czego zresztą też mnie zmuszał, i podśpiewywania mamy. Mama nuciła różne arie i pieśni włoskie. Miała piękny sopran, więc została zatrudniona w chórze Opery Lwowskiej, tu mam zdjęcia z tamtego okresu.

– Właśnie znalazłem u Baumgardtę fragment: „Siedzieli tedy, zamknięci na klucz w tych śląskich, nie poznanych jeszcze wieczorach, jak w poczekalni u dentysty. Właściwie tylko jedna rzecz łączyła z sobą pacjentów cierpiących w poczekalni: bolący ząb. Ząb nazywa się tęsknota i trzeba go usunąć. Wtedy będzie lepiej, wtedy wróci na pewno chęć wszystkiego”.

– „Tęsknota” to właściwe słowo. Rodzice non stop porównywali rzeczywistość aktualną z przeszłą. Poranne rozmówki przy herbatce u Lwowie. Rodzinny obiad – rozmowy o Lwowie. Kolacja – rozmowy o Lwowie. Przy wódeczce – Lwowa czar. Lwów w ich opowieściach rozkwitał magnoliami, tamtejsze kościoły były piękne jak primabaleriny, a wody czyste jak w Edenie. Mocno tęsknili.

– Och, płynie pan poezją.

– Cytuję rodziców. We wspomnieniach to miasto było wspaniałe, ale też utraczone. Z tym ostatnim ani ojciec, ani mama do końca życia nie pogodzili się. Cierpieli na bycie skazanym na „tu i teraz”.

– W pana głowie to miasto też było jak Eden?

– Oczywiście. Odczuwałem je jako miasto wyteśnione, zwłaszcza że ojciec, który jechał i wracał ze Lwowa, ciągle opowiadał, że, chodząc po przedwojennych ścieżkach, płakał z tęsknoty; przywoził całą masę przeżroczy, robił seanse, znowu płakał.

– Króciutko, bez mitologizowania – jacy byli ówcześni Ślązacy?

Mam w oczach taką ich charakterystykę: babki poubierane w bufiaste spódnice, starzykowie w specjalnie skleconych marynarkach ściągniętych fajeczki; wszyscy mówiący piękną, żywą gwara śląską. Ale w pewnym momencie z całej Polski zaczęli przyjeżdżać tu ludzie, szukający pracy. Wszyscy oni zmieszali gwara ze swoimi dialektami i w rezultacie powstało coś, czego nie da się słuchać. Bełkot zwany gwara śląską! Ach, gdzie ci Ślązacy z tamtych lat?

– Ojciec był inspektorem chóru...

– Najpierw on, potem mama. Były wtedy jego opowieści, że chór operowy



Maria Wenz, Łódź, lipiec 1952

to szczególna społeczność. Że jest wysiłkiem zaprowadzenie atmosfery ciszy za kulisami, bo ta praca wyzwala w ludziach infantylizmy. Tak sobie teraz myślę, że to materiał dobry dla socjologa albo psychologa społecznego [uśmiech]. Ojciec był dość surowym nadzorcą, trzymał dyscyplinę wykonawczą podczas prób i spektakli, a przecież w tamtym czasie to byli głównie jego rówieśnicy.

– Których kierowników chóru zapamiętał pan najbardziej?

– Pamiętam pana Andrzeja Sollocha, pamiętam Józefa Szulca, Zbigniewa Lipczyńskiego. Potrafili znakomicie prowadzić, wyszkolić, wyselekcjonować ludzi do chóru. Zaprowadzili muzyczny homogen, a im homogen doskonalszy, tym jakość chóru większa. To, że w chórze śpiewali ludzie, którzy już umieli śpiewać, a nie darli się, wydobywając tylko dźwięki z gardła, było wynikiem

precyzyjnego naboru do chóru. Były przesłuchania, oceniano umiejętności i muzykalność kandydatów. A przychodziło sporo amatorów, wielbicieli śpiewu, ludzi z potrzeby serca. Solloch i Szulc posiadali umiejętności przywódcze, psychologiczne, ludzie ufali im. Chór był silny.

– A dyrektorzy?

– Pamiętam Włodzimierza Ormickiego jako cenionego dyrektora artystycznego i muzyka. Później był mocno osadzony w partyjnej rzeczywistości Włodzimierz Stahl. Ponieważ to dobry znajomy pułkownika Jerzego Ziętka, to Opera kwitła, oferując publiczności bardzo szeroki repertuar, wtedy cały Verdi był. Potem przyszedł Napoleon Siess. Osobowość dominująca, wszystko zaczął dopasowywać do siebie, bo miał apetyt na to, aby dyrygować wszystkim. Jerzy Salwarowski: znakomity dyrygent, ale miał jakieś nieciekawe epizody. A po nim

Tadeusz Serafin, w którym widzę świetnego menagera. Jego niedawny eksperyment z Krzysztofem Pendereckim okazał się strzałem w dziesiątkę.

– Ludzie opery mieli jakieś przywileje z uwagi na to, że są... ludźmi opery?

W szkole i poza nią wiedzieli, że moi rodzice śpiewają, i miało to wartość nobilitującą. Mamie wiele spraw urzędowych było łatwiej załatwiać, zawsze rewanżowała się jakimś biletem na spektakl. W powojni ludzie na Śląsku byli naprawdę dumni, że mają teatr operowy z prawdziwego zdarzenia. Co charakterystyczne: nie było lekarza, adwokata czy księdza, który nie byłby zainteresowany bywaniem w Operze. Było nie do pomyślenia nie znać nazwisk Hiolski, Szczepańska, Stokowacka.

– Z czego to wynikało?

– To było odreagowanie wojennej traumy, ludzie lgnęli do polskiej sztuki, a do opery śpiewanej po polsku – szczególnie. Tęsknota szukała swojego ujścia.

– A jednak zaczęto śpiewać w językach narodowych

– Ale stało się to kilka dekad po wojnie! Zaczęło się od *Cyganerii* w 1980 r. z Józefem Homikiem i Ewą Karaśkiewicz w rolach głównych. Siedzieliśmy u Siessa, ktoś powiedział: „Szkoda, że nie śpiewamy tego po włosku, bo *Cyganeria* po włosku jest dwa razy piękniejsza niż po polsku”. Dyrektor zgodził się. Nie wiem, czy byliśmy pionierami wprowadzania języków narodowych, ale na każdym spektaklu sala była pełna.

– Rodzice zabierali pana na koncerty poza Śląsk?

– Rodzice nas zabierali, gdy Opera wyjeżdżała na letnie stagione – Cieszyn, Bielsko-Biała; to były poważne działania, solidne spektakle, tłumy. W lipcu 1952 r. pojechaliliśmy do Łodzi na koncerty, stacjonowaliśmy całą załogą w Domu Akademickim. Gdy rodzice mieli wolny czas, to grali w siatkówkę, opalali się, wyglupiali, panowała rodzinna atmosfera. W tym albumie mam zdjęcia z tamtego czasu, pokażę panu. Tutaj jestem z moją mamą, tak wyglądał mój tata, tutaj Andrzej Hiolski, z którym miałem zaszczyt zaśpiewać jubileuszową *Halkę* w 1995 r. A tutaj jest, jak telefonuję do pani Krystyny Szczepańskiej. Kochałem się w niej na zabój, planowałem ją porwać i uciec z nią gdzieś daleko.

– No i co by pan z nią robił?

– A cholera wie! Miałem 4 lata, ona – 35. Pani Krystyna była niesłychaną śmieszką, jej śmiech lubili wszyscy. Zobaczyła, jak baryton Jerzy Kulesza schodzi po schodach na tych swoich śmiesznych nóżkach, to zaczęła się głośno śmiać, ale tak głośno, że aż... baka puściła – a to rozśmieszyło ją jeszcze bardziej. Stała i się śmiała w niebogłosy. Albo Wanda Wierczyńska w *Janko Muzykancie*. Ona rzeczywiście przypominała małego, wiejskiego chłopca, więc aparycyjnie nie wymagała żadnej charakteryzacji, tylko wziąć i przebrać

w rzewny strój wiejski i postawić na scenie. Olga Didur zagrała wtedy matkę Janka. Sama jej uroda była niewątpliwie ciekawa i trochę przerażająca, bo w jej żyłach płynęła krew po części indiańska. Natomiast Natalia Stokowacka to już typ trudniejszy do ugotowania. Ona śpiewała od najbardziej lirycznych koloratur do najbardziej dramatycznych partii sopranowych. Rozpiętość wokalna niesamowita, głos jak klawesyn.

– **Mówił pan, że mama miała piękny głos.**

– To był naprawdę piękny, srebrzysty sopran, co powtarzali jej i dyrektorzy teatrów, i dyrygenci, a więc ludzie, którzy znają się na muzyce i głosach. Powiem panu, że najtrudniej jest wyznać się na ludzkim głosie. Na przykład Siess rozpoznał talenty, będące najprawdziwszym darem od Boga, czego przykładami są Romuald Tesarowicz czy Homik. Niestety, ten drugi systematycznie strzelał sobie w stopę, bo dość późno debiutował, a potem nie zajął się karierą tak, jak na to zasługiwała. Podobnie Henryk Polus. Po Akademii Muzycznej w Katowicach i operetce gliwickiej zdobył opinię lirycznego tenorka. Tenorka – rozumie pan? Ale przecież to najwspanialszy głos, jaki kiedykolwiek słyszałem na żywo! Pytałem: „Henio, czemu ty z tym głosem nie wyszedłeś dalej?”. Nic nie odpowiadał, bo chyba czuł się obciążony rodziną, bał się ryzykować i cierpieć na brak siły przebicia. Ale przeżył się do Szwajcarii, został chórmistrzem opery w Bazylei. Do dziś tego talentu nie potrafię odżałować. W świecie opery kto ma talent, a nie ryzykuje, ten nie wygrywa. Zwyciężyli Bogdan Paprocki, Bolesław Pawlus, Andrzej Hiolski. Chce pan anegdotkę o Hiolskim?

– **Bardzo chętnie!**

– Na potrzeby jednego z występów Hiolski nie potrudził się, aby nauczyć się na pamięć arii starego Germonta w II akcie *Traviaty*. To długa i nudna aria ojca do syna: „Osiwiał ojciec twój, osiwiła matka twa...”. Więc w denku cylindra umieścił kartkę z tekstem i planował dyskretnie z niej korzystać. Ale Sillich zrobił psikus: podczas spektaklu pobiegł za kulisy, podmienił kartkę na kartkę z innymi wulgaryzmami i wrócił dyrygować. W końcu przyszedł czas na arię, Hiolski śpiewa, śpiewa, zerka do cylindra i – aż się zagotował! Zapomniał nawet to, co znał na pamięć [śmiech]. Zaśpiewał więc: „Osiwiał ojciec twój, osiwiła matka twa, osiwiła babka twa, osiwiły dziadek twój”. Osiwiał całą rodzinę, a Sillich na podium pękał ze śmiechu.

– **Ależ mi tu pan piękną dygresję zrobił!**

– W którym miejscu się zaczęła?

– **Gdy mówił pan, że poznano się na głosie pana mamy.**

– Sillich czy Ormicki namawiali ją, by stanęła do przesłuchań, a ona – tylko podśpiewując arię Mimi z *Cyganerii* Pucciniego – mówiła, że nie.

– **Dlaczego nie?**

– Prawdopodobnie na przeszkodzie stanął ojciec. Był zazdrosny, o to, że ja-

kość jego głosu i umiejętności wokalne nie dorównywały umiejętnościom mamy. Nie mógł też pogodzić się z tym, że nie zrobił kariery jako solista. Owszem, dostawał do zaśpiewania drugo- i trzecioplanowe role, ale uważał, że to nic nie znaczy. Z tego powodu dość często przynosił do domu sporo złych emocji, które na przykład kazały mu widzieć we mnie kogoś, kto osiągnie szczyty. Chyba myślał, że zostanę drugim Zimmermannem. Z rodzicami jest tak, że jak sami nie zrobili kariery, to głęboko pragną, aby to się udało ich dzieciom. Takie przedłużenie siebie samego.

– **Tata był trudnym człowiekiem?**

– Tak, to był trudny człowiek. Całe życie kręcił nosem na moje wybory, był niezadowolony, rozczarowany.

– **Co go rozczarowywało?**

– Na Uniwersytecie Jagiellońskim skończyłem pedagogikę i przez dwa lata pracowałem jako wychowawca w więziennictwie. Powiedzieć, że miałem tam bardzo dobrą opinię, to powiedzieć mało. Nawet gdy w 1974 r. złożyłem podanie o zwolnienie, to wezwano mnie do Warszawy do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i próbowano nakłonić do pozostania. Cała rodzina, z ojcem na czele, robiła mi wstręty – najpierw dotyczące tego, że pracuję w takiej mrocznej instytucji, potem, że porzuciłem ten mrok. Kręcił nosem również wtedy, gdy oznajmiłem, że od dzisiaj zajmuję się muzyką.

– **Obudził się pan pewnego ranka i powiedział: „No dobra, od dzisiaj jestem muzykiem”?**

– Coś w tym stylu, kolejność była taka: W Krakowie Marian Lida, który był dyrygentem, przez ścianę usłyszał, jak kichnąłem. Brzmienie sytuacji skomentował: „Oo, ten chłopak ma niezły głos”. Wziął mnie na bok, zbadał skalę, tak, jest materiał głosowy, trzeba szlifować. Kupiłem gitarę, zacząłem śpiewać ballady Okudźawy i bardziej interesować się muzyką. Potem w Krakowie gruchnęła wiadomość, że na Wydział Wokalny będą przyjmować osoby bez przygotowania muzycznego – czyli coś w sam raz dla mnie. Pojechałem na egzaminy z repertuarem, wyryczałem arię Lenskiego z *Eugeniusza Oniegina*. Przyjęli mnie. To był 1974 r.

– **Co pan czuł?**

– Że złapałem pana Boga za stopy. Doostałem się do zespołu operetki krakowskiej, potem tamtejszej opery, działo się.

– **A pierwsza reakcja rodziny?**

– Totalne zaskoczenie, zwłaszcza że wyniki egzaminów trzymałem w tajemnicy. Ojciec od razu skomentował: „Jeśli w tym zawodzie chce się coś osiągnąć, to albo od razu wszystkich rzucić na kolana, albo nie warto zaczynać”.

– **Dotknęły pana te słowa?**

– Ojciec czuł się wtedy rozczarowany, ja – dotknęty jego uwagą. W 1974 r. podarowałem mi książkę z dedykacją: „Kochanowemu synusiowi – tenorowi in spe – biografię o sławnym tenorze ofiarowuje tatuś quasi tenor”. Było gorzka-wo, nieprzyjemnie.

– **Do dzisiaj pobrzmiwiają w uszach te słowa?**

– Wryły mi się w pamięć, ale po latach zrozumiałem, że miał rację. Wielkim tenorem w przyszłości nie zostałem, światła nie zdobyłem. Jeśli w tym zawodzie chce się coś osiągnąć, to albo od razu wszystkich rzucić na kolana, albo nie warto zaczynać wcale.

– **Ojoj, robi się coraz smutniej. Żeby oddalić ten ton, powiem, że w *Ubu Królu* Pendereckiego robi pan bardzo korzystne wrażenie jako Poślaniec.**

– Od samego początku miałem być Poślaniec, ale z gromady Chamów umiejętnie wymiksował się jeden kolega, więc mnie przydzielono jego rolę. Powiem panu: ten *Ubu* to straszna rzecz jest, bo oprócz wykonania muzycznego, trzeba się niezłe nagimnastykować. Nauczyłem się, czego należało się nauczyć, ale szczęśliwie dla mnie, nie przypadłem do gustu choreografce Janinie Niesobskiej, więc zostałem Poślaniec. Moja rola to rola mówiona, po niemiecku wypowiadam kilka zdań. A rower, na którym się pojawia, to gruchocik zupełny. W życiu nie odbyłbym na nim jazdy po mieście [śmiech].

– **Spektakl zebrał znakomite recenzje.**

– A sam Penderecki po premierze powiedział, że to najlepsza inscenizacja *Ubu*, jaką widział. Wszyscy byli zadowoleni, Serafin szczególnie, bo to on z całym przekonaniem forsował tę realizację.

– **Pan ceni muzykę Pendereckiego?**

– Muzyka współczesna to nie moja bajka. Cenię Wojciecha Kilara, Witolda Lutosławskiego, oni przemawiają do mojej wyobraźni. Natomiast Penderecki jest geniuszem w kwestii imitacji stylów muzycznych, jednak gdy proponuje swój styl, to jest to dla mnie nie do zniesienia. A zna pan jego muzykę do *Rękopisu znalezionego w Saragossie* Wojciecha Hasa?

– **Nie.**

– Polecam.

– **Dobrze, ale mam też nadzieję, że przeforsuje możliwość pożyczania od pana *Spotkania z jutrem*.**

– Niemal przez całą rozmowę trzyma ją pan w swoich dłoniach. Domyśliłem się, jakie wiązał pan z nią plany.

– **Zwróć, gdy przeczytam. Dziękuję.**

Janusz Wenz – urodzony w 1948 r. w Bytomiu, tenor. Laureat III nagrody I Konkursu Wokalistyki Operowej im. Adama Didura i stypendium na kursie mistrzowskim Accademia Chigiane w Sienie we Włoszech. Współpracuje z operami w Bydgoszczy, Gdańsku, Krakowie, Wrocławiu; od 1991 r. solista bytomskiego teatru. Syn chórzystów Marii (z domu Dolna, 1924–2009) i Alfreda (1911–1977), którzy współtworzyli Operę Śląską.



Nowa płyta Kwartetu Śląskiego

Najnowsza płyta niestrudzonego Kwartetu Śląskiego, wydana przez Polskie Radio w Katowicach oraz Fundację „Musica Pro Bono” została poświęcona muzyce kameralnej Szymona Laksa (1901–1983) – polskiego twórcy żydowskiego pochodzenia, który znany był dotąd w środowisku muzycznym głównie jako autor wstrząsających wspomnień z okresu pobytu w KL Auschwitz-Birkenau, gdzie pracował jako dyrygent jednej z dwóch więziarskich kapel (kapeli męskiej w Auschwitzu). Przed wojną Szymon Laks studiował grę na skrzypcach i kompozycję w konserwatoriach w Warszawie i Paryżu, następnie zamieszkał w stolicy Francji i działał w założonym przez Piotra Perkowskiego Stowarzyszeniu Młodych Muzyków Polaków. Przedwojenny dorobek kompozytorski Szymona Laksa w większości zaginął – zachowała się tylko muzyka filmowa. Twórczość powojenna, której wycinek pozwolili nam poznać autorzy omawianej płyty, wykazuje ścisły związek z najbardziej popularnym wśród polskich kompozytorów z pokolenia Laksa kierunkiem – neoklasycyzmem. Do końca pozostał twórca wierny jego rodzimej odmianie, silnie związanej z tradycją XIX-wieczną, proponującej umiarkowane unowocześnienia w dziedzinie rytmiki i harmoniki, chętnie czerpiącej inspirację z folkloru. Nagrane na płycie kwartety (trzeci, czwarty i piąty) oraz *Kwintet fortepianowy*, stanowiący przeróbkę *III Kwartetu smyczkowego* (partię fortepianu w tym utworze wykonuje Piotr Sałajczyk) można by wziąć za utwory Maciejewskiego, Kisielewskiego, Spisaka, młodego Lutosławskiego, czy Woytowicza. Nie wykazują cech indywidualnych i są interesujące głównie jako ilustracja tzw. „losu emigracyjnego”, któremu podlegali twórcy wykorzeni w macierzystego środowiska, żyjący i tworzący „obok” i „poza”, czego skutkiem było ograniczanie zainteresowań twórczych i wręcz popadanie w rutynę. Chętniej niż nagranych na płycie utworów, które są bardzo podobne i do siebie nawzajem, i do innych utworów „polskiego neoklasycyzmu”, posłuchałabym skomponowanych przez Szymona Laksa w 1947 roku ludowych pieśni żydowskich do tekstów w języku jidysz. Nie próbowałabym ich słuchać jako refleksu przeżyć obozowych, bo to byłoby zbyt „łopatologiczne”. Chciałabym się natomiast dowiedzieć, jaki był związek tych utworów z głośnymi przed wojną utworami przedstawicieli tzw. Nowej Szkoły Żydowskiej: Ernesta Blocha, Josefa Achrona, Aleksandra Kreina? W późnych latach 20. miało je w repertuarze wielu polskich skrzypków,

nadawało je od czasu do czasu Polskie Radio. Dotarły oczywiście także do Paryża, Wiednia i Berlina. Być może w innej rzeczywistości historycznej Szymon Laks wolałby być przedstawicielem Nowej Szkoły Żydowskiej, a nie polskiej szkoły neoklasycznej. W 1933 roku napisał muzykę do filmu Aleksandra Forda o osadnikach w Palestynie, z czego można wnioskować, że sympatyzował z ideą syjonistyczną...

Powracając ze sfery przypuszczeń do rzeczywistości dodam, że w bieżącym roku akademickim w Instytucie Muzykologii UJ Hubert Szczęśniak obronił pracę licencjacką, w której po raz pierwszy został szczegółowo opisany uporządkowany i rzetelnie przebadany przez autora zasób muzykaliów przechowywany w muzeum KL Auschwitz-Birkenau: partytur, głosów orkiestrowych, instrumentów muzycznych oraz rękopisów powstałych w obozie kompozycji muzycznych. Dzięki temu wiemy już dokładnie, czego słuchali więźniowie i obsługa obozu. Czerpano z obiegowego repertuaru muzyki klasycznej, operowej, operetkowej i filmowej i oczywiście nie wyeliminowano muzyki kompozytorów zakazanych lub niechętnie widzianych przez władze III Rzeszy: Mendelssohna, Mozarta czy Chopina.



SZYMON LAKS

MUZYKA KAMERALNA / CHAMBER WORKS

KWARTET ŚLĄSKI / SILESIAN STRING QUARTET

PIOTR SAŁAJCZYK fortepian / piano



Zdjęcia: z archiwum Towarzystwa Muzycznego im. Braci Szafranków

Koncert Filharmonii Rybnickiej – przy fortepianie Piotr Paleczny

Muzyczny Rybnik

WIESŁAWA RÓŻAŃSKA

U źródeł sławy

Dla muzycznego Rybnika bracia Szafrankowie są niczym rodzina Straussów dla Wiednia. Może Antoni i Karol mają na koncie mniej skomponowanych walców, ale byli muzykami, pedagogami i organizatorami życia muzycznego tak wybitnymi, że ich działalność jest w mieście żywa do dnia dzisiejszego. Bo w kulturalnym pejzażu Rybnika najmocniejszym akcentem zawsze była, i jest do dziś, muzyka.

Szafrankowie

Wynika to zarówno z głębokiej tradycji muzykowania na Śląsku, jak i możliwości oraz chęci jej kontynuowania w tym mieście. Imię braci Szafranków nosi rybnicka szkoła muzyczna i powstała w 1996 r. towarzystwo muzyczne, którego ówczesnym celem była reaktywacja orkiestry filharmonicznej. Nie bez przyczyny, bo bracia Antoni i Karol

Szafrankowie byli założycielami zarówno szkoły, jak i orkiestry. Urodzeni w Westfalii bracia, których rodzice w emigrowali pod koniec XIX w. ze Śląska „za chlebem”, studiowali w prestiżowych konserwatoriach w Berlinie, Essen, Paryżu, Poznaniu i Warszawie, otrzymując prawdziwie europejskie wykształcenie muzyczne. Na ich talentach – Karol był pianistą, Antoni skrzypkiem – szczególnie dużo zyskał Rybnik, gdzie bracia w 1933 r. założyli szkołę muzyczną. Po wojnie szkołę reaktywowano, a w 1946 roku jej kierownictwo ponownie objęli Szafrankowie. W 1960 r. na bazie orkiestry szkolnej powstała Filharmonia ROW, której dyrekcję objął Antoni Szafranek. Poziom muzyczny orkiestry i szczodre wsparcie finansowe górnictwa sprawiły, że Filharmonia ROW koncertowała ze światowej klasy solistami, by wymienić tylko Światosława Richtera, Igora Ojstracha, Edwarda Auera czy Hiroko Nakamura, a także polskich artystów jak Witold Małcużyński, Tadeusz Żmudzkiński, Wanda Wiłkomirska, Regina Smendzianka i wielu innych.

Juliusz Malik, jeden z najbliższych współpracowników Szafranków, wicedyrektor szkoły, a także późniejszy dyrektor założonej przez Antoniego rybnickiej orkiestry, przy okazji jednego ze wspomnianych wieczorów przytoczył mało znane epizody z życia Szafranków z czasów okupacji: uratowali oni w niemieckiej szkole muzycznej w Katowicach, gdzie uczyli, przeznaczone do zniszczenia nuty utworów m.in. Mendelsohna oraz kompozytorów polskich, a także fortepianów, które uciekający Niemcy chcieli ze szkoły wywieźć. Jednak fakt uczenia przez braci w niemieckiej szkole w czasie okupacji, odbił się negatywnie na ich dalszej karierze pedagogicznej w powojennej rzeczywistości, co w żadnym wypadku nie odbiera im zasług dla rozwoju rybnickiego środowiska muzycznego.

Szkoła i uczniowie

Wśród częstych gości orkiestry są do dziś wybitni artyści z rybnickimi korzeniami



Pierwszy koncert pierwszej edycji festiwalu w kościele w Czernicy. Na zdjęciu: Irena Górecka, wdowa po Henryku Mikołaju Góreckim.

jak Lidia Grychtołówna, Piotr Paleczny czy Adam Makowicz, którzy w szkole Szafranków pobierali muzyczną edukację.

Jak wielokrotnie mówił laureat konkursu chopinowskiego Piotr Paleczny, a także znakomity pianista jazzowy Adam Makowicz, to właśnie wyjątkowy talent pedagogiczny, przymioty charakteru i kultura osobista Karola Szafranka stały u podstaw ich artystycznej kariery. Wśród absolwentów szkoły są również kompozytor i dyrygent Jan Wincenty Hawel, funkcjonujący poza granicami kraju znakomici pianiści Jacek Zganiacz i Wiesław Szlachta, dyrektor artystyczny i dyrygent chóru Teatru i Opery Narodowej w Warszawie Bogdan Gola, dyrygent Orkiestry Koncertowej Reprezentacyjnego Zespołu Wojska Polskiego w Warszawie Grzegorz Mielimąka, ale również jazzmani Jacek i Wojciech Niedzielowie czy znani muzycy i liderzy orkiestr rozrywkowych Wiesław Pieregórka i Bernard Biegoń (ps. Benon Hardy). Wyjątkowe miejsce wśród uczniów szkoły Szafranków zajmuje kolejny syn ziemi rybnickiej Henryk Miko-

łaj Górecki. Zdradzający wybitny talent kompozytorski, przyszły twórca światowego przeboju muzyki klasycznej Symfonii Pieśni Żalonych, właśnie muzycznej intuicji Szafranków zawdzięcza bardzo wiele. Z powodu przekroczenia limitu wieku miał bowiem problemy z przyjęciem do średniej szkoły muzycznej, a na jego talencie poznali się dopiero Szafrankowie, dzięki którym rozpoczął regularną muzyczną edukację. Absolwenci szkoły różnych pokoleń podkreślali wszak jedno: jej wyjątkową atmosferę i swoisty *genius loci*, który tym miejscem się opiekował.

Towarzystwo i Filharmonia Rybnicka

Antoni Szafranek zmarł nagle w 1979 r., zaś Karol (zm. w lipcu 1997 r.) doczekał pierwszych prób reaktywacji orkiestry, która padła ofiarą zmian społeczno-politycznych lat 90. Z decyzją samorządu o likwidacji orkiestry 1995 r. nie mogło pogodzić się rybnickie środowisko mu-

zyczne, powołując w 1996 r. Towarzystwo Muzyczne imienia, jakżeby inaczej, Braci Szafranków, którego głównym celem była reaktywacja filharmonii. Wśród inicjatorów ruchu byli Norbert Prudel, pierwszy (i aktualny) prezes Towarzystwa, absolwent szkoły Szafranków, muzyk i lekarz w jednym, Mirosław Jacek Błaszczyk, związany z Rybnikiem dyrygent, aktualnie dyrektor Filharmonii Śląskiej w Katowicach, Antoni Smółka, wiolonczelista, dziś dyrektor Filharmonii Rybnickiej, Wacław Mickiewicz, pedagog i dyrygent chóralski, dziś prezydent i rzecznik FR, Zofia Mańka-Błaszczyk, dziś dyrektor szkoły muzycznej w Żorach, Danuta Węgrzyk, nieżyjąca już prelegentka muzyczna, Tadeusz Kijonka, pisarz i publicysta czy Krystian Szczęsny, wtedy pracownik urzędu miasta, miłośnik muzyki i gór, który był również animatorem pierwszego przedsięwzięcia Towarzystwa w listopadzie 1996 roku – wtedy przy dźwiękach muzyki Henryka Mikołaja Góreckiego i Wojciecha Kilara pokazał swoje tatrzańskie przeżycia. Dziś w działania obchodzącego rocznicę 20-lecia powstania Towarzystwa zaangażowani są również Jolanta Sobczak-Smółka, skrzypaczka i animatorka wielu przedsięwzięć, Lidia Blazel-Marszolik, Sylwia Kolar, Ilona Krzempek, Alicja Wrzół, Wiesława Różańska, Bogusława Kalamarz i kilka innych osób.

„U źródeł sławy – Moja melodia dla Rybnika”

Pierwszym krokiem do reaktywacji orkiestry, a zarazem dużym sukcesem Towarzystwa było wydanie płyty CD „U źródeł sławy – Moja melodia dla Rybnika”, na której zaprezentowali się znakomici muzycy, związani kiedyś ze szkołą Szafranków i Rybnikiem. Powstała przy wsparciu miasta i Banku Śląskiego płyta zawiera m. in. kompozycje Henryka Mikołaja Góreckiego, a także nagrania Lidii Grychtołówny, Piotra Palecznego, Adama Makowicza i Norberta Prudla. Towarzyszący solistom rybnickiej muzyki byli „zaczynem” zespołu, który zaczynał się kształtować. Dzięki pozytywnemu nastawieniu do idei reaktywacji orkiestry nowych gospodarzy miasta, pierwszy koncert Filharmonii Rybnickiej działającej w ramach Towarzystwa odbył się w listopadzie 1999 r. Ustalono zasady współpracy – miasto zobowiązało się kontraktować kilka koncertów w roku, przygotowywanych dla rybnickich melomanów i wykonywanych bądź w Teatrze Ziemi Rybnickiej, bądź w rybnickich świątyniach. Inauguracja była imponująca: orkiestra prowadzona przez Mirosława J. Błaszczyka, wraz z połączonymi chórmi wykonała w bazylice św. Antoniego oratorium „Mesjasz” Haendla. Od tego czasu w Rybniku gościli wielokrotnie obecni na „rybnickiej” płycie artyści i wielu innych znakomitych muzyków, a Filhar-



Adam Makowicz odbiera z rąk prezydenta Rybnika Piotra Kuczery tytuł Honorowego Obywatela Rybnika w trakcie koncertu festiwalowego w Teatrze Ziemi Rybnickiej w 2015 r.



Elżbieta i Krzysztof Pendereccy z prezesem Norbertem Prudlem (pierwszy z lewej) oraz Jolantą Sobczak-Smolką i dyrektorem FR Antonim Smolką przed rybnicką bazyliką św. Antoniego

nia Rybnicka dała kilkadziesiąt wspianych koncertów z ich udziałem. Obecny na koncercie swoich utworów w wykonaniu FR był Wojciech Kilar, a orkiestrą dyrygowali Jan Wincenty Hawel, Jerzy Maksymiuk, dyrektor Filharmonii Zabrzeńskiej Sławomir Chrzanowski, Maciej Niesiołowski, a nie tak dawno sam Krzysztof Penderecki. Obok przygotowywania koncertów FR Towarzystwo przejęło organizację Festiwalu Chóralnego Dni Cecylii, współpracuje z wieloma instytucjami kultury i oświaty, jak choćby Państwowa Szkoła Muzyczna I i II st. (dziś pod dyrekcją Romany Kuczery), od dawna nazywana zwyczajowo „szkołą Szafranków”, choć oficjalnie imię Karola i Antoniego Szafranków nosi od momentu przenosin w 2003 r. w nowe mury. Towarzystwo wspierało zresztą ideę nowej siedziby dla tak zasłużonej placówki. Bliskie są więzy Towarzystwa i FR z Teatrem Ziemi Rybnickiej i Muzeum i rybnickimi parafiami, gdzie mają miejsce koncerty, a także ze Śląskim Związkiem Chórów i Orkiestr, podjęto też próby wprowadzenia koncertów edukacyjnych dla dzieci i młodzieży. Zasługi Towarzystwa jako spadkobiercy braci Szafranków w dziele popularyzacji muzyki oraz pielęgnacji kultury i tradycji muzycznej zostały docenione m.in. poprzez przyznanie nagród: w dziedzinie kultury prezydenta miasta, Śląskiego Sukcesu, Fundacji Rozwoju Demokracji Lokalnej czy Czarnego Diamentu przyznawanego przez sa-

morząd gospodarczy Rybnickiego Okręgu Przemysłowego.

Festiwal

Projektem sztandarowym Towarzystwa jest Festiwal Muzyczny im. Henryka Mikołaja Góreckiego „U źródeł sławy”. Organizatorom zależało, by jego pierwsza edycja wystartowała w 2013 r. w rocznicę 80. urodzin zmarłego w 2010 r. Miśtrza, a przyświecała im idea uczczenia wybitnej muzycznej osobowości, przybliżenia jego sylwetki i twórczości, a także przypomnienia ważnych dla życia i muzycznej edukacji artysty miejsc. Stąd koncepcja, by kolejne koncerty odbywały się kolejno w miejscu urodzenia Góreckiego – Czernicy w powiecie rybnickim, w Rydułtowach, gdzie uczył się do szkoły średniej i w Rybniku, gdzie rozpoczął edukację muzyczną. By program zaspokajał gusta nie tylko elitarniej publiczności, ale przyciągnął też szersze grono odbiorców, założono prezentację różnych gatunków muzyki – od klasycznej, poprzez współczesną, aż po jazz, ale na każdym koncercie przewidziano wykonanie przynajmniej jednego z dzieł Góreckiego. Pierwszą edycję festiwalu, wspartego finansowo przez Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, zainaugurował koncert w kościele w Czernicy, a wśród słuchaczy była wdowa po kompozytorze Jadwiga Górecka, która nie kryła radości z podjęcia

przez Towarzystwo takiej inicjatywy. Generalnie pomysł się sprawdził i kolejne edycje (maj 2014, październik 2015) odbyły się w tej samej formule. W 2014 r. główny koncert festiwalowy w bazylice św. Antoniego poprowadził Jerzy Maksymiuk, w roku ubiegłym jednym z festiwalowych koncertów uczczono 70. urodziny Adama Makowicza i przyznanie mu z tej okazji tytułu Honorowego Obywatela Rybnika. Obok już wymienionych artystów, i oczywiście Filharmonii Rybnickiej, w dotychczasowych edycjach festiwalu wzięli udział m.in. skrzypkowie Kaja Danczowska i Piotr Pławner, harfiści Giedre Siaulyte i Krzysztof Waloszczyk, kwartet smyczkowy NOSPR Four Strings, Wiesław Pieregorólka, The Creamy Jazz Quintet z Markiem Napiórkowskim, Marcinem Jahrem i Piotrem Sikałą w składzie, lokalne chóry i wielu innych.

Tegoroczny festiwal, którego pierwsza odsłona będzie miała miejsce 2 października, będzie równocześnie okazją do uczczenia 80. rocznicy urodzin Jerzego Maksymiuka i 20-lecia powstania Towarzystwa Muzycznego im. Braci Szafranków. Organizatorzy festiwalu marzą, by przy okazji przyszłych edycji koncerty mogły się odbyć także w Akademii Muzycznej w Katowicach i w Zakopanem, miejscach, które Góreckiemu były szczególnie bliskie.



Folklorystyczne szaleństwo – zakończenie lata. Koncert finałowy XXIX Międzynarodowego Studenckiego Festiwalu Folklorystycznego.

Teatr swój mamy ogromny czyli Letni Ogród Teatralny Anno Domini 2016

MAREK MIERZWIAK

Mirosław Neinert – dyrektor Teatru Konez, ale też i Letniego Ogrodu Teatralnego, który rośnie w Katowicach w betonowych podcieniach Centrum Kultury od 18 lat, na zakończenie tegorocznej edycji powiedział, że trzeba już rozmawiać z prezydentem Marcinem Krupą o 19. Ogrodzie.

– *Piszcie do prezydenta listy i maile, w których zaakcentujecie, że musi być ta impreza, i że prezydent powinien ją wspierać, bo ma najlepszy letni przegląd teatralny w Polsce! Czasami trzeba to*

uświadamiać, a może stale i wciąż uświadamiać.

I nie ma w tym cienia przesady. Faktycznie – jest to wspaniała, dwumiesięczna impreza, która pozwala tysiącom ludzi spotkać się w czasie spektakli teatralnych, występów kabaretowych, i koncertów, i przeżyć coś, co zapamiętają na długo.

A wszystko zaczęło się dawno, dawno temu w Warszawie, gdy Teatr Konez pojechał do stolicy ze swoim spektaklem na wakacyjny przegląd teatrów. Aktorzy

i dyrektor przeżyli tam szok, patrząc na to, jak można tak nieprofesjonalnie zorganizować – bądź co bądź – przegląd teatrów z całej Polski. No i kiedy wrócili na Śląsk w głowie Mirka zakielkowała myśl – zróbmy coś podobnego u nas, tylko sto razy lepiej. I tak od osiemnastu lat uczestniczymy w czymś, co generalnie nie zmienia się, bo organizatorzy wyznają zasadę – jeśli coś jest dobre, zostało zaakceptowane przez publiczność, to nie eksperymentujemy, nie próbujemy na siłę ulepszać, bo może się to okazać w konsekwencji gorsze. Więc po co?

Rósł nam Ogród Teatralny przez te lata mając w tym czasie różne oblicza kulturalne, ale pokazał jedno – ludzie bardzo potrzebują rozrywki, nie tandetnej, schlebującej najniższemu gustowi, ale też rozrywki nie za wysokiej. Dlatego trzeba wszystko wyważyć i wypośredkować.

Nauczeni tymi doświadczeniami organizatorzy w tym roku przygotowali program właściwie dla każdego. Były zatem spektakle, które nie tylko powodowały, że widzowie śmiali się do rozpuku – tu zaliczyłbym przedstawienie zrealizowane przez Piotra Siekluckiego w Teatrze Nowym w Krakowie „Wysoki. Powrót do ZSRR”, który uświadomił może nam trochę w jakich czasach jeszcze niedawno i my żyliśmy i jak niewiele mieliśmy do powiedzenia, ale też i spektakl Teatru Konez „Niedźwiedź/Oświadczyń” czyli Czechow ze swoim humorem i ostrym spojrzeniem na człowieka wiecznie żywy, a może i „Via-Gra”, również teatru krakowskiego, tym razem Ludowego, o tym jak ulotne może być nasze szczęście i jak trudno jest odnaleźć się w tym świecie, który zmienia się jak w kalejdoskopie.

Były farsy i komedie, które pokazywały jak trudno czasami właśnie takie spektakle zrealizować i jak trudno jest w nich grać tak, aby sprawić widzowi radość – „Kiedy kota nie ma” (Teatr Capitol, Warszawa) – prawie 3-godzina farsa, po której aktorzy byli mokrzy, jakby wyszli spod prysznicy, ale za to publiczność wniebowzięta, oklaskująca ich owacyjnie, czy spektakle teatru Montownia (zaliczam tutaj także patriotyczny *one man show* Rafała Rutkowskiego), gdzie śmiech czasami zamierał na ustach.

Były wspaniałe trzy koncerty, które widownia przeżywała w zachwycie. Szczególnie „Pieśni zbójnickie”, w których spotkały się dwa światy i dwie artystyczne osobowości: Krzysztof Trebunia-Tutka, który sam mógłby zrobić dwugodzinny show, grając na kilkunastu instrumentach ludowych i Tymon Tymański ze swoim zespołem, który w tę polską ludowość dokładał takie dźwięki i taką melodykę jazzową, o której nie śniło się nam dotychczas. Ale też był wspaniały koncert Zespołu Raz Dwa Trzy, którego lider Adam Nowak, nie tylko śpiewał starsze i nowe piosenki, ale ubarwiał swój występ ciekawymi opowieściami na różne tematy.

No i był też Kabaret Hrabi – jak zawsze na LOT-e ze swoim programem „Zna-

ne – na nowo”, czyli przypomniał swoje najlepsze skecze z długoletniej działalności w nowych interpretacjach. Czwooro ludzi, a robili zamieszanie większe niż w naszym sejmie – doprowadzając publiczność czasami do łez – ze śmiechu oczywiście.

– Dlatego zapraszamy Kabaret Hra-bi – mówi dyrektor Neinert – ponieważ oni zawsze prezentują bardzo wysoki poziom (inne kabarety osiągnęły dziś poziom takiego żartu festynowego). My ich lubimy, a i publiczność za nimi przepada. Na widowni zawsze komplet tak jak i na wszystkich spektaklach granych na letniej scenie. Przypominam sobie ten czas, kiedy poszedłem z pomysłem realizowania LOT-u do ówczesnego prezydenta miasta Piotra Uszoka i on powiedział „Dobrze, robimy to, bo pomysł świetny, tylko żeby bilety nie były zbyt drogie i żebyście też coś zaproponowali dzieciom”. I bilety nie są drogie od lat, a Letnia Grządka Teatralna dla dzieciaków jest naszą dumą.

Pierwsze spektakle w ogóle grane były za darmo. Ludzie przychodzili ze swoimi krzeselkami, poduszkami i patrzyli zdziwieni na to, co wyrosło na tym katowickim betonie. A dla dzieci spektakle od zawsze aż do dziś są za darmo. Poziom ich jest wysoki, to nie jest tylko krzeselko, stolik i dwójka aktorów, ale spektakl, który mieni się różnymi kolorami i znaczeniami, który dzieciaki w mig rozszycfrowują, i akceptują jako swój. Jak wszem i wobec podkreślają wszyscy – Teatr Korez wychowuje swoją przyszłą publiczność. Bo ci, co przychodzili na przedstawienia i bajki dla dzieci, dziś przychodzą nie tylko do Korezu, ale poknęli bakcyła teatru i wiedzą, że ze sceny mogą się zawsze dowiedzieć paru istotnych rzeczy. Publiczność wychowana tutaj odwiedza też inne teatry i to jest najcenniejsze – o teatrze już nie zapomina.

Były też i trzy wystawy, które zwiędzać można było w przerwach: „Kobieta i mężczyzna” malarstwo Poli Minster i Piotra Naliwajki, Future Artist, czyli rzeźby w ruchu tworzone przez dzieci i wreszcie Koreańczycy zaprezentowali projektowanie sztuki artystycznej i użytkowej.

To wszystko było, a teraz już przeszło do historii. 10 tysięcy widzów uczestniczyło w imprezach w czasie tegorocznego lata. Miasto wspomogło organizatorów przeszło 450 tysiącami złotych. Było pięknie, barwnie, śmiesznie, czasami nostalgicznie. Imprezy zmieniały się jak na karuzeli. Z jednej strony my widzowie cieszyliśmy się, że za chwilę zobaczymy coś nowego, równie wspaniałego, z drugiej – ta karuzela uświadamiała nam jak szybko mija czas i kończy się lato, i kończy się spotkanie ze sztuką.

Kiedy po wysłuchaniu ostatniego koncertu czyli „Folklorystycznego szaleństwa”, który wieńczył nie tylko lato, ale i XXIX Międzynarodowy Studencki Festiwal Folklorystyczny wracałem późną nocą do domu, to podśpiewywałem sobie piosenkę Andrzeja Boguckiego – *A mnie jest szkoda LOT-u....* ■



Warszawski Teatr Capitol. J. Mortimer & B. Cooke „Kiedy kota nie ma...”. Na zdjęciu Katarzyna Skrzynecka (Mildred) i Wojciech Wysocki (Humphrey).

Fot. G. Gudejko



Katowicki Teatr Korez A. Czechow „Niedźwiedź/Oświadczyły”. Na zdjęciu Katarzyna Tlalka, Mirosław Neinert, Robert Talarczyk.

Fot. Joanna Kurdziel-Morytko, JerBa Studio



Koncert zespołu „Raz, dwa, trzy”.

Fot. Jeremi Astaszow

70 lat działalności nie odcisnęło piętna czasu na Miejskiej Bibliotece Publicznej w Gliwicach. Wydaje się, że jest wręcz odwrotnie: innowacje, nowe technologie, nowoczesne kanały komunikacji, aktywna obecność biblioteki w życiu miasta oraz jedyna w regionie placówka zlokalizowana w centrum handlowym przyciągają użytkowników. Dzięki szerokiej współpracy ze środowiskiem gliwicka książnica proponuje niekonwencjonalne i różnorodne przedsięwzięcia kulturalne. Można uporządkować je w triady, oddające ich charakter.

W 2016 r. dla gliwickiej biblioteki szczególnego znaczenia nabrały **trzy wyjątkowe imprezy**. Po raz pierwszy MBP miała zaszczyt gościć przedstawicieli swojego środowiska podczas **Wojewódzkiego Dnia Bibliotekarza**. Spotkanie 20 maja br. uatrakcyjnił koncert zespołu The Jazz Migrants oraz pokaz formacji tanecznej Salake.

Z okazji **500 Lat Polskiego Eklibrisu** biblioteka zorganizowała 10 czerwca finał **XI Międzynarodowego Konkursu Graficznego na Eklibris** oraz **Ogólnopolskiego Konkursu na Eklibris Młodych im. Andrzeja Znamierowskiego**. Na kilku wystawach (indywidualnych, zbiorowych, tematycznych) pokazano prace reprezentujące tę niezwykłą, małą formę graficzną. Projekt objęli Honorowym Patronatem Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Prezydent Miasta Gliwice. Patronat medialny sprawowała TVP Kultúra.

Zakończenie modernizacji Biblioteki Centralnej 20 czerwca 2016 r. zostało uświetnione odsłonięciem rzeźby *Nasza Ojczyzna – Przejście* prof. Krzysztofa Nitscha, połączonym z wernisażem prac tego wybitnego artysty.

Trzy hasła miejskiej kampanii społecznej **POZYTYWNI.GLIWICE.PL**, w którą włączyła się biblioteka, wyznaczyły kierunki spotkań. *Pozytywni wobec otoczenia* – było zachętą do przeprowadzenia wspólnie z przedszkolami akcji zagospodarowania gliwickiego skweru z okazji Dnia Uśmiechu. *Pozytywni w sieci* – zainspirowało do zaproszenia Olgi Tokarczuk, autorki, która zmagiała się z atakami w Internecie. Natomiast pod hasłem *Pozytywnie różni* zorganizowano spotkanie dla młodzieży, podczas którego studentki z Serbii i Kirgistanu, przebywające w Gliwicach w ramach programu Erasmus, przedstawiły rodziną kulturę.

Za nami **trzy oryginalne projekty. Warsztaty dla Kowali, czyli Wykuj Swój Sukces!** – spotkania z doradcami zawodowymi, poświęcone sposobom na znalezienie swojego miejsca na rynku pracy. Przez wiele miesięcy uczestnicy **Gimgry**, zajęć dla gimnazjalistów z zakresu edukacji medialnej, tworzyli przewodnik po Gliwicach. Natomiast **Czytanie Umysłu** wprowadziło w świat psychologii i komunikacji.

A aktualne projekty? **Literacki Przewodnik po Świecie** to jedno z trzech szczególnych przedsięwzięć realizowanych obecnie. Przez cały rok czytelnicy poznają literaturę, kulturę danego kraju lub kontynentu – podczas wypraw z książką, spotkań z podróżnikami i wystaw fotografii z ciekawych miejsc na świecie. Z kolei projekt **Zdrowe Gliwice** – realizowany we współpracy z Wydziałem Zdrowia UM Gliwice – przyciągnął zainteresowanych profilaktyką prozdrowotną. Dzieci mogą rozwijać swoją wyobraźnię i zdolności manual-



Book truck – mobilny punkt MBP w Gliwicach podczas zlotu ciężarówek z jedzeniem

Zdjęcia: z archiwum MBP w Gliwicach

Miejska Biblioteka Publiczna w Gliwicach Nietuzinkowe triady

ne podczas zabawy pod nazwą **Literacki Lego Quest**. Każdego miesiąca tworzą budowle z klocków Lego na zadany temat związany z literaturą. Projekt docenili rodzice, zgłaszając go do konkursu na najlepszą inicjatywę dla dzieci – Słoneczniki 2016.

A co przed nami? Oto **trzy jesienne przedsięwzięcia. Babska Stacja** – comiesięczne przystanki-spotkania ze specjalistami i pisarzami, poświęcone postaciom kobiet w literaturze i sztuce. Pod hasłem **Inspiracja – Innowacja – Integracja** odbędzie się szkolenie dla bibliotekarzy z regionu, zorganizowane dzięki dofinansowaniu z Fundacji Rozwoju Społeczeństwa Informacyjnego. Ponadto w trybie dwuletnim przeprowadzony zostanie wielowarstwowy, interdyscyplinarny projekt **Światu Dajesz Kształt** – z okazji 110. rocznicy śmierci Stanisława Wyspiańskiego – promujący twór-



Czytopenkt przed siedzibą MBP w Gliwicach

cość artysty oraz kulturę polską na Ukrainie. Na realizację tego zadania, wraz z licznymi partnerami, biblioteka pozyskała dofinansowanie ze środków programu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

I kolejna triada. Tegoroczne Narodowe Czytanie w gliwickiej edycji pod hasłem Sienkiewicz na Okrągle stało się okazją do trzykrotnego sięgnięcia do dorobku powieściopisarza. **QUO VADIS – gra miejska** była dla uczestników zaskakująca dzięki nietypowym zadaniom. **Literackie Koło Fortuny** dawało możliwość wylosowania inspirowanego cytatu z twórczości noblisty. Uzupełnieniem wydarzenia była **wystawa dawnych pocztówek z kolekcji Jana Dudzińskiego**, ilustrujących *Quo vadis* i *Trylogię*.

Jubileuszowy rok pracy biblioteki to świetna okazja do wprowadzenia **innowacji**. Po pierwsze – w filiach można wypożyczać czytniki e-booków. Po drugie – dla wygody mieszkańców w Bibliotece Centralnej zamontowano wrzutnię, umożliwiającą zwrot zbiorów w dowolnym czasie. Po trzecie – zainstalowano Czytopenkt, czyli niewielkich rozmiarów punkt informacyjny, który umożliwia

przechodniom poznanie fragmentów powieści, wierszy, utworów muzycznych, zachęcając do sięgnięcia po całe teksty dostępne w bibliotece. Materiały udostępniane są dzięki Fundacji Nowoczesna Polska. **Trzykrotnie** w progach biblioteki zjawili się zagraniczni goście. Języka francuskiego uczyli i o swoim kraju opowiadali wolontariusze: Johan Mortier i Chloe Habourdin. O Gliwicach, Śląsku, Walonii i Belgii rozmawiano ze studentami, gośćmi MBP oraz Polskiego Stowarzyszenia – Europa Języków i Kultur. Podczas spotkania *Poeci bez granic*, przedstawiciele świata literatury, wśród których był prof. František Všečička, udowodnili, że poezja jest ponadczasowa i ponadkulturowa.

Wśród współorganizatorów tych i wielu innych wydarzeń w naszej bibliotece są oczywiście instytucje kultury, uczelnie wyższe, artyści, placówki oświatowe, biblioteki, Centrum Handlowe Forum. Pojawiają się także nowi, pozornie niepasujący do tej literacko-kulturalnej rzeczywistości. Można wymienić **trzech szczególnych tegorocznych partnerów**: „Paris, Paris” – restaurację i szkołę języka francuskiego, Fundację Greenpower Polska – twórców bolidów oraz Federację Polskich Banków Żywności.

Trzy, zupełnie nie odkrywcze, lecz za to w pełni sprawdzone w praktyce, wnioski na koniec:

- biblioteka to wyjątkowe miejsce, w którym równoległe do tego, co w niej tradycyjne, nieustannie pojawiają się nowe – zaskakujące, rozwijające i inspirowane;
- rozwój biblioteki, adekwatny do potrzeb współczesnego świata, jest możliwy dzięki otwartości i szerokiej współpracy ze środowiskiem;
- biblioteka to wspólnie miejsce pracy, w którym my – pracownicy tej instytucji – systematycznie się doskonalimy i rozwijamy, a ciągłe pogłębianie w przyszłości sprawia, że nie niknie w nas młodzieńczy entuzjazm i zachwyt urodą świata.

BOGNA DOBRAKOWSKA
IZABELA KOCHAŃCZYK



151. Urodziny Katowic

Z okazji 151. rocznicy nadania Miastu Katowice praw miejskich, 8 września br. odbyła się uroczystość wręczenia Nagród Prezydenta Miasta Katowice w dziedzinie kultury. Za wybitne osiągnięcia artystyczne oraz organizacyjne, mające wpływ na rozwój i upowszechnianie kultury w Katowicach uhonorowani zostali (zdjęcie powyżej): Ewa Kokot – wybitna pedagog z zakresu edukacji kulturalnej dzieci, dzięki której jej podopieczni poznają i rozumieją sztukę współczesną; Monika Paca-Bros – wielka pasjonatka sztuki i pomysłodawczyni przedsięwzięć kulturalno-społecznych za wykreowanie w Szybie Wilson jednego z najbardziej kulturotwórczych miejsc Katowic – symbolu symbiozy sztuki i przemysłowej tradycji Górnego Śląska; Johann Bros – inicjatorowi licznych działań o charakterze kulturalnym i społecznym, dzięki któremu mieszkańcy Katowic mogą podziwiać dzieła sztuki we wspaniałych przestrzeniach obiektów poprzemysłowych; Grupa Mażorettek „Akcent” z Miejskiego Domu Kultury „Ligota” za wspaniałe oprawy artystyczne najważniejszych wydarzeń w życiu Katowic, a także za reprezentowanie miasta i liczne osiągnięcia w najważniejszych konkursach i przeglądach sztuki mażorettek w Polsce oraz Europie.

Zanim jednak rozdano nagrody, w Galerii Artystycznej prezydenta Katowic Marcin Krupa i Erwin Sówka – malarz (zdjęcie obok), wybitna postać świata sztuki, należący do grona założycieli Grupy Janowskiej, odślonili popiersie Teofila Ociepki – malarza magicznego, ikony Nikiszowca.



Katowice po raz pierwszy swoje urodziny świętowały pod marką Miasta Muzyki UNESCO. Stąd program obfitował w liczne koncerty – od wykonania przez NOSPR symfonii *Tansman Epizody* Henryka Mikołaja Góreckiego, po koncerty jazzowe, występy artystów z wielu zakątków świata i koncerty plenerowe.

(wk)



Znaki i twarze miasta





Budynek MPP, wystawy muzealne znajdują się pod Amfiteatrem Tysiąclecia, całość tworzy Narodowe Centrum Piosenki Polskiej w Opolu.



Muzeum Polskiej Piosenki w Opolu

W Amfiteatrze Tysiąclecia w Opolu otwarto Muzeum Polskiej Piosenki, którego organizatorem jest Gmina Miasto Opole – stolica polskiej piosenki. Zwiedzający w jego wnętrzach mogą w nowoczesnej konwencji obejrzeć ekspozycje przedstawiające historię polskiej piosenki, począwszy od lat dwudziestych ubiegłego wieku a kończąc na współczesności. Dla gości Muzeum przygotowano audio przewodniki ze słuchawkami o wysokiej jakości, pozwalające na indywidualne zwiedzanie ekspozycji wzdłuż dwóch muzycznych ścieżek, które zmaterializowano w postaci ścian, wyposażonych w monitory dotykowe i wizjery, na których można obejrzeć fragmenty koncertów, teledyski, wywiady z artystami, a także materiały ukazujące tło historyczne kolejnych rozdziałów kroniki polskiej piosenki. Wśród wielu atrakcji dla zwiedzających przygotowano budki do nagrywania piosenek, gdzie po wybraniu instrumentalnej wersji każdy może samodzielnie zaśpiewać i zarejestrować ulubioną piosenkę, do tekstu ukazującego się na monitorze. Na zakończenie wizyty w ministudiu gotowe nagranie można przesłać na wybrany adres pocztą elektroniczną jako pamiątkę z Muzeum Polskiej Piosenki. Kolejne nowinki techniczne przygotowane dla zwiedzających to: ściana opolskiego festiwalu, wyspa tabletek, muzyczne kule, które dostarczają obszernych informacji o wydarzeniach artystycznych oraz wykonawcach i autorach piosenek. Oprócz walorów edukacyjnych urządzenia muzealne mogą również posłużyć do zabawy, m.in. wirtualne lustro, pozwalające na wybór z katalogu stroju estradowego aby zwiedzający po chwili ujrzał swoje odbicie w kostiumie jednej z gwiazd polskiej piosenki. W Muzeum Polskiej Piosenki wyeksponowano również informacje na temat każdej edycji Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu (KFPP Opole). Od 2009 roku w siedzibie Muzeum organizowane są cykliczne spotkania i koncerty ze znanymi osobistościami z kręgu twórców polskiej piosenki. Otwarcie Muzeum Polskiej Piosenki (www.muzeumpiosenki.pl) uświetnił w Amfiteatrze Tysiąclecia koncert Katarzyny Nosowskiej z zespołem Hey, podczas którego gościnnie wystąpili: Grażyna Łobaszewska, Małgorzata Ostrowska, Ania Dąbrowska, Natalia Przybyśz i Marek Piekarczyk. (jjw)



Ryszard Zembaczyński (Prezydent Opola w latach 2002-2014), współtwórca Narodowego Centrum Piosenki podczas zwiedzania wystawy w MPP.



Fortepian z II Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu (marki Ed. Seiler z 1919 roku), który stał jeszcze na niezadaszonej estradzie festiwalowej.



Muzyczna budka – jedna z atrakcji MPP, można w niej wybrać z katalogu podkład muzyczny ulubionej piosenki i dokonać nagrania we własnej interpretacji wokalne.



Publiczność podczas otwarcia MPP, ogląda po lewej i po prawej stronie, dwie ściany edukacyjne, na których zamieszczono w nowoczesnej konwencji informacje o historii polskiej piosenki.



ŚLĄSKA
OJCZYZNA
POLSZCZYZNA

JAN MIODEK

Od błęchy do warzy

Od Pani Mireli Rubin-Lorek, krakowianki rodem z Rybnika, dostałem bardzo cenny podarunek urodzinowy – wydaną w rybnickim wydawnictwie LOKA książeczkę jej autorstwa zatytułowaną „Wyrazy staropolskie w dialekcie śląskim. Śląski minisłownik etymologiczny”. Już dawno nie miałem do czynienia z tak wartościowym dokonaniem językoznawczym, „łączącym w sobie popularyzatorską lekkość z solidną prezentacją materiału wyekscerpowanego z przeanalizowanych źródeł leksyko-graficznych”, jak napisał w recenzji dr Artur Czesak, dialektolog i leksykograf z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Autorce zaś chodziło przede wszystkim o odkrycie przed czytelnikami staropolskiego źródłosłowa wielu wyrazów śląskich, a cel ten przyświeca i mnie od ponad 11 lat redagowania niniejszej rubryki.

Zaczyna swoje wywody Mirela Rubin-Lorek w alfabetycznej kolejności od *błechy* – śląskiego odpowiednika ogólnopolskiej *pchły*. Ale zanim ta ostatnia utrwaliła się w standardowej polszczyźnie, w dawnym języku funkcjonowała właśnie *błecha* (obok takich wariantów, jak *błycha*, *blecha*, *plecha*, *plészka*), nawiązująca do prasłowiańskiej postaci *bleha*, obecna np. w XVI-wiecznym zdaniu „Piółyn błęchy w gmachach wytraca”, utrwalona w dziecięcej rymowance „Synek, bębynek, ukradł mamie pecynek. Wsadził go do miecha. Prawił, że to błecha” (Ciemielnice, rok 1911 – cyt. za pracą prof. Doroty Simonides pt. „Ele mele dudki”).

W znaczeniu „ciemność, zmierzch” powszechnie używana jest na Śląsku *ćma* – obok wariantów *ćmok*, *cima*, *ćmolk*, *cimok* („Co tak siedzisz po ćmoku?” – mówi się do dziś nawet w moim wrocławskim domu!) To ona – *ćma* – bezpośrednio nawiązuje do prasłowiań-

skiej postaci *t'ma*. Oczywiście, zderza się ona brzmieniowo z rzeczownikiem *ćma* oznaczającym motyla nocnego. Ale do tego ostatniego Ślązacy odnoszą takie słowa, jak *mota* albo *mora*, przy czym to drugie określenie – dopowiada Autorka – może też oznaczać mola.

Kiedy zaś czytam w jej książeczce o gwarowym *ćmielu*, czyli „trzmielu”, od razu kojarzę go ze słynącym z porcelany *Ćmielowem*, dawniej także *Śćmielowem*, w woj. podkarpackim, utworzonym przyrostkiem „-ow” (dzisiejszym „-ów”) od imienia osobowego *Śćmiel*, *Ćmiel*, pochodzącego od nazwy owada, w staropolszczyźnie przyjmującej właśnie postaci *śćmiel*, *ćmiel*, a dopiero później *trzmiel*. W dialekcie śląskim *ćmiylem*, *ćmielem* nazywa się również człowieka niemądrego, nieporadnego, bezmyślnego: *Z takim ćmiylem to wola niy mieć nic do cyniynio. Kejbyś to niy wiedziała, iże śniego taki ćmiel!*

Mirela Rubin-Lorek szczególnie podkreśla archaiczność wyrazu *jęgła* – „igła”, od którego pochodzą *jęgliczki* „druty do robótek ręcznych” i *jęglorz* „krawiec”. W takim brzmieniu nawiązuje on bezpośrednio do postaci prasłowiańskiej. W polszczyźnie ogólnej ostatecznie przekształcił się w *igłę*, a na Śląsku w prymarnej formie trwa: *Straciłach jęgła, poszukej mi jóm*.

Do pierwotnego czasownika *najdować* „znajdować” nawiązują także na Śląsku popularne określenia *najduch*, *nańduch* – kiedyś odnoszące się do nieślubnego dziecka (*Zaczym sie wydała za Manka, już miała dwa najduchy*), dziś na ogół używane żartobliwie w stosunku do niegrzecznego, psotnego dziecka (*Taki najduch zgłobny*). Podobne znaczenie do *najducha* – *znajdy* ma *podciep* „podrzutek”, też obecnie prawie wyłącznie używany z odcieniem żartobliwym, ba – często wręcz pieszczotliwym, co od-

noszę także do swoich zachowań językowych wobec wnuków.

Kilka stron swego minisłownika poświęca Mirela Rubin-Lorek *plonce* – „jabłoni”, „jabłku”, ale też „drzewu, które nie rodzi owoców” (*Muszmy sie na jesyjny nowe strómki – „drzewka” posadzić, bo te stare – to sóm same plónki*). Autorka przypomina przy okazji, że przymiotnik *plónny* wcześniej miał wariantywne postacie *plony*, *plóny*, *plóniasty* i znaczył tyle, co „niepłodny, nieurodzajny, jałowcy, bezowocny”.

Rżysko to we współczesnej polszczyźnie „niezaorane pole po zżętych, skoszonym zbożu; ściernisko”. Ale na początku było to wyłącznie „pole po zebranym życie”, tak jak *pszeniczy-sko* – „po zebranej pszenicy”, bo archaiczne słowo rodzaju żeńskiego (*ta*) *reż* – znane do dziś na Górnym Śląsku – oznaczało „żyto”. Dopowiedzmy, że podobny brzmieniowo *ryż* – staroczeski *ryż*, średnio-wysoko-niemiecki *ris*, wł. *riso*, z łac. i gr. *oryza* – za pośrednictwem perskiego przyszedł w nasze strony z sanskryckiego *vriki*.

I wreszcie wierne staropolszczyźnie śląskie *warzenie* – „gotowanie”, należące do tej samej rodziny wyrazowej co *war* wrzątek”, *warz*, *warza*, *warzywo* – kiedyś „gotowany pokarm” czy *warzqchew* „przyrząd kuchenny”. Bardzo trafnie zauważa Autorka, że owego *warzenia* „gotowania” nie mogą pomylić z *ważeniem* z „ż” Ślązacy cieszyńscy, bo w ich języku „rz” nie zlało się w wymowie z „ż”, ale realizowane jest jako „r-ż”, choć słabiej to słychać niż w języku czeskim.

Na koniec niniejszego omówienia wypada mi już tylko pogratulować Autorce bardzo wartościowego opracowania, które z pewnością traktuje ona jak spłacenie uczuciowego długu wobec rodzinnej ziemi.



Klimat zmienia lasy

JOLANTA KARMAŃSKA

Ocieplający się klimat zmienia i niszczy lasy. Chorują, słabną na ogromnych połaciach – zamierają. Widać to najlepiej w górach. Ich najbardziej zimnolubne gatunki, jak świerczyny czy inne iglaste, walczą o trwanie, przemieszczają w miejsca bardziej im sprzyjające. Wspinają się coraz wyżej, wędrują coraz dalej. Na chłodniejszą północ. Bez pomocy człowieka, w dużej mierze sprawcy ich losu, mogłyby sobie nie poradzić.

Trudno nam sobie wyobrazić nieobecność lasu. Tego, który miał trwać wiecznie. Jeszcze trudniej zrozumieć co się z nim naprawdę dzieje?

Odpowiedzi na to pytanie poszukiwali śląscy leśnicy już od połowy ubiegłego wieku. Wówczas, nie tylko w lasach beskidzkich można było obserwować słabnące i obumierające drzewa, ale i całe połacie usychających lasów iglastych Aglomeracji Śląskiej. Główny powód to przemysłowe zanieczyszczenia i nasilających się ataków szkodników. Takich jak wskaźnica modrzewianeczka, zasnuja wysokogórska i towarzyszący świerczy-

nom zawsze – kornik drukarz. Klęska ekologiczna w śląskich lasach stawała się faktem. Śląscy leśnicy zaczęli intuicyjnie je przebudowywać. Reagowali natychmiast w miejscach największych zagrożeń. Zastępowali wrażliwe drzewa iglaste – w większym stopniu liściastymi. Intuicyjnie. I choć brakowało nasion, sadzonek, zdarzały się błędy, nie rezygnowali. Wiedzieli, że to jedyny dla lasu ratunek. Przynajmniej na jakiś czas, zanim zmniejszy się strumień pyłów i gazów z przemysłu. Bo, jak mówili, nie ma gatunków drzew na nie odporne, są tylko gatunki mniej lub bardziej wytrzymałe. Dotychczasowe sposoby zago-

spodarowywania lasu, plany jego urządzania, cięcia gospodarcze na zrębach zupełnych schodziły na dalszy plan. Zagłada lasu w Górach Izerskich czy w Lesie Bawarskim nie pozostawiała złudzeń.

Pod koniec lat 80., wraz z upadkiem starego przemysłu, lasy złapały czystszy oddech. To nie wystarczyło! Gromadzone bezustannie w atmosferze ziemskiej gazy cieplarniane z dwutlenkiem węgla na czele, wzmogły ocieplenie się klimatu. W tempie mocno przyspieszonym na tle dziejów Ziemi. Z wszelkimi konsekwencjami dla przyrody i ludzi. Ekstremalne zjawiska pogodowe: huragany, tornada i trąby powietrzne; susze, szczególnie groźne pożary lasów czy niszczycielskie powodzie zaczęły zdarzać się w miejscach niespodziewanych. Podobnie jak paraliżujące życie w miastach śnieżycy, nawałnice gradowe czy zimowe, niszczycielskie dla przyrody zjawiska szadzi i okiści w lasach.

To tylko niektóre skutki wzrostu średniej temperatury, mierzonej na powierzchni Ziemi od początku ery przemysłowej. Skoczyła dotąd o zaledwie 0,75 stopnia Celsjusza i zakłóciła dotychczasowy porządek doskonale funkcjonującej natury. Jej największy skarb – las – ponosi i z tego powodu ogromne szkody!

Dzisiaj najsłynniejsze polskie określenie potęgi lasów: „nie będzie nas, będzie las”, przestało być prawdziwe, bo...

Prognozy są złe. Te ostrożne mówią o tym, że wzrost średniej temperatury, (liczony od początku jej pomiarów) zbliży się w drugiej połowie naszego wieku do dwóch stopni Celsjusza. Skutków tego wzrostu (globalnych i lokalnych), przewidzieć nie sposób. Ale trzeba się do nich adoptować, co leśnicy już czynią. Dla ocalenia lasów i ich największej mocy w pochłanianiu dwutlenku węgla, głównego gazu cieplarnianego, współodpowiedzialnego za ocieplenie klima-



tu. Bo jak nie lasy, to kto lub co poprawi klimat do życia?

W Górach Opawskich

Gospodarowanie w lasach, administrowanych przez Regionalną Dyрекcyję Lasów Państwowych w Katowicach na terenach silnie zurbanizowanych, zamieszkałych przez siedem milionów ludzi, jest niezwykle trudne. Tu, jak w soczewce, skupiają się wszelkie cywilizacyjne, aglomeracyjne, klimatyczne zagrożenia i kłęski. Tu też, z tego właśnie powodu, wypracowywane i testowane są bezustannie coraz skuteczniejsze technologie i sposoby ratowania i ochrony lasów, gospodarowania w nich w rytm zmieniających się wymagań natury. Śląskie lasy samoistnie stały się żywym poligonem doświadczalnym w batalii o ich trwanie i powiększanie.

Obecnie lesistość Polski zbliża się do 30 procent. Dobrze byłoby możliwie szybko osiągnąć 32 proc. czyli dobrą średnią europejską. To cel Lasów Państwowych. Ani rodzimych nasion i sadzonek najlepszej jakości, ani nowoczesnych technologii służących lasom nie brakuje. Dziś potrafimy z pomocą nauki coraz skuteczniej je chronić i ratować w razie kłęski, mówił na spotkaniu studyjnym z dziennikarzami – dr inż. Kazimierz Szabla, dyrektor RDLP w Katowicach.

Tym razem członkowie Klubu Publicystów Ochrony Środowiska EKOS przy SDP oraz Krajowego Klubu Reportażu gościli w opolskiej części RDLP w Katowicach. Na terenach, które jeszcze w latach 90. ub. wieku zaliczano w całości do mocno uszkodzonych przez emisję z przemysłu.

Dziś największe piętno na stanie zdrowotnym tych lasów odciskają ekstremalne zjawiska klimatyczne. W ich wyniku już w 1997 roku nawalne deszcze w połączeniu z huraganowymi wiatrami zniszczyły kilkaset hektarów lasów modrzewiowych, obecnych tu od wieków. I te lasy są ponadprzeciętnie doświadczane kłeskami.

Scierają się tutaj dwa fronty atmosferyczne. Atlantycki i ten znad Ukrainy. Huragany, powodzie, nawałnice gradowe, zjawiska okiści i szadzi, upały, pożary i długie susze pozostawiły w nich wielkie zniszczenia. Szczególnie ubiegłoroczna susza wyrządziła w opolskich lasach gigantyczne szkody. Poziom wód gruntowych obniżył się miejscami o całe dwa metry. Zaczęły zamierać całe połacie drzewostanów. I tak już mocno osłabionych obecnością grzybów patogenicznych, szczególnie opieńki, powodującej zgniliznę korzeni drzew. Ucierpiały i sosny i drzewa modrzewiowe, ale najbardziej opawskie świerczyny.

By to zobaczyć razem ze Stanisławem Jureckim, nadleśniczym Nadleśnictwa Prudnik, jedziemy pod Kopę Biskupią. To prawdziwa Mekka dla turystów. I obecnie wielkie zmartwienie opolskich leśników. Stamtąd jak na dłoni widać cały dra-



Zabiegi pielęgnacyjne trzebieży młodego lasu w leśnictwie Moszczanka

mat lasów w Górach Opawskich. Po czeskiej i polskiej stronie.

Taką sam, jaki rozegrał się w Beskidach. Śmierć lasów świerkowych, dobitych ostatecznie przez kornika drukarza i inne szkodniki. Upiorny pejzaż kłęski. Z martwymi świerczynami i łysym stokami. Z morderczą pracą drwali, leśników, którzy muszą zasiedlone kornikiem drzewa ściąć i wywieźć jak najszybciej z górskiego lasu. Te prace mają priorytet. W walce z kornikiem liczy się czas. Pokazały to kilkuletnie zmagania z tym szkodnikiem w Beskidach, gdzie sytuację, miejmy nadzieję, na dobre opanowano. W miejscu wyciętych świerczyn rosną silniejsze, mieszane gatunkowo, młodniki leśne.

Przebudowa trwa

Tak też się stanie w lasach opolskich. Są przebudowywane. Nie tylko w Nadleśnictwie Prudnik przybywa drzew. Zgodnie z wymaganiami natury, siedliska lasu i klimatu.

Miejsce zimnolubnych świerczyn zajmują tutaj głównie buki i jodły. Sadzi się

je zgodnie ze sztuką. Te właśnie gatunki przez pierwsze dziesiątki lat rosną trwale tylko pod okapami starszych drzew. Modrzew, mocno obecny w tych lasach nie potrzebuje takiej ochrony. Jeszcze lepiej radzą sobie rozpierające się, silne dęby, których jest tu najwięcej. Prawie 37 procent. Radzi sobie sosna, brzoza jak wszędzie, buk i jesiony. Ale i ze świerczyn w lesie mieszanym nie można rezygnować.

Ten różnorodny mieszany pejzaż drzew widać już w leśnictwie Dębowiec i Moszczanka. Rosną tam od dwudziestu lat. Cieszą oko, ale równocześnie wymagają specjalnej pielęgnacji.

Jednym z jej koniecznych zabiegów są trzebieże. Czyli rozrzedzanie, mniej więcej, dwudziestoletnich drzew gęsto, szpalerami posadzonych w czasie, gdy zaczyna im brakować przestrzeni do życia. Czyli miejsca do wzrostu, pokarmu i światła. Leśnicy wiedzą doskonale, które drzewa wyciąć, a które zostawić, by trwały. Trzebieże w gęstym lesie to bardzo ciężka praca. Pomagają im nie tylko pilarki i harwestery.

Jest nadzieja na nowy las...

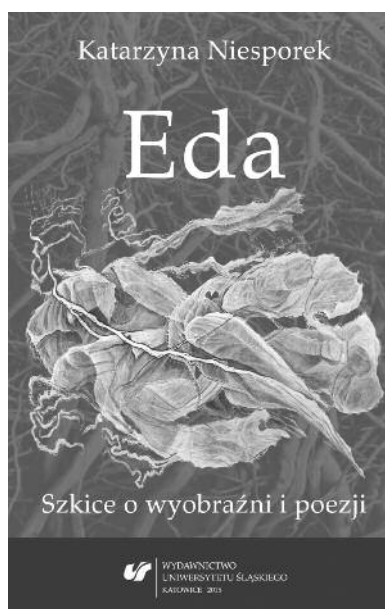


Dziennikarze w terenie

Zdjęcia: Magda Grajner



Dofinansowano ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach



Furor poëticus

KSIĄŻKI

EWA BARTOS

Outsiderka, *Grafo-mania*, *Szpital*, *Ciało*, *Syn* – to słowa-klucze i jednocześnie tytuły rozdziałów książki Katarzyny Niesporek. Krytyczka podjęła próbę interpretacji twórczości znanej, lecz funkcjonującej raczej marginalnie w ogólnopolskim obiegu literackim lubelskiej poetki Edy Ostrowskiej. Jej pisarstwo, jak podkreśliła autorka monografii, godne jest głębszego namysłu. We wstępie do książki przeczytamy: „Doprawdy, w całej historii literatury polskiej nie znajdziemy drugiej takiej jak autorka *Malmazji*. Poetki o tak nieposkromionej wyobraźni i takiej wrażliwości na świat. Wyrażającej w utworach wszystkie swoje rozterki, niepokoje, słabości. Do reszty obnażającej się przed czytelnikiem, niczego nieskrywającej i usilnie eksploatującej liryczne »jak«”.

Autorka *Edy* pyta o wyobraźnię i poezję, a więc o to, co idiosynkratyczne – własne, niepowtarzalne, czasami wymykające się wszelkim konceptualizacjom. Dokładne, głębokie czytanie pozwoliło przedstawić spójny obraz poetki, która „przez wszystkie lata swojej twórczości wypracowała (...) własny niepowtarzalny styl poetycki”. Niesporek pokazuje, na czym polega odrębność Edy Ostrowskiej. Z pietyzmem zagłębia się zarówno w świat jej autobiograficznych wypowiedzi, jak i w jej poezję, wyprowadzając z nich obraz wrażliwości odosobnionej, wymykającej się powierzchownym uogólnieniom.

Twórczość Ostrowskiej – zdaniem krytyczki – jest przykładem życiopisania, wyrastającego z egzystencji niezwyklej. Opierając się na zapiskach dziennikowych poetki, Niesporek przypomina niektóre fakty z jej biografii: pobyt w Szpitalu Neuropsychiatrycznym przy ulicy Abramowickiej, eksperymenty ze środkami odurzającymi, trudne doświadczenie porodu i macierzyństwa, rozstanie z mężem. Te przeżycia – jak pisze autorka książki – składają się na obraz poetki, która świadomie wybiera funkcjonowanie na pozycji outsidera: „Ostrowska odczuwa silny ból istnienia, a przede wszystkim »inność« prowadzącą do poczucia wyobcowania z otaczającego ją społeczeństwa”. W figurze outsidera krytyczka zobaczy odbicie szaleństwa. Spróbuj przez nie analizować twórczość Ostrowskiej.

Jest to niezwykle ciekawa propozycja lektury. Niesporek pokazuje, jak choroba psychiczna staje się „rozpoznamy zna-

kiem poetki”. Doświadczenie bolesne i trudne do zrozumienia osobom „zdrowym” sprawi, iż twórczość lubelskiej autorki stanie się oryginalna, rozpoznawalna na tle innych poetyckich realizacji. O wyjątkowości poetki zdecydują osobność stylu i osobność życia. W tym paradoksie dostrzeże Niesporek największy potencjał: „(...) choć wielu poetki tej nie rozumie, pisząc o jej wierszach na przykład, że są nonsensem, a ich publikowanie to skandal, autorka *Letycji u miecznika*, mimo iż zupełnie nieprzystająca do rzeczywistości, przytakuje konstatacji »poetka przeklęta«, niewątpliwie jest fenomenem, który wabi poetyckim urokiem”.

Szaleństwo jest czymś, co poetka w sobie uruchamia, szukając za pośrednictwem twórczości sposobu na wyrażenie swojej wyjątkowej wrażliwości. Znakomitym opisem tego procesu autoterapii i jednocześnie ulegania stanom transgresyjnym jest rozdział drugi i trzeci *Edy*. *Grafo-mania* i *Szpital* to szkice, w których autorka monografii dokładnie analizuje dziennik Ostrowskiej, szczególnie zwracając uwagę na jego terapeutyczne podłoże. Mania pisania, jakże charakterystyczna dla osobowości transgresyjnych, a także sukcesywne wnikanie w przestrzeń szpitalną, stają się tutaj – jak napisze Niesporek – „jednocześnie przejawem choroby psychicznej, jak również twórczej siły, *furor poëticus*”. Opis poszczególnych manii – miłosnej, pisania, problemów z mężczyznami i własnym ciałem – nie jest tylko objawem choroby, lecz stanowi także o wyjątkowości Edy.

Szał poetycki – pisze krytyczka – jest zarówno darem, jak i przekleństwem. Epizod z życia, związany z pobyt w szpitalu, nie jest opisem leczenia chorej na schizofrenię kobiety, lecz staje się sposobem odnajdywania przez Ostrowską swojej własnej indywidualnej przestrzeni. Celem poetki stanie się walka z „normalnością”, podejmowanie prób przekroczenia granic odczuwania i doświadczenia świata, a w końcu – zapisanie go w wierszu. Świadome zadomowienie się w przestrzeni transgresyjnej jest tyłem terapią, co eksperymentem, pozwalającym poetce mocniej odczuwać świat. Niesporek precyzyjnie wnika w twórczość Ostrowskiej, wydobywając z niej nie tylko ujawnione przez samą poetkę fakty biograficzne, ale przede wszystkim pokazując, jak wrażliwość Edy odbija się w jej poezji.

Jedną z najbardziej charakterystycznych, najmocniej eksponowanych cech twórczości Ostrowskiej jest odczuwanie świata wszystkimi zmysłami. Mając świadomość tego swojego pansensualizmu, Niesporek zamyka swoją książkę dwoma rozdziałami poruszającymi problematykę cielesności. *Ciało* i *Syn* poświęcone są pytaniu o to, jakie znaczenie dla autorki *Malmazji* ma jej własne ciało. Dlaczego poddaje go ona tak jawnej, niczym nieskrywanej wiwisekcji. Czy ma to służyć autoterapii kobiety „nadwrażliwej”, czy też podkreślić jej niezwykłość istnienia. Sięgając do wierszy i zapisków dziennikowych, krytyczka zastanawia się także, jak ważny dla Edy jest rodzący się z jej ciała inny, żywy organizm. Wiele miejsc poświęca zatem seksualności, macierzyństwu, problemowi (nie) akceptacji ciała. Dla obdarzonej szczególną wrażliwością poetki kwestie te mają niebagatelne znaczenie.

Książka Katarzyny Niesporek pokazuje lubelską poetkę w kilku odsłonach. W sposób nienachalny zachęca do bliźszego poznania jej twórczości. Autorka *Baranka zabitego* w sposób nieoczywisty funkcjonuje w polskiej poezji. Przez jednych chwalona, przez innych ganiona łączy w sobie cechy indywidualności poetyckiej i grafomanki. Jako outsiderka posiada „dar poetycki”, tę szczególną wrażliwość, która pozwala jej postrzegać świat w innych kategoriach, niż czynią to insidery. Autorka *Edy*. *Szkiców o wyobraźni i poezji* świetnie to uwyraźnia. Precyzyjna interpretacja poezji, dokładna analiza dziennika, empatia – to najważniejsze wyróżniki stylu krytycznego katowickiej badaczki.

Katarzyna Niesporek: *Eda. Szkice o wyobraźni i poezji*. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2015, s. 140.



Naprawdę ważne zdjęcia

KSIAŻKI

PAWEŁ LEKSYCKI

Mój świat odchodzi Janiny Barbary Sokołowskiej to książka, którą należy czytać jak tren. Tom złożony jest z wierszy poświęconych głównie osobom najbliższym: babciom Anieli i Władzi, matce, ojcu, bratu i siostrze, ale też miejscom dzieciństwa oraz pamięci o nich. Fotografie zamieszczone w tomie dokumentują opowieść rodzinną, do której poetka dopisała liryczny komentarz. O sile tej książki świadczą zawarte w niej elementy biograficzne autorki nakreślone na tle losu członków rodziny, a opisane wydarzenia można czytać jak sagę rodzinną. Zarówno tytuł, jak też konstrukcja tomu, przywodzą na myśl znany zbiór Tadeusza Różewicza *Matka odchodzi*, a wiersze pomieszczone w tomie poetki zdają się sugerować, by odczytywać je podług tego klucza.

Prezentowane utwory tworzą dopełniający się obraz rodziny, której fundamenty stanowią babcie, dziadkowie i matka. W otwierających tomik *Klimatach* za sprawą poetki przenosimy się na odległą prowincję, o której pamięć zanika wypierana przez „żelazną aglomerację”. To ona mieszkańców małego miasteczka skazuje na samotność i odosobnienie: „więc pójdziemy oddzielnie unosząc klimat / wiejskiej remizy z tanecznym disco polo list z życzeniami / na przyszłość”. W kolejnych wierszach poznamy babcię Władzię, której stół „pod lakierem / gromadził swąd chmur zaschniętą krew dziadka / dwojga niemowląt”, oraz babcię Anielę i jej pelargonie, w których „ukrywała marzenia aż po inny kontynent”. Dzisiaj dom tej ostatniej, choć przypomina tamten sprzed lat, zamieszkują obcy ludzie, a kwiaty w oknie „nic nie pamiętają”. Bowiemy pamięć jest coraz bardziej ułomna i coraz mniej jest tych, którzy mogliby ją pielęgnować.

W wierszach Sokołowskiej, podobnie jak w książce Różewicza, skoncentrowanych na życiu jednej rodziny, spotkamy się z refleksami tragicznej historii wieku XX. W wierszu *Nieźmiennie* poetka wyznaje: „W dzieciństwie przychodzili Żydzi z opowiadań / dziadka”, który za okazaną im pomoc „przez miesiąc siny meldował się na gestapo”. Innym razem, gdy dziadek Feliks opowiada o wojnie, „pachną cudze kości”. Dramat Europy zdaje się przeplatać z dramatem rodzinnym także w osobie ojca. Poetka pisze: „tato wymyty już biały z plastrem na głowie / zaświecał lampy w ciemnych aortach”, a matka

pakuje jego ubrania, okręca sznurkiem ślubny garnitur, bo wiem „trzeba robić supły wiązać / koniec z końcem”.

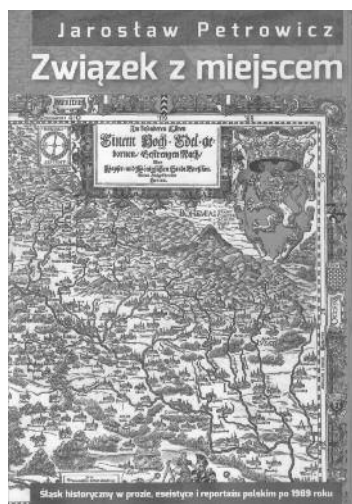
W chwilach, gdy żywi odchodzą „jak liście w krwawiących światłach”, na dowód ich obecności pozostają zdjęcia. Jest ich w tomiku szesnaście. Poza dwoma, na których oglądamy nostalgiczny pejzaż małego miasteczka, pozostałe to czarno-białe fotografie utrwalające opisywanych najbliższych. Większość z tych osób zapewne nie żyje. W odautorskim komentarzu do wyselekcjonowanych zdjęć znajdziemy wyrażone wprost przekonanie: „to tutaj ukrył się czas”. Fotografie identyfikują tych, o których się mówi, uchwycone w kadrze postaci są zarówno świadectwem życia, jak i przemijania. Z identycznym zabiegiem spotykamy się w książce Różewicza. Tam postaci utrwalone zostały w młodości. U Sokołowskiej patrzą na nas oczy osób zarówno dojrzałych (babcie, dziadkowie), jak też młodych i dzieci (matka, siostry, brat). Na *Ważnym zdjęciu* „mama (jest) jak ostrugana szczapa w czarnym berecie (...) / ciemnosine chmury spływają na zagięcia twarzy (...) a tu / o pięć lat / starsza. wydaje się że o cały wiek. po tej tragedii / nie doszła do siebie”. Zdjęcia utrwalają chwile uroczyste, ważne i dramatyczne. Słowo jest wyrazem smutku.

Tytułowe odchodzenie świata ma kilka znaczeń. Pierwsze, oczywiste, to synonim nieuniknionej śmierci, która „zbiera swe zniwo”. Odchodzenie jako jej eufemizm daje jednak nadzieję, chroni przed rozpaczą, zwątpieniem. W apostrofie kierowanej do siostry poetka zdaje się pocieszać wizją rychłego z nią spotkania: „czy mówiłam ci siostrze że się spotkamy / w tym samym mieście trochę ubrudzone ziemią”, by po chwili przyznać, że „wszystko znowu będzie od początku”. Śmierć tak oswojona jest tylko przejściem do innej przestrzeni, na wyższy level, bo przecież „nasi wyglądają z nieba”.

Odchodzenie jest także czasem zacierania się pamięci o miejscach związanych z najbliższymi, procesem, w którym to, co było, staje się coraz bardziej odległe. Sokołowska, śladem Różewicza i pomna słów Horacego o ocalającej mocy poezji, stawia literacki pomnik tym, których potrzebę wskrzeszenia i unieśmiertelnienia odczuła w sobie.

Jest jeszcze jedno odchodzenie, o którym pisze poetka. To „dżuma cywilizacji”, która dokonuje spustoszenia wśród ludzi, zwiększając między nimi dystans, schładzając relacje. „Kogo obchodzi krzywy wieżowiec i jego straszni ludzie / dom z brudnymi oknami nieszczęśliwy ciemny / który zdaje się w tym martwym morzu tworzyć świat” – pyta poetka w wierszu *Wołam do ciebie przez szum*. Wszak i tutaj także codziennie ktoś umiera, lecz jego śmierć pozostanie anonimowa niczym komentarz pozostawiony w Internecie, niedostrzeżona, gdyż „martwe przedmioty pochłoną serca / trzask suchej klawiatury oddzieli od prawdziwego / świata”.

Ta część książki Janiny Barbary Sokołowskiej, ukazująca dzisiejszą rzeczywistość przemawia do mnie mniej. W zbiorze wierszy pisarki wolę dostrzec przede wszystkim hołd złożony Tadeuszowi Różewiczowi, w którego twórczości poetka znalazła inspirację do utrwalenia własnego, nieubłaganie odchodzącego już świata.



O geniuszu miejsca w śląskiej literaturze

KSIĄŻKI

RYSZARD BEDNARCZYK

Opublikowana w Wieluniu w 2015 roku praca doktorska Jarosława Petrowicza (ur. 1972) pt. *Związek z miejscem. Śląsk historyczny w prozie, eseistyce i reportażu polskim po 1989 roku* jest przykładem podejścia bez obciążenia, cechujących literaturoznawców starszej generacji, do tworzonej na Śląsku w okresie ustrojowej transformacji prozy i eseistyki. Wspomnianym w tytule Śląskiem historycznym dla Petrowicza jest nadal Dolny Śląsk, gdzie miejsce dawnych mieszkańców prawie w całości zajęła ludność napływowa, oraz obszar Górnego Śląska, Opolszczyzny i Śląska Cieszyńskiego ze sporą ilością autochtonów. To trafny wybór terytorialny, bowiem nawet autorzy napływowi zajmują się w swojej twórczości śląskim *genius loci*.

Za najistotniejszy nurt literacki zrodzony ćwierć wieku temu autor obrał literaturę poświęconą małym ojczyznom historycznego Śląska. Opierając się na refleksjach światowych autorzytetów, uzasadnił, jak ważną rolę odgrywa w śląskiej twórczości miejsce. „Doświadczyć miejsca, to znaczy doświadczyć jego materialnej postaci, ale także rozpoznać jego naturę duchową, religijną, metafizyczną. Dzieła sztuki mogą nadawać miejscu niepowtarzalne treści... Literatura wzbogaca duchowe znaczenie miejsca. Miejsce rozumiem zatem jako dziedzinę żywego przeżywania i bezpośredniego doświadczenia. Związek z miejscem jako fenomen psychospołeczny wyraża się poszukiwaniem elementarnych znaczeń i źródłowych doświadczeń” – przekonuje Petrowicz. Nie popada jednak w szampową analizę zjawisk. Wprowadzony przez niego podział na różne perspektywy – począwszy od psychologicznej, poprzez historyczną, socjologiczną, aż po geograficzną, urbanistyczną czy filologiczną i ekonomiczną – przydaje odkrywczości jego pracy.

Nie wszystkie perspektywy mają tę samą wagę. Większe wrażenie pozostawiają po lekturze interpretacje dzieł prozatorskich czy publicystycznych pisarzy wielkiej rangi. Dzięki analizie sposobów ukazania demonów i mieszkańców Wisły, rodzinnej miejscowości Jerzego Pilcha, czy towarzyszących temu refleksji zawartych w piśmarstwie i felietonistyce autora *Pod Mocnym Aniołem*, zyskuje na znaczeniu perspektywa psychologiczna. Cenne uwagi badacza na temat zamieszkujących krainę dzieciństwa Pilcha, szalenie spirytystycznych, literackich postaci z jego powieści, opowiadań i felietonów pozwalają znaleźć klucz do zrozumienia osobistej, wiślańskiej mitologii prozaika.

Nie mniej istotne w objaśnieniu perspektywy historycznej jest sięgnięcie po prozę Kazimierza Kutza. Jego zmagania w opisywaniu przeklętych losów Górnolślązaków i docierania do sedna

ich odmienności, zawieszenia pomiędzy polskością i niemiecnością, przedstawione w *Piątej stronie świata* doskonale wpisują się w tok rozumowania Petrowicza. Podobnie jak proza Henryka Wańka, wspomagana dokonaniem pisarskim Olgi Tokarczuk i Joanny Bator czy eseistycznymi Andrzejami Zawady. Związani z Dolnym Śląskiem autorzy bardziej przydatni są zwłaszcza w pojmowaniu historycznych wydarzeń będących pokłosiem II wojny światowej – wypędzeń, narodowościowych weryfikacji czy powodzi. Dla górnolśląskich twórców ważniejsze są powstania śląskie, kwestia folklisty i deportacji górników.

W literackich rozważaniach – głównie twórców urodzonych w latach 50. i 60. XX wieku – Petrowicz dostrzega przełomowe i generacyjne sedno. Pisze o odrębności pokolenia, „które chciało uniezależnić się od dziedziczenia traumy wojennej swoich rodziców i wierzyło w wielokulturową, harmonijną przeszłość, w możliwość wzniesienia się ponad to, co dzieliło narody”. Autor wyraża wiarę właśnie w takie oblicze literatury, mając równocześnie nadzieję, że owo myślenie nie zostanie uznane za złudzenie, ale pomoże podjąć pisarzom w prozie i eseistyce w sposób bardziej pełny nośne tematy „szabrowników, band, rozpasania czerwonooarmistów, UB i MO”. Przy okazji poszukiwań socjologicznych tropów literaturoznawca trafnie zauważa, iż autorzy z zalanego przez ludność napływową Dolnego Śląska, wychowywani w PRL-u według propagandowego schematu piastowskich ziem odzyskanych, po 1989 roku zaakceptowali niemiecką przeszłość tej ziemi, dopatrując się w lokalności szansy na przymierze wywodzących się z różnych stron mieszkańców. Pomimo istnienia lwowskiej mitologii, tak widocznej chociażby w kryminalnych powieściach Marka Krajewskiego, Wrocław jawi się w tej prozie jako miasto bez konfliktów. Przeciwnieństwem jest literatura tworzona na zamieszkałym przez autochtonów i repatriantów Górnym Śląsku, na kartach której rozkwitł etniczny separatyzm, eksponujący poczucie krzywdy oraz wyobcowanie przesiedleńców ze Lwowa. Motyw kresowego dwojmyślenia szczególnie jest widoczny w książce Adama Zagajewskiego *Dwa miasta*, zaś mistyczne poszukiwanie kamienia filozoficznego śląskości wśród poróżnionych Niemców i Polaków uwypuklone w prozie Wańka czy reportażowej książce Małgorzaty Szejnert *Czarny ogród*.

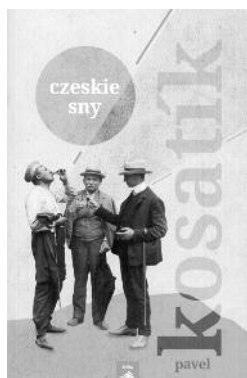
Skupienie się na motywach terytorialnych śląskiej literatury i eseistyki doprowadziło autora *Związku z miejscem* do przytaczania geograficznych cech regionu. Istotną rolę odegrały w tych przemyśleniach sposoby ukazywania w twórczości miejsc i miast. Pierwsze skrzypce w tworzeniu i przetwarzaniu miejskiej mitologii gra Wrocław. Bierze się to ze znaczenia historycznego, kulturowego i urbanistycznego miasta oraz rangi i ilości prozaików czy publicystów, którzy zechcieli wrocławskiemu geniuszowi miejsca poświęcić uwagę w piśmarstwie. A pod piórem Krajewskiego, Tokarczuk, Zawady i Michała Witkowskiego metropolia jawi się także jako obszar występku i przysłowiowy gejski rynsztok. Dzięki prozie Bator miejsce osobne zyskał także Wałbrzych, zaś Karkonosze, Śleza, Nowa Ruda, Świdnica, Zgorzelec zawdzięczają wybicie się na miejscowości godne literackiego mitu Karolowi Maliszewskiemu czy Wańkowi. Wisła zajęła ważne miejsce w miejskiej topografii na Śląsku Cieszyńskim dzięki prozie Pilcha. Natomiast na Górnym Śląsku twórczość wybitnych pisarzy i poetów Juliana Kornhausera oraz Zagajewskiego wykreowała Gliwice na czołową lokatę w konurbacji, przed Katowicami opiewanymi przez Jacka Durskiego czy Aleksandra Nawareckiego.

Petrowicz dostrzega również oddziaływanie etnograficzne na śląską literaturę czasów transformacji. Domy, rzeczy, fotografie, nawet kuchnie, odcisnęły na pisarzach piętno na równi z legendami i podaniami. W uwagach filologicznych nie pomija wpływu nazw topograficznych i własnych czy też gwary oraz języków obcych. Co ciekawe, uznaje za doniosłe także ekonomiczne aspekty i sposoby wykorzystywania literackich wątków do budowania turystycznej atrakcyjności Wrocławia, np. poprzez tworzenie szlaków wędrówek śladami Eberharda Mocka, fikcyjnego bohatera kryminalów Krajewskiego. Taka różnorodność badawczych dociekań Petrowicza z pewnością podnosi wartość naukową jego książki.

Jarosław Petrowicz: *Związek z miejscem. Śląsk historyczny w prozie, eseistyce i reportażu polskim po 1989 roku*, Wieluń 2015, s. 350.

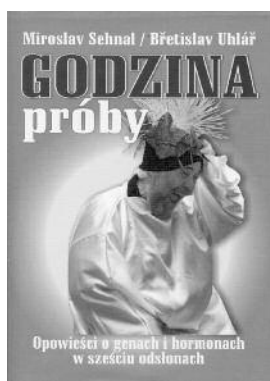
KRÓTKO O KSIĄŻKACH

BOGDAN WIDERA



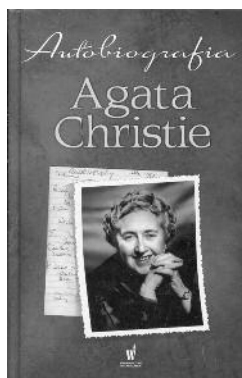
Pavel Kosatik: Czeskie sny.
[Przeł. Elżbieta Zimna]
Wyd. Książkowe Klimaty,
Wrocław 2014, s. 356.

Wslangu księgowych funkcjonuje określenie „czeski błąd”. Polega on na pomyleniu kolejności cyfr w liczbie, przez co setki buchalterów psują sobie oczy sprawdzając np. roczne bilanse. Nie wiem, czy taka nazwa pomyłki istnieje w języku czeskim. Gdyby tak było, zbiór esejów Kosatika mógłby mieć tytuł „Czeskie błędy”. Ta książka opowiada bowiem o politycznych pomysłach Czechów na ich państwo, na jego pozycję w Europie, nawet na świecie. I wszystkie te koncepcje z dzisiejszej perspektywy są – delikatnie mówiąc – absolutnie nierealistyczne, wręcz szalone. Co ciekawe, nie były one wymyślone i wdrażane w życie (nieskutecznie) przez jakichś nawiedzonych wizjonerów. Zajmowali się nimi całkiem poważni politycy, uczeni, artyści itd. Jeśli przeczytamy esej *Sen o Słowacji* nagle zaczynamy rozumieć, dlaczego Słowacy natychmiast po upadku komunizmu zapragnęli rozvodu ze „starszymi braćmi”. Napisany specjalnie do polskiego wydania książki *Sen o Polsce* podziwianej za przegrane zresztą powstania w XIX wieku staje się jakimś majaczem w kontekście wizji panslawistycznej Europy zjednoczonej pod władzą Rosji, nie wspominając już o zagarnięciu Zaolzia w roku 1919. *Sen o Rosji* – to raczej koszmar, gdyż niektórzy zwolennicy wielkiego państwa słowiańskiego chcieli nawet wprowadzić do Czech rosyjski alfabet. Śnili Czesi o Łużycach, ZSRR (do roku 1968), Rusi Podkarpackiej. Nawet o koloniach. Kiedy nie wypalił Madagaskar, chciano skolonizować Kamczatkę. Od tych utopijnych rojeń o potęgę różni się esej pierwszy *Sen o życiu bez Niemców*. Ten akurat się sprawdził, choć walka z napływem żywołu niemieckiego ciągnęła się od średniowiecza. Pasjonująca lektura nie tylko dla zainteresowanych historią, bo autor niejednokrotnie doprowadza swoje wywody do współczesności. Ciekaw jestem, czy znajdzie się równie wnikliwy pisarz, który spróbuje napisać o snach polskich.



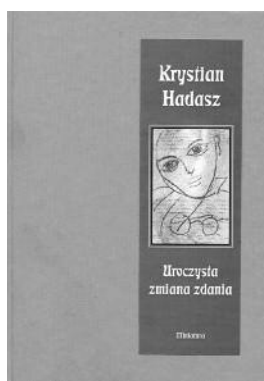
Miroslav Sehnal, Brzetislav Uhlár:
Godzina próby.
Opowieści o genach i hormonach w sześciu odślonach.
[Przeł. Jan Stachowski,
Krzysztof Lisowski]
Wyd. Good Books, Wrocław,
brak daty wydania, s. 160.

Dziwna książka, niby powieść, ale poprzeplatana wierszami dość luźno wkomponowanymi w fabułę. Najkrócej mówiąc – tekst eksperymentalny. Czyta się dobrze, część poetycka zrozumiała nawet dla czytelników nie bardzo rozmiłowanych we współczesnych wierszach. Bohaterem jest starzejący się, rozwieziony, brzuchaty mężczyzna nie rezygnujący z życiowych uciech, zwłaszcza damsko-męskich. I ten to facet na pogrzebie swego wuja spotyka dziewczynę o niezwykłym imieniu Anel. Tak się zaczynają te opowieści o genach i hormonach (proszę się nie zrażać tymi medycznymi terminami). Nieoczekiwane przygody, zwroty akcji, poprzedzielane lirycznymi wtrętami na temat blasków i cieni miłości małej i wielkiej, wreszcie – zaskakujące zakończenie. Zachęcam.



Agata Christie: Autobiografia.
[Przeł. Magdalena Konikowska,
Teresa Lechowska]
Wyd. Wydawnictwo Dolnośląskie,
Wrocław 2014, s. 480.

Agata Christie wielką pisarką była! *Autobiografię* pisała przez 15 lat, można więc obliczyć, że rocznie tworzyła 32 strony. To oczywiście bzdura, chodzi o to, że autorka ciągle do tekstu coś dodawała, redagowała jakieś fragmenty na nowo, wprowadzała poprawki. Skończyła pisanie w wieku 75 lat. Rozważam to wszystko i nie mogę się oprzeć wrażeniu, że ten obszerny życiorys jest jednak bardziej literaturą niż dokumentem. Christie z sentymentem i obszernie wspomina szczęśliwe dzieciństwo, pisze o swojej edukacji, podróżach i wyprawach archeologicznych, podczas których pomagała mężowi, spotkała ludzi, rodzinie, wojnach, wreszcie o swojej twórczości. Dowiadujemy się więc m.in. że źle sobie umocowała w czasie Herkulesa Poirota, bo stworzyła go zbyt starym. Niezadowolona z teatralnych adaptacji swoich kryminałów sama zaczęła tworzyć dla teatru, co uwieńczone zostało fenomenem *Pułapki na myszy* wystawianej w Londynie od niepamiętnych czasów. Lektura *Autobiografii* pokazuje też, że „z życia”, ze zdolności obserwacji czerpała wiele do swoich powieści. Klimat angielskiej prowincji, styl życia rodzinnego, opis pokojówek, kucharek i kamerdynerów, świetnie konstruowane, czy może raczej wzięte z własnego doświadczenia typy ludzkie, wiedza o egzotycznych czasach krajach, o wykopaliskach, truciznach – tych wszystkich tematów dostarczały jej własne przeżycia i wielka ciekawość świata. Dlatego realia w jej powieściach są wiarygodne. Opis wiktoriańskiego domu, pielęgnacja ogrodu, bohater, w którego wierzymy, bo spotkaliśmy kiedyś kogoś podobnego itd. – to wszystko bierze się z życiorysu Agaty Christie i wydaje nam się prawdą. Tym łatwiej wtedy autorce wmówić nam najbardziej karkołomne intrygi kryminalne, zbudowane w dodatku tak, żebyśmy nie zgadli „kto zabił”. Duża księga, ale warta przeczytania.



Krystian Hadasz:
Uroczysta zmiana zdania.
Wyd. Miniatura, Kraków 2014,
s. 40.

Autor, siemianowiczaniec, z wykształcenia muzykolog i muzeolog, jest dyrektorem Muzeum Miejskiego w Siemianowicach Śląskich. Wydał wcześniej cztery książeczki poetyckie, wiersze publikował również w prasie, z satysfakcją odnotowując, że również w naszym miesięczniku. W nocie na końcu tomiku Krzysztof Lisowski stwierdza: „Ta poezja (...) pięknie i twórczo nawiązuje do postulatycznej liryki Nowej Fali”. Pięknie – wypada się z tym zgodzić. Poetom dedykuję wiersz Hadasza *Paragraf*: „Zakazuję używania w poezji/ porównania *jak ptak/ Zakazuję używania w poezji/ porównania jak dziecko/ Zakazuję używania w poezji/ metafor lustra i drogi/ Stanowczo zakazuję/ kwestionowania/ tych zakazów/ W przeciwnym razie będę zmuszony/ do cofnięcia ich z bólem/ i pogodzenia się z Mistrzem Mironem:/ ja i moja jama/ ja-i-mo-ja-ja-ma/ jaimojajama.*”

NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:

Wiesława Konopelska

Jan Picheta

Joanna Kotkowska

Janusz Wójcik

Maria Szuka

Jacek Sikora

Pod patronatem „Śląska”

XXVI Międzynarodowy Festiwal Młodych Laureatów Konkursów Muzycznych

KATOWICE. Międzynarodowy Festiwal Młodych Laureatów Konkursów Muzycznych organizowany jest od 1991 r. przez Instytucję Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia”. Jego ideą przewodnią jest zaprezentowanie w Katowicach szerokiego grona utalentowanych, młodych artystów i stworzenie im możliwości konfrontacji umiejętności, wypracowanych indywidualnych interpretacji z koncertową rzeczywistością. By zaprezentować jak najwyższy poziom artystów, „Silesia” współpracuje z Międzynarodowym Konkursem Wokalnym im. Imricha Godina „IUVENTUS CANTI”, Międzynarodowym Festiwalem i Konkursem Sztuki Wokalnej im. Ady Sari, Międzynarodowym Konkursem Muzycznym im. Michała Spisaka, Festiwalem Pianistyki Polskiej „Estrada Młodych”, Akademickim Konkursem Klawesynowym, Śląską Jesienią Gitarową – Międzynarodowym Festiwalem i Konkursem Gitarowym im. Jana Edmunda Jurkowskiego. Inauguracja koncertu odbędzie się 9 października w Sali koncertowej Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach, a jego solistami będą pianistka Joanna Domańska, klarnecista Roman Widaszek i waltornista Tadeusz Tomaszewski oraz laureat tegorocznego Międzynarodowego Konkursu Muzycznego ARD Monachium.

16 października – również w AM – wystąpi akordeonista Marcin Wyrostek wraz z zespołem Coloriage, zaprezentują oni widowisko muzyczno-świetlne dedykowane dzieciom. Odbędą się również koncerty w cyklu „Muzyka za przewodnika” – będą to koncerty w kaplicy Kurii Metropolitalnej w Katowicach oraz w Bazylice oo. Franciszkanów w Katowicach-Panewnikach.

18 października w Muzeum Archidiecezjalnym w Katowicach będzie miało miejsce prawykonanie utworu Benedykta Konowalskiego „Concertino”.

To tylko wybrane pozycje z bogatego programu festiwalu, który wkrótce zostanie opublikowany przez Organizatora.

Koncerty „Festiwalu Młodych” często przybierają atrakcyjną formułę, z myślą o melomanach i ich różnych upodobaniach. Festiwal rozpocznie się 9, a zakończy 23 października br.

Muzeum Historii Katowic wśród najlepszych muzeów w Polsce

KATOWICE. W rankingu muzeów prowadzonych przez miasta wojewódzkie, opracowanym przez pismo samorządu terytorialnego „Wspólnota”, Muzeum Historii Katowic znalazło się w pierwszej dziesiątce, na chlubnym 7. miejscu. Ranking otwiera na pierwszych miejscach Muzeum Powstania Warszawskiego w Warszawie, a kolejne pozycje zajmują: Europejskie Centrum Solidarności w Gdańsku, Muzeum Okręgowe w Toruniu, Muzeum Okręgowe im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy, Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie (MOCAK) i Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi. Autor komentarza Dominik Krzysztofowicz w artykule



Leon Wyczółkowski, grafika

Fot. z mat. Muzeum Górnośląskiego

pt. „Kulturalne perły” napisał: „Polskie muzea nie odbiegają, a często nawet przewyższają swoją ofertą czy podejmowanymi działaniami edukacyjnymi placówki europejskie. Świadczą o tym liczne nagrody”. Analizowano m.in. kwestie finansowe, liczbę odwiedzających, ofertę programową, dodatkowe wydarzenia. Niestety, w pierwszej dziesiątce rankingu muzeów prowadzonych przez województwa nie znalazło się chociażby Muzeum Śląskie.

Rewelacyjny Wyczółkowski w Muzeum Górnośląskim

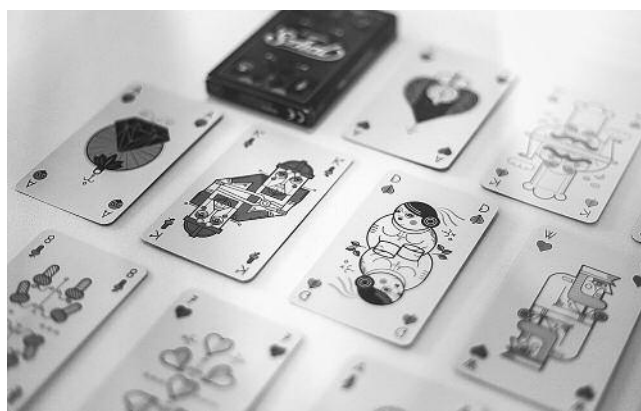
BYTOM. Leon Wyczółkowski – jeden z najwybitniejszych artystów polskich – zapisał się w historii sztuki nie tylko jako znamienity malarz. Ponad 30 lat swojego życia poświęcił na zgłębianie i udoskonalanie technik graficznych. Dzięki osiągniętemu kunsztowi nazywany jest dziś ojcem nowoczesnej grafiki polskiej. Wystawa w Muzeum Górnośląskim prezentowana będzie do 31 grudnia. Pokazano na niej właśnie tę mniej znaną, upatniwioną rezygnującą z koloru twórczość „Wyczółła”. Ekspozycja *Wystarczy światło i czerń. Leon Wyczółkowski* upamiętnia 80. rocznicę śmierci artysty i jest jedną z większych prezentacji jego grafik w polskich muzeach.

Na ekspozycji prezentowane są autolitografie z ekskluzywnego wydania Teki Stowarzyszenia Artystów Grafików Polskich, a także prace z Tek: Huculskiej, Ukrainkiej, Mariackiej, Lubelskiej, Litewskiej, Wawel, Wspomnienia z Legionowa, Wrażenia z Pomorza. Wszystkie prace pochodzą ze zbiorów Muzeum Górnośląskiego.

Na początku XX wieku, po wielu latach uprawiania malarstwa i osiągnięciu sławy w tej dziedzinie, w życiu Leona Wyczółkowskiego rozpoczął się ponad 30-letni okres fascynacji grafiką. Mistrz pędził rok za rokiem rezygnował z barw, upatniwioną w brązach i szarściach, a ostatecznie w świetle oraz czerni doskonały środek ekspresji. Rozwijał sztukę rysunku i testował możliwości algrafii, akwatinty, fluoroforty, miękkiego werniksu, wreszcie ukochanej litografii. Kilkadziesiąt prac artysty z lat 1903–1931, z których większość nie była dotąd prezentowana, to esencja jego graficznej twórczości. Teki graficzne odzwierciedlają umiłowanie przyrody, baczna obserwację miejsc i ludzi, ogromną wrażliwość na niuanse świetlne i niesamowitą sztukę „Wyczółła”, pozwalającą na żonglowanie rozwiązaniami formalnymi i technicznymi. Eksperymentowanie doprowadziło go ostatecznie do kolorystycznej ascezy i wyboru jedynie achromatycznych barw. Odkrycie, jakiego dokonała konserwator Milena Suwalska w trakcie przygotowań do wystawy, pozwala jeszcze lepiej poznać warsztat mistrza. Oto na odwrocie widoku Lublina odsłonięty został graficzny motyw do malarskich kadrów z Ukrainy. Obydwie prace, znajdujące się na tym samym arkuszu, oddziela (bagatela) siedmioletni okres czasu. Odkryta praca stanowi szkic do obrazu *Kopanie buraków* z 1911 roku znajdującego się w Muzeum Narodowym w Warszawie. Wystawa przygotowana przez Agnieszkę Bartków z okazji przypadającej 27 grudnia br. 80. rocznicy śmierci artysty stanowi jedno z najważniejszych wydarzeń w programie Muzeum Górnośląskiego. Uzupełnia twórczość malarską Wyczółkowskiego stale obecna w Galerii Malarstwa Polskiego. Temu znaczącemu przedsięwzięciu towarzyszą liczne spotkania, oprowadzania kuratorskie i działania edukacyjne.



Jakub Przebindowski



Dominik Gajda

Fot. materiały Zankla Cieszyn

Dotacja MKiDN dla Muzeum Górnos Śląskiego!

BYTOM. Muzeum Górnos Śląskie otrzymało dotację Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach projektu Kultura Cyfrowa na realizację projektu „Klisze pamięci – śladem górnos Śląskiego sacrum”. Dotacja przyznana instytucji na 2016 rok wynosi 55 tysięcy złotych. Trzyletni projekt „Klisze pamięci – śladem górnos Śląskiego sacrum” zakłada analizę, digitalizację i udostępnienie archiwalnych fotografii zachowanych w postaci szklanych klisz w zbiorach Muzeum Górnos Śląskiego. Na około 1600 kliszach z lat 1900–1939 zarejestrowane zostały górnos Śląskie obiekty sakralne wraz z ich wyposażeniem, życie wspólnot parafialnych, stowarzyszeń (maryjnych, śpiewaczych). Założeniem projektu jest stworzenie interaktywnej mapy z lokalizacją zabytków, tras zwiedzania wokół obiektów (w tym tras tematycznych) oraz ikonografii parafii. Projekt będzie w części adresowany do osób niewidomych lub niedowidzących, stanowiąc wprowadzenie do poznawania architektury sakralnej regionu i jego historii. Licznym i zróżnicowanym działaniem edukacyjnym towarzyszyć będzie przygotowanie archiwum historii mówionej. Materiał uzyskany w procesie digitalizacji zasili m. in. zbiory publiczne EUROPEANA. Współpracę przy projekcie podjęły m.in.: Muzeum Historii Fotografii w Krakowie, Polski Związek Niewidomych Okręg Śląski, Związek Polskich Artystów Fotografików oraz Oddział PTTK w Bytomiu. Projekt Muzeum Górnos Śląskiego został przez MKiDN oceniony wysoko – otrzymał 75,40 punktów, zajmując 21 pozycję wśród 111 zgłoszonych wniosków.

Pod patronatem „Śląska”

„Miasto O.” Jakuba Przebindowskiego

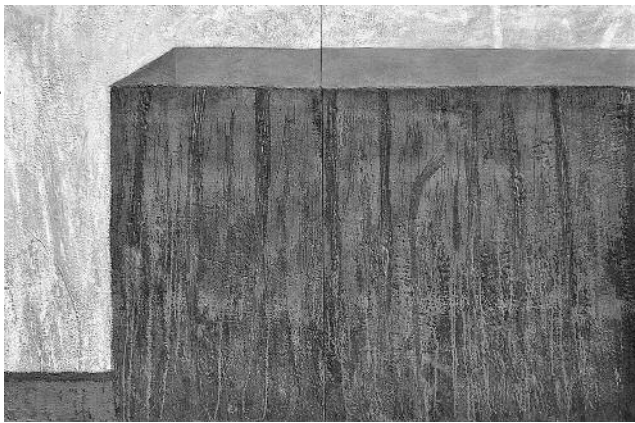
OPOLE-WARSZAWA. Książka „Miasto O. Pocztówkowy alfabet Opola” to album opowiadający o historii zjawisk społecznych i kulturowych na przestrzeni lat 1945–1979, mających miejsce w Polsce na przykładzie miasta Opola. Poruszane tematy w tym albumie dotyczą architektury – modernizmu lat 60., 70., zagospodarowania przestrzeni miejskiej, murali, neonów, ale też pierwszych sklepów samoobsługowych, budynków użyteczności publicznej – hoteli, szkół, amfiteatru, teatru, kin a także ulicznych saturatorów, charakterystycznych nazw ulic, życia nocnego, działalności gastronomicznej itd. Ważnym aspektem jest tworzenie się po 1945 roku nowej społeczności i tożsamości tego miasta, na styku dwóch kultur i tradycji – śląskiej oraz kresowej. Album zawiera bogatą ikonografię, którą stanowią pocztówki ze zdjęciami Opola z lat 1945–1979 reprodukującymi zdjęcia wielu wybitnych polskich fotografików pejażystów z Janem Bułhakiem, Edwardem Falkowskim, Adamem Śmietańskim, Krzysztofem Seko na czele a także innymi mistrzami fotografii działającymi w tamtych latach. Oprócz historycznych informacji i metaforycznych zapisków autora, publikowane są również rewersy prezentowanych pocztówek, dzięki którym można w odmienny sposób prześledzić zmiany kulturowe i obyczajowe minionych dekad. Premiera książki „Miasto O. Pocztówkowy alfabet Opola” odbędzie się w Opolu 20 października oraz w Warszawie w listopadzie 2016 r.

Autor książki – Jakub Przebindowski jest aktorem, autorem sztuk teatralnych i muzyki pisanej dla teatru, reżyserem, urodzonym w Opolu, absolwentem Wydziału Aktorskiego PWST w Krakowie oraz szkoły muzycznej I i II stopnia w klasie fortepianu i fletu w Opolu. Na dużym ekranie zadebiutował rolą *Julka Maleckiego* w filmie „Wielki Tydzień” w reżyserii Andrzeja Wajdy. Kolejne role to m.in. *Andrzej Gołębek* w „Ślawie i chwale” w reż. Kazimierza Kutza, *Stanisław Mientewski* w „Bigda idzie” (reż. Andrzej Wajda), *ksiądz Wikary* w „Katyniu” Andrzeja Wajdy, *Pulkownik* w „Przedwiośniu” (reż. Filipa Bajona), *Spinoza* w „Szyzyfowych pracach” (reż. Pawła Komorowskiego), *Ludwik Starski* w „Listopadzie” (reż. Mikołaja Grabowskiego, Teatr TV) i inne. Popularność przyniosły mu role w serialach TV. W latach 1999–2003 był aktorem Teatru Nowego w Łodzi. Od 2003 roku jest aktorem Narodowego Starego Teatru w Krakowie. Jest autorem biograficznej sztuki *Antoine* o życiu słynnego paryskiego fryzjera Antoniego Cerplikowskiego. Kolejne sztuki to m. in. *Botox*, *Hiszpańska Mucha*, *Lunch o północy*. W 2009 roku wydał zbiór wierszy dla dzieci *Dzikie zwierzenia i inne zdarzenia*.

„Śląska Rzecz 2015” w Muzeum Śląskim

KATOWICE-CIESZYN. Po raz 11. Zamek Cieszyn, organizator konkursu „Śląska Rzecz”, poszukiwał najbardziej innowacyjnych i użytecznych produktów, projektów graficznych i usług wdrożonych w regionie. Projekty nagrodzone w konkursie oraz te, które jury zakwalifikowało do prezentacji, można zobaczyć na wystawie goszczącej w Muzeum Śląskim. Ten, jak dotąd jedyny regionalny konkurs dizajnu w Polsce nagradza nie tylko świetne pomysły – ważna jest przede wszystkim jakość ich wdrożenia, gdyż dobrze zaprojektowane produkty czy usługi przynoszą korzyści wszystkim. Wśród zaprezentowanych obiektów na wystawie w Muzeum Śląskim znajdują się m.in.: Laser X-Liner 4.1, zwycięzca konkursu w kategorii „produkt”, służący do niwelacji pionowej i poziomej terenu oraz wyznaczania poziomu na obiektach oddalonych od siebie. Wyróżnia się również formą naśladującą precyzyjne urządzenie optyczne. W kategorii „grafika użytkowa” zwyciężkim projektem okazała się wystawa prezentowana w Galerii Miasta Ogrodów „Apetyt na radykalną zmianę. Katowice 1865–2015” pokazująca, jak w nieoczywisty, ale czytelny i angażujący odbiorców sposób opowiadać historię miasta za pośrednictwem wizualizacji danych liczbowych, map i diagramów. W tegorocznej edycji „Śląskiej Rzeczy” jury nie przyznało nagrody głównej w kategorii „usługa”. Wręczono jednak cztery nagrody specjalne w dwóch pozostałych kategoriach. W kategorii „produkt” Zamek Cieszyn nagroził kolekcję wzorów mozaiki „Etno”, powstającą ze szkła pochodzącego całkowicie z recyklingu. Projekt doceniono za inspirowanie się śląskimi tradycjami hafciarskimi, a także twórcze łączenie rzemiosła z nowymi metodami produkcji. Z kolei Fundusz Górnos Śląski przyznał nagrodę robotowi rehabilitacyjnemu Luna EMG, który umożliwia diagnozowanie osób cierpiących na schorzenia nerwowo-mięśniowe.

Dwie nagrody specjalne w kategorii „grafika użytkowa” otrzymały: książka „Mocne stąpanie po ziemi” wydana przez BWA w Katowicach oraz karty do gry „Szkat” od Gryfnie. Nominację uzyskał także system informacji wizualnej w Muzeum Śląskim wraz z dostępnością Muzeum dla osób z dysfunkcjami ruchu, wzroku oraz słuchu.



Tomasz Lubaszka, KONTENER II, 140x210



Mural Gerarda Cieślíka w Chorzowie

Z kolekcji Tomasza Maczugi

KATOWICE. Muzeum Śląskie zaprasza na pierwszą odsłonę wyjątkowej, kameralnej ekspozycji grafik pochodzących z XVII–XIX wieku z bogatej kolekcji krakowskiego antykwariusza. Wśród dzieł o różnorodnej tematyce znajdują się zarówno grafiki uznanych mistrzów, jak Thomas Cook, Erich Dahlbergh czy Bernard Picart, jak i prace mniej znanych grafików, wykonane w różnych technikach. Znacząca część kolekcji, tworzonej latami przez wybitnego znawcę dawnej sztuki graficznej i książkowej – dr. inż. Tomasza Maczugę, została подарowana do zbiorów Muzeum Śląskiego w 2015 r. Na unikatowość zbioru ma wpływ fakt, że został w całości zgromadzony przez znawcę tematu, w sposób przemyślany i konsekwentny. Nie jest to jedyny dar Tomasza Maczugi, którego wielką pasją były książki, kolekcjonerstwo grafiki artystycznej i reprodukcyjnej. W 2010 r. przekazał Bibliotece Muzeum Narodowego w Warszawie 354 woluminy tego typu dokumentów. Ponad 1000 katalogów zagranicznych domów aukcyjnych, antykwariatów i galerii ofiarował Bibliotece Narodowej w Warszawie, z kolei Centrum Badawczemu Bibliografii Polskiej Estreicherów, działającemu przy Uniwersytecie Jagiellońskim, подарował stare katalogi dotyczące poloników. Na wystawie zobaczymy kilkanaście grafik o tematyce alegorycznej, rodzajowej, mitologicznej, a także portrety i mapy wojenne, wykonane głównie w technice miedziorytu. Wszystkie cechuje wysoki poziom artystyczny pod względem rysunku, jak i jakości samych odbitek graficznych. Są wśród nich prace będące znakomitymi rycinami powstałymi na podstawie istniejących obrazów olejnych znanych mistrzów, m.in. Williama Hogartha. Na szczególną uwagę zasługują również dwie mapy wykonane przez Ericha Dahlbergha, szwedzkiego grafika, specjalistę w budowie fortyfikacji, który z wojskami Karola Gustawa uczestniczył w kampanii polskiej i duńskiej. Według jego rysunków powstały miedzioryty przedstawiające plany bitew, miasta, a także widoki z tego okresu.

Tomasz Lubaszka jubileuszowo

CZĘSTOCHOWA. Na jubileuszową wystawę prac Tomasza Lubaszki zaprasza Miejska Galeria Sztuki. Tomasz Lubaszka jest malarzem o bardzo bogatym dorobku artystycznym i ustalonej, wysokiej pozycji w polskiej sztuce współczesnej. Urodzony w 1961 r. (do tej daty nawiązuje tytuł wystawy, druga liczba oznacza jubileusz pracy twórczej), ukończył Liceum Ogólnokształcące w Lublińcu w klasie o profilu humanistycznym. Od 1980 do 1984 roku studiował w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Częstochowie w Instytucie Wychowania Artystycznego. Dyplom z malarstwa obronił w pracowni profesora Wincentego Maszkowskiego w 1985 roku. W latach 1984–1986 pracował w macierzystej uczelni jako stażysta-asystent. Jego prace trafiły do najlepszych galerii w Polsce, wystawiał też za granicą. W swoim dorobku ma ponad sto wystaw indywidualnych, udział w 120 wystawach zbiorowych oraz liczne nagrody i wyróżnienia, w tym m.in. nagrody w Ogólnopolskiej Wystawie Malarstwa „Bielska Jesień” w Bielsku Białej, nagroda w Ogólnopolskim Konkursie Malarskim na Obraz im. Jana Spychalskiego w Poznaniu, nagroda w „Integracjach Plastycznych” w Częstochowie oraz wyróżnienie w II Trien-

nale Plastyki „Sacrum” w Częstochowie. Znakomity artysta, twórca oryginalnego, niepowtarzalnego warsztatu, posługujący się piaskiem jako tworzywem i dzięki temu uzyskujący niezwykle efekty faktury i siłę wyrazu. Jak pisze krytyk sztuki Stanisław Gieżyński: „Malarstwo Tomasza Lubaszki fascynuje swym dostojnością, podniosłym nastrojem i urodą formalną. Jest rzadkim na naszym gruncie przykładem tak oryginalnej i twórczej koncepcji malarstwa materii (...) Znakomicie opanowany i oryginalny warsztat artysty oraz własne sposoby malowania, w połączeniu z wyrafinowanym wyszukaniem czysto malarskiego wizerunku i kształtowania tej wizji na płótnie, decydują o tak intensywnym działaniu tych obrazów”. Kolejnym wyróżnikiem jego prac jest wykorzystywanie w obrazach uniwersalnych symboli, zaczerpniętych z różnych kultur oraz narycyjnych odniesień kulturowych.

Powstał mural Gerarda Cieślíka

CHORZÓW. Oprawy meczowe, sprzęt dla drużyny, remonty stadionów... te i wiele innych działań realizuje właśnie 35 klubów sportowych w całej Polsce. To finał akcji „Tyskie – wspieramy emocje”, w ramach której kibice zbierali kapsle po piwie Tyskie. W zamian za nie Tyskie przekazało drużynom finansowe wsparcie. To właśnie dzięki niemu w Chorzowie powstał mural upamiętniający Gerarda Cieślíka. Na miejsce upamiętnienia znakomitego piłkarza Gerarda Cieślíka wybrano dziesięciometrową ścianę kamienicy mieszczącej się przy ul. Miarki 21 w Chorzowie. Wielkie malowanie rozpoczęło się 5 sierpnia. Pracami kierował „Bolo” – chorzowianin, absolwent Ogólnokształcącej Szkoły Sztuk Pięknych w Katowicach.

Tychy i tyszenie w latach II wojny światowej

TYCHY. „Tychy i tyszenie w latach II wojny światowej” to tytuł nowej wystawy w Muzeum Miejskim w Tychach, którą można oglądać w Starym Magistracie (pl. Wolności 1). Ekspozycja ma na celu pokazanie tyskiej historii w latach okupacji niemieckiej oraz pamiętek z lat wojny pochodzących od rodowitych tyszan, jak również tych, których różne koleje losu sprowadziły po wojnie właśnie do Tychów. Zwiedzający przeniosą się do czasów, gdy Tychy były małym, ale prężnie rozwijającym się miasteczkiem, którego mieszkańcy z trudem próbowali przetrwać trudny okres wojny, a władze niemieckie pracowały nad urbanistycznymi planami rozbudowy miasta. Wystawa przypomina również o wydarzeniach na trwałe zapisanych w historii miasta, takich jak walki na terenach Żwakowa we wrześniu 1939 roku i egzekucja więźniów obozu KL Auschwitz wykonana w Tychach we wrześniu 1944 roku. Wystawa potrwa do 30 grudnia 2016 roku.

Leonardo inspiruje

BIELSKO-BIAŁA. „Kwadratura koła” to tytuł wystawy prac artystów z londyńskiej grupy „Page 6” w Galerii Bielskiej BWA, która potrwa od 1 do 25 września br. Grupę „Page 6” założył w 2010 r. Wojciech Antoni Sobczyński. Na początku składała się z sześciorga artystów



Glówny plac w Tychach z dochodzącymi do niego ulicami Adolfa Hitlera i Horsta Wessela (obecnie ul. Kościuszkii i ul. Sienkiewicza), ok. 1940. Zbiory MM Tychy

polskiego pochodzenia, osiadłych w Londynie. Obecnie tworzą ją: Joanna Ciechanowska, Agnieszka Handzel-Kordaczka, Carolina Khouri, Paweł Kordaczka i Wojciech Antoni Sobczyński. Prace są efektem poszukiwań twórczych, odnoszących się do tytułowego problemu. Jak twierdzi założyciel grupy, pomysłodawca i kurator wystawy W. A. Sobczyński, punktem wyjścia stał się paradoks matematyczny. Jego symbolicznym obrazem jest genialny rysunek Leonarda da Vinci, który określił proporcje ludzkiego ciała, wpisując je równocześnie w koło i kwadrat. Członkowie grupy podjęli próbę własnej interpretacji tej matematycznej sprzeczności. Nie narzucali sobie ograniczeń stylistycznych, a różnice indywidualnej wypowiedzi artystycznej miały prowadzić ich do różnorodności rozwiązań przywołanego problemu. Jedynym warunkiem było zastosowanie wymaganych rozmiarów płócien, takich samych dla wszystkich. Projekt „Kwadratura koła” składa się z 20 obrazów o wymiarach 100x100 cm każdy. Poprzez ostateczne połączenie poszczególnych prac w jedną całość, nawiązany został twórczy dialog wielopłaszczyznowej ekspozycji i intelektualnej ekspresji artystów – powiada W. A. Sobczyński.

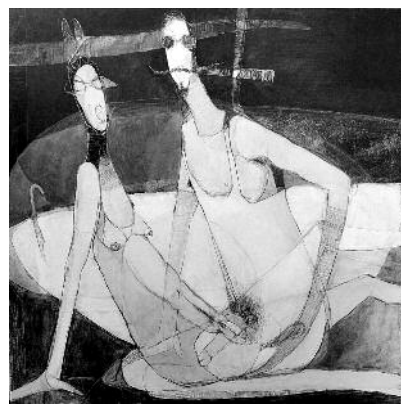
Finisaż w BWA

BIELSKO-BIAŁA. 25 sierpnia w Galerii Bielskiej BWA odbył się finisaż pn. „Kolekcja Sztuki Galerii Bielskiej BWA – Pokaz 4.” Ekspozycja prezentowała dzieła sztuki malarskiej, rzeźbiarskiej, graficznej, fotograficznej i wideo zakupione w ostatnich pięciu latach. Dyrektorka i kuratorka wystawy Agata Smalcerz podczas finisażu opowiadała o pracach oraz ich twórcach. Ujawniła, że na wystawie przedstawiono prace artystów związanych w różnym czasie z Galerią Bielską BWA, którzy wystawiali tu indywidualnie lub uczestniczyli w wystawach zbiorowych.

Agata Smalcerz stwierdziła, że w sali dolnej wybrała prace odnoszące się do egzystencji człowieka, problemów związanych z dorastaniem i przeżywaniem kolejnych okresów życia, relacji z innymi, lękami i przesadami. W sali górnej zaprezentowała prace dotyczące związków człowieka z naturą, metafizyką, religią, a także odwołań do historii kultury. Pokazano ponad sto dzieł z kolekcji liczącej 905 prac. Podczas finisażu prezentowano nowe koszulki i torby z reprodukcjami wybranych prac z galeryjnych zbiorów.

Dotyk sztuki

BIELSKO-BIAŁA. 25 sierpnia br. w Galerii Bielskiej BWA aktywowano otwartą bezpłatną strefę informacji cyfrowej na smartfony. Wybierając Wi-Fi o nazwie DOTKNIJ SZTUKI BWA na placu za galerią, bez konieczności posiadania Internetu czy instalowania aplikacji, miłośnik sztuki otrzyma dostęp do najciekawszych dzieł z kolekcji sztuki galerii oraz aktualnych wydarzeń. Wystarczy wpisać w przeglądarce www.brutalnybeton.com. Jak twierdzi dyrektorka Galerii Bielskiej BWA Agata Smalcerz, Wi-Fi DOTKNIJ SZTUKI BWA, dzięki wspomaganiam technologii NFC, umożliwia także uzyskanie informacji o historii wzorów wrytych na kafkach w betonowych podstawach ceramicznych ławek na placu przed galerią. Wystarczy zbliżyć swój smartfon do białej kropki znajdującej się na środku kafki. DOTKNIJ SZTUKI BWA to innowacyjny projekt



Fot. z mat. BWA Bielsko-Biała

Agnieszka Handzel-Kordaczka
akryl na płótnie 100x100

autorstwa Michała Hyjka, absolwenta krakowskiej ASP, prekursora idei darmowego, nieograniczonego dostępu do informacji cyfrowej w przestrzeni miejskiej.

Pięćdziesiąt ksiązek

CZECHOWICE-DZIEDZICE. Ukazał się drugi tom *Słownika biograficznego. Czechowice-Dziedzice, Bronów, Ligota, Zabrzeg*. Jest to praca zbiorowa pod egidą Towarzystwa Przyjaciół Czechowic-Dziedzic. Książka stanowi kontynuację pierwszej części *Słownika* wydanego w 2014 r. Prezentuje 85 biografii znanych mieszkańców gminy Czechowice-Dziedzice. Słownik ma zarazem charakter jubileuszowy, gdyż jest 50. pozycją wydaną przez Towarzystwo Miłośników Czechowic-Dziedzic. Książka kosztuje 40 zł i można ją kupić w czechowickiej Izbie Regionalnej i Księgarni na Lesisku.

Grafika zza Olzy

CIESZYŃ. Uniwersytet Wrocławski, Polsko-Czeskie Towarzystwo Naukowe oraz Solidarność Polsko-Czesko-Słowacka przygotowują I Kongres Czechoznawstwa Polskiego. Konferencje, seminaria, spotkania, wystawy i inne imprezy odbędą się we Wrocławiu, Szczecinie, Poznaniu, Wałbrzychu, Opolu, Oleśnie, Prudniku oraz Cieszynie. W ramach kongresu w grodzie nad Olzą od 8 do 15 września zorganizowana została wystawa przygotowana przez tamtejsze Muzeum Drukarstwa w Galerii „Przystanek Grafika”. Prezentowane były małe formy graficzne i ekslibrisy, które ujawniają, jak zmieniła się czechosłowacka i czeska grafika w ostatnich latach, a także prace Polaków mieszkających na lewym brzegu Olzy, jak Tadeusz Berger, Zbigniew Kubezka, Bronisław Liberda czy innych twórców związanych ze Śląskiem Cieszyńskim.

Dar dla muzeum

CIESZYŃ. Podczas wakacji Muzeum Śląska Cieszyńskiego otrzymało w darze sztandar Oddziału Ziemi Cieszyńskiej Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. Jak twierdzi Irena French z cieszyńskiej placówki muzealnej, sztandar – wysyty w Makowie Podhalańskim i poświęcony 11 listopada 1992 r. podczas ekumenicznej mszy świętej w Brennej – zajmie zaszczytne miejsce w zbiorach Działu Historii Muzeum Śląska Cieszyńskiego. Decyzję o przekazaniu sztandaru do muzeum podjęli Marian Tomiak oraz Leszek Duda, ostatni żyjący członkowie oddziału.

O życiu satyrycznie

CZĘSTOCHOWA. W ramach akcji *Aleje – tu się dzieje!* 8 sierpnia na scenie między Ratuszem a Odwachem zaśpiewał Marek Majewski, kiedyś związany z zespołem Zegar z kukulką, kabaretami: Pod Egidą czy Długi, współautor szopek noworocznych. Artysta wystąpił w cyklu przygotowanym przez Tomasza Kmiecika, pianisty Piwnicy pod Baranami, a przed laty jednego z organizatorów sceny Błazen,



Carolina Khouri *Where is Man* olej na płótnie 100x100



Marek Majewski

którego marzeniem jest zorganizowanie w Częstochowie sceny piosenki literackiej. Wcześniej jego zaproszenie przyjęli Wojtek Gęsiński i Leszek Wójtowicz. Był to drugi występ Marka Majewskiego w Częstochowie; pierwszy miał miejsce na juwenaliach w czasie stanu wojennego. Artysta kojarzony przede wszystkim z satyrą śpiewał o polityce i obyczajowości – o łapówkach, sześciolatkach i wychowaniu seksualnym. W programie znalazły się też utwory sentymentalne, piosenki dedykowane Jackowi Kaczmarskiemu, Bułatowi Okudźwie oraz Piotrowi Wysockiemu, a także dwa utwory tłumaczone: Jaromira Nohavicy oraz przebój Toto Cutugno. Jak na kabareciarza przystało Majewski dbał o kontakt z publicznością. Opowiadał anegdoty oraz zachęcał zebranych do wspólnego śpiewu.

Polska betonowych ogrodzeń

CZĘSTOCHOWA. Płoty i parkany mają w naszej kulturze znaczenie niebagatelne. To przeszkody pokonywane przez polityków, doskonała przestrzeń komunikacji dla zaangażowanych politycznie i społecznie graffitiarzy albo okazja zabazgrania pustki dla pospolitych wandalii. Nie powinno więc dziwić, że betonowe płoty zainteresowały także artystów. Janusz Oskar Knorowski, obecnie kierownik pracowni na Wydziale Malarstwa ASP w Warszawie, a w czasach licealnych gitarzysta zespołu T. Love, zajmuje się nimi od trzech lat.

Wystawę *Made in Poland* można było oglądać w Sali Śląskiej MGS, a jej drugą część nieco później w Konduktorowni. Według Knorowskiego betonowy płot to jedna z osobliwości polskiego krajobrazu, dlatego artysta zastanawia się nad konsekwencjami tego faktu. W MGS pojawiły się także inne prace, m.in. poświęcone brzożom (to drzewny chwast, bez którego trudno wyobrazić sobie krajobraz Europy Środkowo-Wschodniej). Wystawy zachęcały do refleksji również nad sztuką – czym jest? kiedy staje się publicystyką a kiedy zapisem współczesności... A ponieważ były one częścią projektu badawczego, zwiedzających poproszono o wypełnienie ankiet, które zostaną wykorzystane w książkowym podsumowaniu przedsięwzięcia, zapowiadanych na przyszły rok.

Tajemnice ogrodu sztuki

CZĘSTOCHOWA. W Sali Poplenerowej można było oglądać wystawę *W ogrodzie*, która była efektem projektu realizowanego przez Galerię 9 w Pradze, Biuro Wystaw Artystycznych w Kielcach oraz Miejską Galerię Sztuki w Częstochowie. Literackim wprowadzeniem był fragment *Ogrodu zakłętego* Bolesława Leśmiana, jednego z bardziej wrażliwych poetów na przyrodę i obecność w niej pierwiastków fantastycznych. Artysty skupili się na różnych aspektach ogrodu. Można było zobaczyć m.in. przepiękne ujęcia panoramiczne, japońskie ogrody Gennadija Alexandrowa, duchy ogrodu, piękne ogrodniczki, motywy natury oglądane jakby przez szkło powiększające (Zdzisław Wiatr). Były też autoportrety z ogrodem w tle oraz motywy rajskie (Jacek Sztuka). Różne techniki, a przede wszystkim wrażliwości artystów tworzyły również swego rodzaju ogród sztuki. Częstochowę reprezentowali: Anna Glińska-Kupczyk, Barbara Szczyg, Matylda Ślosarska, Jacek Sztuka, Zdzisław Wiatr. Z naszego miasta wystawa zostanie przewieziona do Kielc.

Animator edukacji muzycznej w Częstochowie

CZĘSTOCHOWA. W Gabinetce Wybitnych Częstochowian przez ostatnie miesiące można było poznać się z działalnością Ludwika Wawrzynowicza, dziadka Wandy Malko, doskonałej nauczycielki muzyki oraz monografistki życia muzycznego Częstochowy. Wawrzynowicz (1870–1957) przyjechał do naszego miasta jako dorosły mężczyzna w 1902 roku za namową prezesa Towarzystwa Śpiewaczego Lutnia, dra Józefa Pietrasiewicza, by objąć stanowisko dyrektora towarzystwa oraz dyrygenta. Na stałe powrócił w 1904 roku. Założył wtedy szkołę muzyczną i włączył się w życie kulturalne miasta, m.in. przez wiele lat był sprawozdawcą muzycznym „Gońca Częstochowskiego”, a od 1935 roku głównym muzykiem na Jasnej Górze. Organizował również koncerty i komponował. Partytury jego utworów znajdują się m.in. w Bibliotece Jasnogórskiej.

O kompozytorze opowiadała wnuczka oraz autor książki poświęconej jego pamięci, Janusz Jadczyk. Na wystawie zgromadzono wiele pamiątek, głównie ze zbiorów rodzinnych – dokumentów, zdjęć, przedmiotów związanych z muzyką.

Obiektywem o Jurze

CZĘSTOCHOWA. W czasie wakacji w Muzeum Częstochowskim wciąż można było oglądać prace młodzieży nagrodzone w konkursie *Jurajska przyroda w obiektywie*. Konkurs zorganizowano w trzech grupach wiekowych. Nadesłane prace oceniała w lutym komisja w składzie: prof. Janusz Maciej Hereźniak (geobotanik, dendrologii i fotografik przyrody, zmarły w marcu br.), Krzysztof Pierzgałski, Ilona Nawrot, dr Ewa Kaczmarczyk oraz Elżbieta Janik. Grand Prix i tytuł Młodego Fotografika Jurajskiej Przyrody 2015 otrzymała Martyna Terlecka za pracę *Ślimaki*. Tematem zdjęć były panoramicznie pokazywane krajobrazy, zwierzęta, rośliny, powiększone motywy przyrodnicze... Wystawa uświadamia nie tylko piękno okolic Częstochowy, ale również niezwykłą wrażliwość i spostrzegawczość młodych ludzi. Prace są także świadectwem podejmowanych przez nich prób metaforyzowania krajobrazu, o czym świadczą choćby nadawane pracom tytuły.

Inauguracja sceny Grotowskiego

OPOLE. Nowy sezon teatralny w Teatrze im. Jana Kochanowskiego w Opolu zainaugurowała premiera „Ślubu” Witolda Gombrowicza w reżyserii Anny Augustynowicz. Spektakl zaprezentowano publiczności na nowej scenie teatru. „Modelatornia” powstałej po kapitalnym remoncie dawnej teatralnej malarni, dostosowanej do nowoczesnych wymogów technicznych i estetycznych. „Modelatorni”, trzeciej scenie w „Kochanowskim”, będzie patronował Jerzy Grotowski – twórca o światowej sławie, wizjoner, reformator i „szarlatan” teatru, dyrektor eksperymentalnego Teatru 13 Rzędów, który działał w Opolu w latach 1958–1965. W niewielkiej siedzibie w Rynku miasta powstały spektakle Grotowskiego, oddające jego nowe twórcze idee m.in. *Akropolis* według Wyspiańskiego, *Tragiczne dzieje doktora Fausta* według Marlowe’a oraz *Studium o Hamlecie* według Shakespeare’a i Wyspiańskiego. Norbert Rakow-



Wernisaż fotografii Arkadiusza Goli

ski – dyrektor Teatru im. Jana Kochanowskiego zamierza udostępnić trzecią scenę młodym twórcom: poszukującym, eksperymentującym, którzy w ten sposób będą nawiązywać do działalności artystycznej Jerzego Grotowskiego, podczas jego pobytu w Opolu. Obecny na premierze wicemarszałek województwa opolskiego – Stanisław Rakoczy, gratulując artystom i dyrekcji teatru, podkreślił, że oddanie do użytku „Modelatorni” było możliwe dzięki dotacjom z budżetu Województwa Opolskiego i Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Udanej inicjatywy kulturalnej pogratulował gospodarzom również Henryk Mercik – członek zarządu województwa śląskiego. We wcześniej obaj samorządowcy odpowiadający za sprawy kultury w obu regionach doprowadzili do podpisania oficjalnej współpracy pomiędzy teatrami z województwa opolskiego i śląskiego. Kolejną premierą w Teatrze im. Jana Kochanowskiego będzie „Uroczystość” Thomasa Vinterberga i Mogensa Rukova w reżyserii Norberta Rakowskiego.

Rozśpiewane „Zamczysko”

DĄBROWA k. Opola. W romantycznej scenerii zamku w Dąbrowie aż do północy liczna publiczność oklaskiwała w pierwszy weekend września wykonawców „Zamczyska” czyli VIII Dąbrowskich Spotkań z Poezją Śpiewaną. Na zaproszenie Zbigniewa Janowskiego dyrektora Gminnego Ośrodka Kultury i Rekreacji na estradzie „Zamczyska” wystąpiło kilkunastu wykonawców piosenki autorskiej i poezji śpiewanej (soliści i zespoły), prezentujących różnorodny i ciekawy repertuar koncertów: Sylwia Janowska, Grzegorz Grunwald, Anna Ciaszkiewicz, Leonard Luther, Sklep z Ptasimi Piórami, Jarka i Magda, Aga Kostencka i Andrzej Marczyński, Celtic Tree, Kuba Blokesz, Jacek Stęszewski. Gwiazdami tegorocznego „Zamczyska” były znane zespoły: Zespół Reprezentacyjny (Jarosław Gugała, Filip Łobodziński, Tomasz Hernik, Marek Wojtczak) oraz Czerwony Tulipan (Stefan Brzozowski, Ewa Cichocka, Krystyna Świąteczka, Andrzej Czamara, Andrzej Dondalski). Oba od wielu lat z powodzeniem nagrywają płyty i występują na krajowych scenach. „Zamczysko” organizowane w formie przeglądu, odbywa się corocznie na scenie plenerowej w Dąbrowie obok zamku z XVII wieku, położonego na wzgórzu parkowym, stanowiącym romantyczną scenografię dla spotkań z poezją śpiewaną. Podczas tegorocznej edycji imprezy blisko tysiąc miłośników poezji śpiewanej, zasiadających na widowni, współtworzyło z wykonawcami znakomitą atmosferę koncertów. Niestety przyszłość „Zamczyska” staje pod znakiem zapytania w związku z kłopotami gminy Dąbrowa, która na skutek powiększenia jej kosztem granic Opola, utraci znaczną część swoich dochodów, co może skutkować likwidacją Gminnego Ośrodka Kultury i Rekreacji oraz obniżeniem wydatków na kulturę

Pod patronatem „Śląska”

Sosnowiecka Jesień Teatralna

SOSNOWIEC. 13 września ruszyła 2. Sosnowiecka Jesień Teatralna, jej pomysłodawcą i organizatorem jest Miejska Biblioteka Publiczna w Sosnowcu. Tegoroczna (druga) edycja poświęcona jest czo-



wiekowi-legendzie Zagłębia (i nie tylko) – Janowi Dormanowi. Założyciel i wieloletni dyrektor Teatru Dzieci Zagłębia w Będzinie, wybitny reżyser, pedagog i twórca eksperymentalnego teatru dziecięcego w Sosnowcu to postać pod każdym względem wyjątkowa, nie więc dziwnego, że tak, jak przed laty inspirował środowiska twórcze, tak nadal pamięć o jego działalności pobudza do działania. Od 13 września do 14 października będzie można poznać życie i twórczość „Czarodzieja z Będzina”. Pomogą w tym liczne warsztaty, wycieczka do teatru, spotkanie z aktorem, zajęcia plastyczne, spotkania edukacyjne. Szczegóły na stronie: www.biblioteka.sosnowiec.pl. Honorowym gościem będzie Iwona Dowsilas, córka Jana Dormana a także prezes Fundacji Jego imienia. Planowane przedsięwzięcia – jak zapewniają organizatorzy – będą nie tylko hołdem złożonym temu wybitnemu twórcy teatru w 30. rocznicę jego śmierci, ale też zachętą dla młodego pokolenia do aktywnego uczestnictwa w życiu kulturalnym miasta i regionu.

2. Sosnowieckiej Jesieni Teatralnej towarzyszy (Biblioteka Główna przy ul. Zegadłowicza 2) wystawa „Jan Dorman nosił teatr w sobie”, na której prezentowane są m.in. programy teatralne, fotsy, fragmenty dekoracji, kukielki, dokumenty, zdjęcia – użyzione Książnicy przez Fundację. Uzupełnieniem ekspozycji są zbiory własne Biblioteki. Wystawa będzie prezentowana do 10 listopada 2016 r.

Ostatnia zagłębiowska kopalnia

SOSNOWIEC. 8 września w Pałacu Schoena Muzeum w Sosnowcu odbył się wernisaż, fotografii Arkadiusza Goli (członka Związku Polskich Artystów Fotografików, fotoreportera Dziennika Zachodniego). Jest to zapis, obrazujący ludzi pracujących w kopalni węgla kamiennego „Kazimierz-Juliusz”, ostatniej kopalni działającej w Sosnowcu i Zagłębiu Dąbrowskim. Wystawa „Ogrodowa 1” (adres kopalni) jest artystycznym reportażem z pracy nie tylko pod ziemią, utrwała także trudne momenty związane z likwidacją kopalni, która w maju 2015 r. zakończyła wydobycie. Zapis ten – jak powiedział Paweł Dusza, dyrektor Muzeum w Sosnowcu Pałac Schoena – *jest bardzo ważny dla tożsamości naszego miasta i regionu.*

Wystawie towarzyszy piękny album, zawierający 80 fotografii przeplatanych cytatami wspomnień pracowników kopalni. Ekspozycję będzie można oglądać do 16 października W kolejnym numerze naszego pisma zamieścimy rozmowę z Arkadiuszem Golą.

Teatr Zagłębia rozpoczął jubileusz

SOSNOWIEC. 6 lutego 2017 r. Teatr Zagłębia skończy ... 120 lat. Do tego czasu w każdym miesiącu odbędą się wydarzenia zapowiadające urodziny, które uświetni uroczysta premiera. Sezon jubileuszowy rozpoczął 10 września marsz ulicami Sosnowca. Wzięli w nim udział bohaterowie wszystkich 17 aktualnie granych przedstawień Teatru Zagłębia, pracownicy teatru, wolontariusze, zainteresowani widzowie a nawet... wielbłądy. Na trasie można było spotkać m.in. wojska Szwajkera, Edwarda Gierka, Alojzego Korzeńca, a nawet Napoleona i ukraińskiego kozaka. W okolicach 6. dnia każdego kolejnego miesiąca Teatr Zagłębia zaskoczy nas wydarzeniami wpisującymi się w kalendarz jubileuszowy, ten swoisty prolog zwińczy

premiera w lutym, w dniu urodzin. Będzie to „Zemsta” Aleksandra Fredry wraz ze specjalnie napisanym na tę okazję prologiem. Wybór spektaklu jest nieprzypadkowy, bowiem to właśnie „Zemsta” 6 lutego 1897 r. uświetniła uroczyste otwarcie teatru w Sosnowcu.

Podwójny sukces sosnowieckiej biblioteki

SOSNOWIEC. 10 września w sosnowieckiej Muzie odbyła się uroczysta gala wręczenia nagród w plebisycie portalu CzasDzieci. pl SŁONECZNIKI 2016 na najbardziej rozwojowe inicjatywy dla dzieci. Zasięg? Całe Zagłębie i cały Śląsk! Wynik? Dwie nominacje dla MBP, które dzięki głosom rodziców i czytelników magicznie przemieniły się w nagrody publiczności! W kategorii JĘZYK – odpowiadającej rozwijaniu u dziecka inteligencji językowej – zwyciężyła zeszlorcna akcja letnia „Literackie lato grozy na wesoło”, natomiast w kategorii PRZYRODA, w której skupiono się na rozwijaniu inteligencji przyrodniczej milusińskich – konkurs plastyczno-ekologiczny „Zagroźeni ulubieńcy”. Podczas gali, wspartej honorowym patronatem i obecnością prezydenta Sosnowca Arkadiusza Chęcińskiego, dyplomy i kwiaty odebrała w imieniu całej instytucji dyrektorka MBP Elwira Kabat-Georgijewa.

W SKRÓCIE...

■ 7. Edycja Festiwalu Europejskich Szkół Artystycznych i Twórczości „Kręgi sztuki” odbywała się w Muzeum Historii Katowic.

■ Do Akademii video-artu i na spotkanie ze znanym i cenionym twórcą sztuki wideo Grzegorzem Sztwiertnią zapraszało Muzeum Śląskie.

■ Muzeum Śląskie zaprasza także na ekspozycję fotograficzną poświęconą pięciu sezonom badawczym krakowskich archeologów na agorze starożytnego miasta Nea Pafos na Cyprze. Zdjęciom prezentującym prace wykopaliskowe towarzyszą rzadko pokazywane szerokiej publiczności naczynia, z których najstarsze pochodzą z późnej epoki brązu.

■ W podgliwickim Pniowie zakończyły się badania archeologiczne, podczas których archeolodzy z Muzeum w Gliwicach natrafili na ślady siedziby, zamieszkiwanej przez lokalnych posiadaczy ziemskich w okresie średniowiecza.

■ 18–21 sierpnia w Katowicach odbywała się XI edycja Festiwalu Tauron Nowa Muzyka. Festiwal gościł ponad 60 artystów z całego świata.

■ Pod hasłem „Zielone Gliwice” 17 i 18 września odbywała się XIV edycja Gliwickich Dni Dziedzictwa Kulturowego – cieszące się wielką popularnością święto miłośników przeszłości i kultury

w tym roku przybliży dziedzictwo przyrody i problemy związane z jej ochroną zarówno w aspekcie historycznym jak i współczesnym.

■ W ramach akcji „Wolność Czytania” Muzeum w Chorzowie zorganizowało „Muzeum na Wolności”: Mówiona Historia – *Opowiedz nam swoją historię Chorzowa!*

■ Galeria Szyb Wilson zaprasza na dwa wernisaże: malarstwa „Kody Fizjonomii” (Albert Oszek, Marta Sala, Martyna Gaszczyk-Nowok, Piotr Kolanko oraz Marek Kamiński, Karol Wiczorek i Andrzej Urbanowicz) a także wystawę rzeźby Pawła Rubaszewskiego „Coś się zaczyna”.

■ Duet Sławomir Pezda (saksofon tenorowy) i Mateusz Gawęda (fortepian) bawił 25 sierpnia w bielskiej klubokawiarni Aquarium. Muzycy zagraли wspólne kompozycje oraz standardy jazzowe w nietypowych aranżacjach.

■ 14 sierpnia w kościele ewangelickim w Starym Bielsku i 21 sierpnia w katedrze św. Mikołaja odbyły się koncerty XVII Dni Muzyki Kameralnej i Organowej „Wakacje z muzą”. Koncertowała bielska Orkiestra im. Telemanna – organizator imprezy.

■ 2 września swoje urodziny obchodził w Galerii Bielskiej BWA performer Dariusz Fodczuk. Z tej okazji swoją sztukę performance’u przedstawili Arti Grabowski, Paweł Kwaśniewski, Artur Pałyga, Jerzy Surówka i sam 50-letni jubilat.

■ W bielskiej Galerii Fotografii B&B w DK Włókniarzy od 2 września do 1 października trwa wystawa dzieł Pawła Bogumiła. Nosi ona tytuł „inHuman”.

■ Od pierwszego do ostatniego dnia września w Bielskiej Witrynie Prezentacji Twórczości Artystycznej w Galerii „Ars Nova” wystawia swe prace bielska artystka Teresa Sztwiertnia.

■ Ukazała się książka dr Ewy Dąbrowskiej pt. „Cechy rzemieślnicze w Bielsku i Białej”. Bogato ilustrowana publikacja przedstawia życie cechów – m.in. rodzinne i towarzyskie – na podstawie zachowanych materiałów źródłowych.

■ 31 sierpnia Bractwo Rycerskie Zamku Będzin przygotowało na zielonych terenach przed filią biblioteki przy ul. Piłsudskiego w Sosnowcu Wielki Festyn Średniowieczny, wieńczący akcją letnią „Tam i z powrotem, czyli literacki wehikuł przygód”. Organizatorem imprezy była Miejska Biblioteka Publiczna w Sosnowcu.

■ 10 września w Muzeum Zamkowym w Będzinie, które świętuje 60-lecie działalności, po raz drugi odbył się „Ogród Sztuk”, na jednej z elewacji Pałacu Mieroszewskich pokazano instalację – dzieło florystów.

■ 8 września w Bibliotece Głównej w Sosnowcu odbyło się spotkanie autorskie z poetką Ewą Lipską. Rozmowę poprowadził Marian Kisiel.

■ W Muzeum Miejskim „SztYGarka” w Dąbrowie Górniczej gości malarstwo Anny Wolniaczyk. Wystawa nosi tytuł „Pejzaż osobisty”.

KATOWICE Miasto Ogródów

Dawniej CENTRUM KULTURY KATOWICE

26.11.2016 r, godz. 18.00

TEATR CAPITOL



DONALD CHURCHILL I PETER YELDOHAM

PRZEKRETNE DOKONAŁY

reżyseria
ANDRZEJ ROZHIN
przekład
KLAUDYNA ROZHIN

edma.art
impresariat

Patronat:



JP NIERUCHOMOŚCI
JUSTYNA PEŁC

POKÓJ, Halemba-Wirek, Rydułtowy, Sośnica, Ruch Śląsk, Wieszok, Krupiński – według doniesień „Dziennika Gazety Prawnej” z początku sierpnia właśnie te siedem kopalń miało się znaleźć w nieformalnej, rządowej liście zakładów przeznaczonych do likwidacji. Po wód? Nierentowność lub kończące się złoża.

PANUJE tu leczniczy klimat, a kąpiele w borowinie są wciąż lecznicze. Pod koniec lipca do Urzędu Gminy w Goczałkowicach-Zdroju wpłynęło pismo z Ministerstwa Zdrowia, w którym podsekretarz stanu Piotr Warczyński potwierdził, że gmina spełnia wymogi dotyczące zarówno czystości powietrza jak i natężenia hałasu, niezbędne, by móc zachować status miejscowości uzdrowiskowej. Czyli: gmina nie-

zmiennie może prowadzić lecznictwo uzdrowiskowe chorób ortopedyczno-urazowych, chorób układu nerwowego, chorób reumatologicznych oraz osteoporozy. Status ten był zagrożony – goczałkowska gmina trafiła bowiem na czarną listę Ministra Zdrowia. Aby pozostać „zdrojem” do końca 2016 roku Goczałkowice miały sobie poradzić z problemem przekroczenia stężeń zanieczyszczeń w powietrzu – dokładnie benzo (a)-pirenu i pyłu zawieszono – oraz poziomu hałasu. **PARAFIA** ewangelicka w Międzyrzeczu Górnym koło Bielska-Białej podnosi się po pożarze. W połowie lipca tego roku tujejszy kościół obchodził jubileusz 150-lecia istnienia, a kilka dni później, 28 lipca, w świątyni pojawił się ogień. Spłonęła cała zakrystia, wyposażenie i schody na ambonę. Prawdopodobną przyczyną pożaru było zwarcie instalacji elektrycznej. W Międzyrzeczu wszyscy doskonale pamiętają moment, kiedy w styczniu 1993 roku doszczętnie spłonął drewniany kościół katolicki. Wówczas z pomocą przyszli ewangelicy – przez siedem lat wierni z parafii rzymskokatolickiej mogli sprawować msze święte i nabożeństwa w świątyni ewangelickiej (w tym czasie trwała budowa nowego kościoła katolickiego, już murowanego). Pewno teraz ewangelicy będą mogli liczyć na podobne wsparcie swoich katolickich sąsiadów.

JEST jedną z najlepszych maturzystek w Polsce. Dominika Tylec, absolwentka II Liceum Ogólnokształcącego z Oddziałami Dwujęzycznymi im. Marii Konopnickiej w Katowicach, znalazła się w gronie 25. laureatów trzeciej edycji konkursu „Matura na 100 procent”. W tym roku na 258 372 zdających maturę, konkursowe kryteria spełniło zaledwie 48 młodych ludzi. Z tego grona wyróżnionych zostało 25 najlepszych z najlepszych. W tym gronie jest Dominika z Katowic. Pod koniec września wyjeżdża do Anglii, gdzie będzie studiować historię sztuki na Uniwersytecie Oksfordzkim.

DWORZEC kolejowy w Sosnowcu-Maczkach znów ma szansę się stać wizytówką sto-

licy Zagłębia Dąbrowskiego. Pod koniec sierpnia rozpoczął się bowiem jego remont, którego koszty szacuje się na 39 mln zł. Efekty poznamy za dwa lata. Odpowiedzialne za przywrócenie obiektowi świetności jest konsorcjum firm P.A. Nova, TWS GP i PI Socar. Zadanie to niełatwe, bo nie tylko pasjonaci kolei, ale i sosnowczanie, wiedzą, że była to prawdziwa kolejowa perełka. Dworzec kolejowy w Maczkach (dawna Granica) to końcowa stacja pierwszej w Królestwie Polskim Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej. Kiedy był otwierany w 1848 roku, znajdowały się tutaj specjalne apartamenty dla rodziny carskiej. Znaczenie stacji, a tym samym i dworca, znacznie zmniejszyło się po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. **ZŁOŻA** węgla kamiennego „Brzezinka 1”, położone we wschodniej części Mysłowic, m.in. pod takimi dzielnicami jak Kosztowy, Dzieńkowice oraz Brzęczkowie, przyciągają inwestorów. O fedrunek stara się m.in. Tauron Wydobycie. 22 sierpnia br. regionalny dyrektor ochrony środowiska w Katowicach wydał pozytywną decyzję środowiskową w tej sprawie. Teraz spółka musi wystąpić do ministra środowiska z wnioskiem o udzielenie koncesji na wydobywanie węgla kamiennego ze złoża „Brzezinka 1”. Planowane wydobywanie będzie prowadził Zakład Górniczy Sobieski z Jaworzna. Fedrunek ma ruszyć w 2020 r. Eksploatowane będą pokłady 301 i 304/2 systemem ścianowym na zawał, co budzi niepokój mieszkańców.

JANUSZ Strzelecki River to 80-letni podróżnik, mieszkaniec Rzymu, który od szesnastu lat podróżuje na rowerze po świecie. W tym czasie odwiedził ponad 150 krajów. W zeszłym roku rozpoczął trasę dookoła Polski. W sierpniu ambitny rowerzysta gościł w naszym regionie (m.in. w Beskidach i Raciborszczyźnie). Wyprawę po Polsce chce zakończyć w przyszłym roku. Podróżnik-rowerzysta planuje nawet podróż po Australii i Chinach, co zajmie mu około sześciu lat. Kolejnym celem, jaki sobie stawia, to objechanie w latach 2023-2024 Włoch. Nic dziwnego, bo – jak twierdzi – jeden z mnichów buddyjskich przepowiedział mu, że będzie żył 100 lat. Niestety, śląskie gazety donoszą, że u nas podróżnik grymasi i wybrzydza na przygotowywaną mu gościnność, szczególnie jedzenie. Z tych też powodów Urząd Marszałkowski Województwa Śląskiego wycofał swoje wsparcie dla kapryśnego podróżnika.

ZABÓJSTWO 19-letniego Dominika (doszło do niego 21 sierpnia), byłego piłkarza drużyn młodzieżowych GKS Katowice, które wstrząsnęło opinią publiczną, zdarzyło się w samym centrum Katowic, w oku kamer na 3 Maja, ulicy, która jest wizytówką miasta. I niedaleko komisariatu policji na Stawowej. Wszyscy zadają sobie pytanie, jak do tej bezsensownej śmierci mogło dojść i czy w Katowicach naprawdę można czuć się bezpiecznie?

TRZY banki chcą zainwestować w Parku Śląskim: Pekao SA, ING Bank, DGB Bank. To efekt ogłoszenia przez zarząd parku zamiaru emisji obligacji na kwotę prawie 150 milionów zł. Park poszukuje gotówki na rozwój. Informacja o emisji obligacji pojawiła się na stronie internetowej Parku Śląskiego 22 lipca. Na oferty zarząd czekał do 23 sierpnia.

POCHODZĄCY z Wodzisławia Śląskiego jeden z najśladniejszych polskich youtuberów, w ciągu doby – dzięki swoim fanom – zebrał aż 326 tysięcy 847 złotych i 64 grosze

na rzecz Górnośląskiego Centrum Zdrowia Dziecka. Chociaż ReZigiusz (Remigiusz Wierzoń) ma dopiero 20 lat, to nie tylko świetnie funkcjonuje na rynku, ale ma dobre serce. W zeszłym roku na Gwiazdkę, w podobnie błyskawiczny sposób, zebrał ponad 100 tys. dla szpitala w Jastrzębiu-Zdroju, wspierając oddział rehabilitacji. Tym razem środki pochodziły ze sprzedaży gadżetów z brandem #reZimyDobrem2016. Zasięg akcji w social mediach przekroczył 20 mln użytkowników. ReZigiusza wsparli nie tylko youtuberzy (jak Rojo, Nitrozyniak czy Isamu), ale też dziennikarka Martyna Wojciechowska i znany quadzista Rafał Sonik. Pieniądze w GCZD zostaną zainwestowane w budowę integracyjnego placu zabaw przy szpitalu.

MIESZKAŃCY gminy Suszec w powiecie pszczyńskim, gdzie znajduje się kopalnia Krupiński należąca do Jastrzębskiej Spółki Węglowej, są wstrząśnięci informacją, że zakład z końcem stycznia 2017 roku może zostać przekazany do Spółki Restrukturyzacji Kopalń. Zbawersowany jest wójt Suszecz, Marian Pawlas. Jego zdaniem ta decyzja jest zbyt pochopna. W związku z tym suszecki samorząd wystosował list do rady nadzorczej JSW, w którym sprzeciwia się planom likwidacji kopalni. Podobne pismo jest przygotowywane do premier Beaty Szydło.

TYLKO tyle, czy aż tyle? 650 mln zł – w takiej kwocie ostatecznie ma zamknąć się modernizacja Stadionu Śląskiego. Oznacza to, że wcześniej planowany budżet wzrośnie o 64 mln zł. Zgodnie z zapowiedziami władz województwa, prace budowlane mają zakończyć się w połowie czerwca 2017 roku, potem przyjdzie czas na odbiory, a na wrzesień przyszłego roku planowana jest ceremonia otwarcia. W „Kotle Czarownic” zainstalowanych zostanie ponad 54 tys. siedzik. Będzie to ten sam typ krzesłek, na których mieli okazję już siedzieć kibice podczas tegorocznych ME na stadionach w Nicei i Lyonie. Krzeselka będą żółto-niebieskie, podobnie jak bieżnia lekkoatletyczna, sprawa kolorystyki – jak mówią specjaliści – nie jest jeszcze zamknięta, bo niebieski ma wiele odcieni.

PÓŁ setki połamanych drzew, zniszczone ogrodzenia, uszkodzone samochody i elewacje budynków. To bilans strat, jakie wyrządziła trąba powietrzna, która przeszła przez Chorzów w godzinach popołudniowych w niedzielę 21 sierpnia.

PADŁ rekord przeszczepów! W Śląskim Centrum Chorób Serca w Zabrze przeprowadzono 9 przeszczepów w 8 dni. Wśród dziecięciorga uratowanych jest czworo dzieci. Przeszczepiono 6 serc i 3 płuca. To rekord w 30-letniej historii szpitala. Do tej pory wykonano tu prawie 40 tysięcy operacji serca, w tym ponad 1200 transplantacji serca, ponad 120 transplantacji płuc. Pamiętać też trzeba o ponad 100 chorych uratowanych dzięki sztucznej komorom serca.

BĘDZIEMY dłużej żyć, ale też częściej chorować. Ministerstwo Zdrowia przygotowało mapy potrzeb zdrowotnych, dotyczące lecznictwa szpitalnego. Na ich podstawie mają być w przyszłości dzielone pieniądze na ochronę zdrowia w regionach. Wśród mieszkańców województwa Śląskiego w 2029 roku będzie około 30 proc. osób mających ponad 65 lat. Będziemy „najstarszym” województwem obok świętokrzyskiego.

Wiliamski też odpadły

JAROSŁAW STARZYK

– A dupa tam!

Ucieszył mnie ten wykrzyknik, który rozległ się z restauracyjnego ogródka, gdzie czasem wpadam na naprawdę małe conieco, bo oznaczał, że ONI już tam są. Starożytni Grecy mieli w teatrze chór, współcześni telewidzowie mieli w serialu *Ranczo* ławeczkę z pijaczkami błyskotliwie komentującymi rzeczywistość, ja natomiast we wspomnianym ogródku obserwuję stolik zajmowany przez ludzi starszych (trudno w to uwierzyć) ode mnie. Nie podsłuchuję, bo zasiadająca tam starszyzna mówi głośno, gdyż jest trochę głuchawa.

Początkowy wykrzyknik wygłasza nader często siwowłosy gość, który wszystko wie lepiej i wygląda jak duży Prostopadłościan. Jego starym partnerem jest facet przypominający Królika z *Alicji w krainie czarów*, ale bez długich uszu, za to z zębami, które sprawiają, że wygląda na stale uśmiechniętego i ucieszonego. Trzeci ma łysinę okoloną wianuszkiem kędziorów tak czarnych, że ich kolor nie sprawia wrażenia naturalnego, nawet czerń jego niemodnego garnituru jest mniej intensywna. To „Partyjny” albo „Towarzysz”. Tak mówią do niego koledzy, bez jakiejś niechęci, w końcu tej partii nie ma od lat. Edka nie opisuje. Nieobecny.

– A Edek dziś w szpitalu? – zapytał Towarzysz.

– Nie, poszedł do apteki wykupić tabletki, bo mu się kończą i jeszcze chce się dowiedzieć od aptekarza, na co mu one pomagają, bo se pudełko wyrzucił – wyjaśnił Królik.

W trakcie dalszej rozmowy Prostopadłościan opowiedział, że był u swojego lekarza, który zrobił mu USG i zabronił tłusto jeść. Ale potem ten doktor kazał mu przyjść do siebie do szpitala, bo tam jest lepszy aparat i po badaniu pozwolił pacjentowi jeść wszystko. Wziął za to 130 złotych.

– Pechowa ta nasza Isia Radwańska – zmienił temat Królik. – Tyle godzin leciała do tego Rijo i zmęczona odpadła...

– A dupa tam! – zareagował Prostopadłościan. – Wiliamski też odpadł...

– I Dżokowicz – wtrącił Towarzysz.

– ...wszyscy odpadli, ci dobrzy, bo na Olimpiadzie nie ma dużo pinien-dzy – tłumaczył Prostopadłościan. – Musieli tam pojechać, no bo co, nie będą walczyć dla ojczyzny. Walczyli, nie wyszło... A czemu? Bo tam mało piniendzy było, nie opłacało im się zdrowia tracić.

O sporcie mówią dużo i wiedzą swoje, choćby o Lewandowskim, który nie umie strzelać dla kadry narodowej. Myślę, że gdyby trener Nawalka posłuchał Prostopadłościana to byśmy Euro wygrali. Jednak głównym tematem jest zdrowie, służba zdrowia itd.

– Byłem u swojej doktorki i dałem se zapisać leków znowu na 2 miesiące – poinformował Partyjny. – I zapisałem się do niej też za 2 miesiące, przyjmie mnie bez czekania.

– Boś głupi jest, Towarzyszu – stwierdził Królik. – Trzeba gazety czytać, telewizor oglądać. Dlatego ja idę po recepty dopiero we wrześniu. Wtedy już będę miał leki bezpłatne 75 plus.

– A dupa tam! – Prostopadłościan był niezawodny. – Myślisz, że za darmo ci coś dobrego dają? Te najgorsze, najtańsze i ze skutkami ubocznymi starym będą wciskać. Gazety czytać trzeba, ale wiedzieć jakie. Muszę, bo już dziennie 7 różnych tabletek biorę. A wy? – rozejrział się przedwcześnie triumfując.

– Dziennie to ja 9 – przebił go Królik.

– Ja 10 – z fałszywą skromnością powiedział Towarzysz. Prostopadłościan był całkiem pognębiony. Ale tylko chwilę, bo przyszły bardzo wiekowe dziewczyny (dziewczyny, nie żony!) i zaczęła się rozmowa o tych, co nie wpuszczają kolędy a potem chcą mieć katolicki pogrzeb.

„Modernizacja Roku 2015”

dla katowickiej
kamienicy przy ulicy
św. Jana 10

24 sierpnia 2016 roku, na Zamku Królewskim w Warszawie odbyła się uroczysta gala ogłoszenia wyników i wręczenia nagród w XX edycji Ogólnopolskiego Konkursu „Modernizacja Roku 2015”. Spośród finalistów poszczególnych kategorii zwycięzcy wyróżniani byli statuetką i tytułem „Modernizacja Roku”.

W kategorii „Obiekty Mieszkalne” zwyciężyła modernizacja, rozbudowa i adaptacja katowickiego budynku przy ul. św. Jana 10.

Modernizacja i rozbudowa budynku mieszkalnego na usługowo-biurowy zyskała również uznanie wśród internautów, zdobywając największą liczbę głosów, a tym samym I miejsce, w głosowaniu internetowym.

– Obiekt ten stanowi przykład doskonałego wręcz połączenia elementów historycznych z nowoczesnymi rozwiązaniami architektonicznymi. Chciałbym, aby nasze, katowickie rewitalizacje przyczyniały się do pozytywnych zmian wizerunku miasta, a kolejne remontowane kamienice były wspaniałą ozdobą nie tylko śródmieścia Katowic, ale również poszczególnych dzielnic. Myślę również, że w znacznym stopniu tak przeprowadzona modernizacja przyczyni się do wyznaczenia pewnego pułapu, poniżej którego projektanci i inwestorzy nie będą chcieli schodzić, w tym również prywatni – mówił Marcin Krupa, prezydent Katowic.

Inwestorem tego przedsięwzięcia był Komunalny Zakład Gospodarki Mieszkaniowej Katowice.

Wykonawcą inwestycji było Przedsiębiorstwo Robót Budowlanych i Transportowych „CECHINI” Stanisław i Józef Cechini s. j., a projektantem „ARCHITEKT” – Mariusz Zjawiony z Katowic.



Zdjęcia: Zbigniew Sawicz

„Modernizacja
Roku 2015”



S U ŹRÓDEŁ SŁAWY

4 FESTIWAL MUZYCZNY im. H.M.Góreckiego

02.10.2016 r. godz. 17.00

Kościół p.w.NMP Królowej Polski w Czernicy

I KONCERT FESTIWALOWY

"Tam, gdzie mój dom rodzinny"

Program:

H.M.Górecki - Kantata na organy op.26,
G.Fr.Haendel - Lascia Chio Plango,
J.Clarke - Trumpef Voluntary,
G.Fr.Haendel - Suite D-Dur „Water Music”,
G.Fr.Haendel - Largo z opary „Xanxia”,
J.Stanley - Trumpef Voluntary,
G.Ceccili - Ave Maria,
C.Franc - Panis Angelicus,
W.Kiur - Wskazka z filmu „Dziwny świat”,
Fr.Schubert - Ständchen,
Gabriel's - Oboe z filmu „Mija”(Ennio Morricone),
Marc Antoine Charpentier - Te Deum,
H.M.Górecki - Wybór pieśni a cappella na chór mieszany.

Wykonawcy:

Stanisław Dziewior - śpiewka,
Witold Zaborny - organy,
Chór Bel Canto z Gąszowic,
Janusz Budak - dyrygent.

04.10.2016 r. godz. 19.00

Sala koncertowa Teatru Ziemi Rybnickiej

II KONCERT FESTIWALOWY

"Na jazzową nutę"

Program:

„Impro Vizor” Wiesława Pieregoródki,
W.Pieregoródka - "Saxi Ciel", jazzowa opernimprowizacja
na saksofon i orkiestrę symfoniczną, utwór oparty na
tematach Henryka Mikołaja Góreckiego,
H.Miśkiewicz - "Pocztówki z RIO",

Wykonawcy:

Filharmonia Rybnicka,
Wiesław Pieregoródka - dyrygent,
Dorota Miśkiewicz - śpiew,
Henryk Miśkiewicz - saksofon,
Andrzej Jagodziński - fortepian,
Marek Napiórkowski - gitara,
Sławomir Kurkiewicz - bas,
Michał Miśkiewicz - perkusja.

16.10.2016 r. godz. 16.00

Sala koncertowa Rydułtowskiego Centrum Kultury

III KONCERT FESTIWALOWY

"Pośród węglowych Alp"

Program:

H.M.Górecki - Pieśni kurpiowskie transkrypcje na kwartet smyczkowy
D. Szostakowicz - VIII Kwartet op. 110,

Wykonawcy:

Kwartet Śląski

17.10.2016 r. godz. 18.00

Muzeum Rybnickie

IV KONCERT FESTIWALOWY

"Z rybnickiego rynku"

Program:

H.M.Górecki - IV preludium na fortepian op. 1,
Słynne operowe duety miłosne:
W.A.Mozart - Don Giovanni, Donna Anna/Don Ottavio Fuggi, crudele fuggi,
G.Donizetti - L'elisir d'amore/Adina/Nemorino Chiedi all'aura lusinghiera,
G.Donizetti - L'elisir d'amore/Adina/Nemorino Esultì pur la barbara,
G.Verdi - La Traviata Violetta/Alfredo Libiamo,
G.Verdi - La Traviata Violetta/Alfredo Un di felice,
G.Verdi - La Traviata Violetta/Alfredo Parigi o cara,
Ch.Gounod - Faust Margherita/Faust Il se fait tard, adieu,
G.Puccini - La Bohème Mimi/Rodolfo O soave fanciulla,
G.Verdi - Rigoletto Gilda/Duce Signor ne principe,
G.Donizetti - Lucia di Lammermoor Lucia/Edgardo Verranno a te all'aura.

Wykonawcy:

Iwona Secha - sopran,
Adam Sobierajski - tenor,
Olga Tymbalyuk - fortepian.

Dofinansowano ze środków

Ministerstwa Kultury

i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

25.10.2016 r. godz. 19.00

Sala koncertowa Teatru Ziemi Rybnickiej

V KONCERT FESTIWALOWY

"Maksymalnie.....Górecki"

Koncert uświetniający jubileusz 20-lecia
Towarzystwa Muzycznego im.Braci Szafaranków
i 80. rocznicę urodzin Jerzego Maksymiuka
Sala koncertowa Teatru Ziemi Rybnickiej

Program:

J.Maksymiuk - Dedykacja na orkiestrę smyczkową (2013),
H.M.Górecki - Koncert na fortepian i orkiestrę smyczkową op.40,
L.van Beethoven - II Symfonia D-dur op.36,

Wykonawcy:

Filharmonia Rybnicka,
Jerzy Maksymiuk - dyrygent,
Norbert Prudel - fortepian.

Prowadzenie koncertów: Violetta Rotter-Kozera, Wacław Miśkiewicz,
Michał Wójcicki.

Organizatorzy:



Sponsorzy:



Patronat medialny:

